

DARIA ORLICZ

A woman in a black dress stands in the center of a long, narrow concrete tunnel. She is looking back over her right shoulder towards the camera. The tunnel is dimly lit, with a bright light source at the far end, creating a strong silhouette effect. The walls and ceiling are made of large concrete panels. The floor is also concrete and appears slightly wet or reflective. The overall mood is mysterious and dramatic.

**MARTWE
DUSZE**

DARIA ORLICZ

MARTWE DUSZE

1

Od strony morza silnie wiało. Kobieta szła szybko; drobna, szczupła, w zbyt dużej puchowej kurtce. Obrębiony sztucznym futrem kaptur głęboko opadał jej na oczy, ale przynajmniej nie marzła. Wsunęła dłonie w kieszenie, przelotnie myśląc o śpiącym w swoim pokoju synu. Czy kiedykolwiek się dowie, że pożyczyła sobie jego kurtkę i wymknęła się nocą do parku? Co by o niej pomyślał, gdyby się dowiedział, że wplątała się w kolejny zupełnie bezsensowny romans? Czasem Maciek tak dziwnie na nią patrzył. Ponury, zamknięty w sobie, wiecznie zgarbiony... Była pewna, że nastoletni syn ocenia ją surowo, bez taryfy ulgowej.

Potknęła się i niemal upadła, ślizgając się na pokrywających parkową alejkę mokrych liściach. Znoszone zamszowe mokasyny, które założyła w pośpiechu, zdecydowanie lepiej nadawały się na słoneczne dni niż na spacer po błocie. Park był pusty i ciemny. Część latarni rozmieszczonych wzdłuż wylanej spękany betonem alejki nie działała. Gdzieś za jej plecami trzasnęła gałąź. Odwróciła się gwałtownie, z bijącym sercem wpatrując się w mrok. Nikogo... Przyspieszyła kroku, już niemal biegła. Serce szarpało jej się w piersi, w ustach zaschło. Po co w ogóle dała się namówić na tę bezsensowną nocną randkę? Przecież tyle razy mu mówiła, że nic z tego nie będzie!

Mężczyzna, z którym miała się spotkać, zaszedł ją od tyłu, złapał wpół i wysoko podniósł.

- Idiota! Wiesz, jak mnie przestraszyłeś?! - krzyknęła.

Roześmiał się i postawił ją na ziemi.

Poprawiła kaptur i spojrzała mu w twarz.

- Nie wiem, po co tu przyszłam... Jutro mam dyżur, powinnam się wyspać, a ty...

- Tęskniłem za tobą - szepnął, nachylając się nad nią.

Był wysoki, masywny. Przy jej metrze pięćdziesięciu ośmiu sprawiał wrażenie giganta.

- Nic z tego nie będzie - powiedziała cicho.

- To po co tu przylazłaś?! No powiedz! Mówisz, że mnie nie chcesz, ale za mną biegasz! Jest środek nocy, a ty jednak zjawiłaś się w parku! - warknął.

Nie odpowiedziała.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę najbliższego wyjścia.

Złapał ją za ramię.

- Zostań - powiedział znacznie łagodniejszym głosem.

Przez dłuższą chwilę milczeli.

W końcu przytulił ją i pocałował w policzek.

- Zmarzłaś. Chodźmy do samochodu - zaproponował.

- Powinnam wracać do domu. Posłuchaj, ja nie chcę, żebyś...

- Chodźmy stąd, jest kurewsko zimno! - wszedł jej w słowo.

Kiedy wychodzili z parku, zaczęło mżyć. Pomyślała, że jego z pewnością nie obchodzi, co ma do powiedzenia. Chciał ją zerznąć, ugiąć, skłonić do kolejnego razu, który z pewnością nie miał nic wspólnego z miłością. Pomyślała o byłym mężu. Czy jeszcze kogoś pokocha po tym, co zrobił jej Bartosz? Skurwiel zdradzał ją z jej najlepszą przyjaciółką. Czy można sobie wyobrazić większe upokorzenie? Wszyscy wiedzieli, że ją posuwa! Wszyscy, tylko nie ona! I jeszcze ta pochrzaniona historia z Wiktorem...

- Wsiadaj! - Kiedy dotarli do auta, otworzył jej drzwiczki od strony pasażera.

- Odwieź mnie do domu - poprosiła.

- Odwiozę. Ale najpierw pokażesz, jak bardzo za mną tęskniłaś. Złapała za klamkę. Nie miała zamiaru ulegać, skoro i tak przyszła, żeby mu oznajmić, że to koniec.

- Dokąd to? - zapytał ostrym tonem.

Nie zdążyła wysiąść, przytrzymał ją.

- I co? Będziemy się tak szarpać?

Nachylił się nad nią i wsunął dłoń między jej nogi. Przez gruby materiał dzinsów niewiele czuła, ale i tak zacisnęła uda. Warknął, żeby nie grała pieprzonej cnotki.

Czuła, że jest wściekły. Przymknęła oczy, nagle poczuła się zmęczona. W sumie to przecież niczego nie zmieni, jeśli prześpię się z nim jeszcze raz, pomyślała.

Rozpiął jej kurtkę.

- Zdejmij te łachy! - warknął.

Rzuciła puchówkę na tylne siedzenie i zgrabiałyimi z zimna palcami zaczęła rozpinać sweter. W samochodzie było chłodno. Włożył język do jej ucha, wciąż pieszcząc ciasno opięte dzinsami wnętrze ud. Zazwyczaj to lubiła, ale teraz myślała tylko o tym, że niebawem będzie po wszystkim. Za miesiąc powinna już być na drugim krańcu kraju - bezpieczna, daleka od koszmarnych wspomnień i pełna nadziei na nowy początek. Trzydzieści sześć lat to w końcu nie tak wiele. Ułoży sobie życie od nowa, wszystko poukłada, myślała, kiedy przez gruby materiał flanelowej koszuli miętosił jej piersi.

- Nie masz stanika - powiedział, oblizując usta.

Sięgnęła do jego rozporoka i rozpięła mu spodnie. Po chwili stali się gorączkową płataniną rąk, nóg i ubrań. Kotłując się na siedzeniu jego starego wozu starali się nie myśleć o chłodzie i niewygodzie.

Skończył zaskakująco szybko i kazał jej się ubierać.

- Podrzucę cię pod dom - mruknął, kiedy wyjeżdżali z graniczącego z parkiem parkingu.

Wzruszyła ramionami. Było jej zimno, bo kurtka wciąż leżała na tylnym siedzeniu. Choć było wyjątkowo ślisko, mężczyzna jechał szybko, nierozważnie.

- Zwolnij - poprosiła, kiedy brali ostry zakręt, niemal wypadając przy tym z drogi.

- Boisz się?

- Powiedzmy, że nie chciałabym zginąć w taki bezsensowny sposób - rzuciła.

- Boisz się - uśmiechnął się.

Zerknęła na jego profil. Ma taką cudnie kształtną głowę, pomyślała.

- W sobotę jadę do Niemiec odwiedzić starego przyjaciela, i tak sobie pomyślałem, że może pojedziesz ze mną? Gdybyś chciała zabrać dzieciaka, nie ma problemu - powiedział, nie odrywając wzroku od zdradliwie mokrej nawierzchni szosy.

- Mówiłam ci przecież, że z nami koniec. Posłuchaj, i tak wyjeżdżam...

- Wyjeżdżasz?! - Zahamował gwałtownie, niemal tracąc panowanie nad kierownicą.

- Co ty odpierdalasz?! Chcesz nas zabić?! - krzyknęła.

- Dokąd jedziesz? - zapytał, zjeżdżając na pobocze.

- Nieważne, nic ci do tego! Z nami koniec, ile razy mam ci powtarzać?!

Zacisnął pięści i wbił w nią złe, wręcz nienawistne spojrzenie.

- Dzwinka! - wycedził w końcu. - Wszystkie jesteście takie same! Wyrachowane, podłe dzwinki! A może ja coś do ciebie czuję, nie przyszło ci to do głowy?! Może nie chodzi tylko o różnicę, może

to coś więcej?! Pogrywasz sobie ze mną?! No powiedz, dobrze się bawisz?!

- Nie będę tego słuchać! - Drżąc z zimna, drobna kobieta sięgnęła po leżącą na tylnym siedzeniu puchową kurtkę syna i wysiadła z samochodu.

Rosnąca na poboczu trawa szybko zmoczyła jej spodnie, wilgoć lekko skręciła jasne włosy i przenikła ją do szpiku kości. Założyła puchówkę i roztarła dłonie.

- Masz rację, wypierdalaj! - wrzasnął jej kochanek, zanim zatrzasnęła drzwiczki od jego samochodu.

Szosa była pusta i ciemna. Blondynka ruszyła poboczem, starając się nie myśleć o silnym wietrze i siąpiącej bezlitośnie mżawce. Przez pierwszych kilkanaście metrów nasłuchiwała odgłosu silnika, ale najwidoczniej on nie zamierzał odjeżdżać. Wyobraziła sobie, jak nieruchomo siedzi za kierownicą, taki wściekły, z zaciśniętymi ustami i złym spojrzeniem. A przecież od początku mu mówiła, że to tylko przelotna łózkowa znajomość, nic więcej...

Zza pobliskiego zakrętu wyjechał jakiś samochód. Kobieta zmrużyła oczy, starając się dostrzec w ciemności szczegóły, ale widziała jedynie parę reflektorów zbliżającą się w jej stronę z przeciwka. Mijając ją, kierowca zwolnił, jakby chciał się lepiej przyjrzeć wędrującej samotnie przez noc drobnej kobiecie, jednak szybko przyspieszył, i po chwili był już tylko wspomnieniem. Cisza... Zerknęła w prawo, zastanawiając się, ile czasu zabierze jej nocny spacer do domu. Ciągące się wzdłuż drogi pola były ciemne i złowrogie, a ona przypomniawszy sobie pogłoski o pojawiającym się w tej okolicy UFO. Na myśl o kosmitach parsknęła nerwowym śmiechem. Idiotka! Co też jej chodzi po głowie?!

Kilka minut później obróciła się, ale sylwetka samochodu jej przygodnego kochanka dawno zniknęła w nocnych ciemnościach. Przez chwilę nasłuchiwała, jakby poprzez szum wiatru chciała usłyszeć silnik, w końcu ruszyła dalej. Była mniej więcej w połowie drogi, kiedy usłyszała, że ktoś nadjeżdża. Przystanęła i zerknęła w stronę zakrętu. Nie widziała zakola szosy, ale od razu zrozumiała, że samochód, który się zza niego wynurzył, jechał szybko, zdecydowanie za szybko. Zmrużyła oczy. Chlapiąc wodą spod kół, pędził prosto na nią. Nie sądziła jednak, że coś jej grozi, nawet przez ułamek sekundy nie przeszło jej przez myśl coś tak niedorzecznego. Dopiero kiedy prowadzący gwałtownie szarpnął kierownicą, oślepiając ją światłami, zrozumiała, że zaraz w nią uderzy. Pomyślała o byłym mężu – kiedyś przecież już jej groził, krzyczał, że ją zabije... Sekundę później rozpędzone auto wyrzuciło ją na kilka metrów w górę, a ciemność, która nagle zapadła, wchłonęła ją całą sobą, zassała...

2

Młodszy aspirant Krzysztof Bugaj miał ciężką noc. Do pierwszej nad ranem brał udział w akcji zatrzymania czterdziestokilkulatka podejrzanego o brutalny gwałt na nieletniej, a kiedy wrócił do domu, wiele nie pospał...

- Krzysztof, wstawaj! Chyba dzieje się coś złego. - Wyraźnie spanikowana Iwona obudziła go tuż przed czwartą, gwałtownie szarpiąc za ramię.

Usiadł na łóżku, z trudem rozróżniając kontury wyłaniających się z półmroku mebli. W sypialni było niemal całkiem ciemno, tylko przez uchylone drzwi wpadała przyjemnie bursztynowa poświata zapalonej w korytarzu lampy.

- Co jest, kotku? - wymamrotał wyrwany z pierwszego snu.

Poprzedniej nocy też niewiele spał i czuł się tak, jakby otaczała go mgła.

- Strasznie krwawie - powiedziała łamiącym się głosem.

Oprzytomniał w jednej chwili. Zerwał się z łóżka i założył spodnie, zapomniał jednak zdjąć górę od piżamy, na którą zarzucił po prostu starą, szarą bluzę z kapturem.

- Matyllda... - Trupio blada Iwona zerknęła w stronę dziecięcego pokoju.

- Wezmę ją, ty powoli idź do auta - wszedł jej w słowo Krzysztof.

Wychodząc z sypialni, zerknął na skotłowane łóżko i dopiero wtedy zauważył plamę na prześcieradle. Cholera, aż tyle krwi? - Przez chwilę zrobiło mu się niedobrze, ale szybko się opanował.

Zerwał zakrwawioną pościel i rzucił ją na ziemię. Chwilę później złapał za leżące na komodzie kluczyki i pchnął drzwi od niewielkiego dzieciennego pokoju. Matylda spała z rozrzuconymi za główką rączkami. Wziął dziewczynkę na ręce i opatulił grubym, wełnianym kocem. Na zewnątrz ostro wiało, ale nie chciał tracić czasu na zakładanie jej kurtki. Kiedy z maleńką w ramionach wyszedł na klatkę, Iwona, zgięta wpół i dosłownie uwieszona na barierce, krok za krokiem schodziła po schodach.

- Cholera, jak tu ciemno! Trzeba było w końcu wymienić tę przeklętą żarówkę! Ostrożnie, uważaj na ten ukruszony stopień - rzucił podenerwowany Krzysztof. - Kiedy to się zaczęło? - zapytał, kiedy byli na półpiętrze.

- Niedawno - szepnęła.

- Aż tak boli?

- A jak myślisz?! - podniosła głos.

W jego ramionach Matylda niespokojnie poruszyła się przez sen, ale nadal smacznie spała. Na zewnątrz mocno wiało, ale przynajmniej przestało siąpić. Otwierając swoje audi, Krzysztof przypomniał sobie usłyszaną w radio informację o będącym w perygeum krwawym księżycu, ale szybko wrócił do rzeczywistości i zajął się rodziną. Usadził w foteliku dziecko, zapiął Iwonie pasy i ruszył w stronę szpitala. Kilka chwil później przystanął na czerwonym i spojrzał na Iwonę. Zauważył, że bezgłośnie płacze, ale nie miał pojęcia, jak mógłby ją pocieszyć.

- Wszystko będzie dobrze - rzucił najbardziej wyświechtany banał pod słońcem, ale nawet na niego nie spojrzała. - Przecież jeszcze nawet nie wiadomo, czy stracisz to dziecko. Było sporo krwi, ale...

- Przestań tyle gadać, Krzysztof! - szepnęła Iwona, opierając głowę o boczną szybę. - Boję się - dodała chwilę później.

Oderwał wzrok od szosy i pogłaskał ją po karku.

- Będzie dobrze - powtórzył.

Zdziwiło go, że nie czuł większego zdenerwowania. Po pierwszym szoku momentalnie do siebie doszedł, obserwując sytuację jakby z oddali, niczym obojętny, przypadkowy widz odgrywanego w teatrze spektaklu.

Na tylnym siedzeniu obudziła się Matylda. Bugaj zwolnił przed owianym złą sławą ostrym zakrętem i zerknął we wsteczne lusterko.

- Nie zabrałem jej kurtki - powiedział.

Iwona odpowiedziała coś, czego nie zrozumiał, i roztrzęsionym głosem kazała mu się pospieszyć.

Dodał gazu. Chwilę później auto wpadło w wybój i siedząca po jego prawej Iwona uderzyła głową o szybę.

- Cholera, przepraszam - mruknął, jakby to była jego wina, że kurewskie drogi są w tak opłakanym stanie.

W szpitalu było cicho i pusto. Kiedy Krzysztof był tu ostatnio, szeroki korytarz oświetlały nieprzyjemnie migające jarzeniówki. Teraz światło działało bez zarzutu, tylko rejestratorka się zmieniła. Zamiast siedzącej zazwyczaj w recepcji otyłej kobiety koło pięćdziesiątki, Bugaj zauważył młodą, atrakcyjną pielęgniarkę z jasnymi pasemkami na miodowych włosach i podmalowanymi na ostry oranż ustami.

- Chyba straciłam dziecko - zaczęła Iwona łamiącym się głosem.

- Który tydzień? - Pielęgniarka, w której głosie Krzysztof nie usłyszał nawet cienia współczucia, niechętnie odłożyła trzymaną w rękę książkę.

- Dziesiąty. Ja...

- Proszę usiąść na tamtym wózku, już budzę lekarza. -

Dziewczyna sięgnęła po słuchawkę i szybko wybrała wewnętrzny numer.

- Zawsze jest tyle krwi? Tak strasznie boli mnie dół brzucha, że...

- Powiedziałam, że zaraz przyjdzie doktor! - wpadła jej w słowo pielęgniarka. - Proszę czekać i postarać się uspokoić. - Z malującą się na twarzy obojętnością, jak gdyby nigdy nic, wróciła do lektury.

Bugaj miał ochotę podejść do recepcyjnego kontuaru i powiedzieć tej zimnej suce coś do słuchu, wiedział jednak, że wszczęcie nocnej awantury z pewnością nie poprawi ich położenia. Stał więc przy ścianie i tuląc w ramionach pachnące rumiankowym szamponem śpiące dziecko, starał się trzymać nerwy na wodzy.

Iwona cicho jęknęła i zgięła się wpół. Bał się przez chwilę, że osunie się na ziemię.

- Siadaj! - Krzysztof przysunął bliżej stary inwalidzki wózek i pomógł jej usiąść.

Przez kolejnych kilka minut w korytarzu nie działo się nic, aż w końcu Bugaj stracił panowanie nad sobą.

- Do cholery, czy ktoś się tu nami zajmie?! Wstań, księżniczko, i pogoń drogiego doktora, zanim ona się tu wykrwawi! - wrzasnął.

Ładną twarz pielęgniarki wykrzywił brzydki grymas.

- Ale przecież pan doktor zaraz zejdzie...

- Powiedziałem, leć po tego konowała! - Bugaj z zaciśniętymi pięściami podszedł do dzielącego go od młodej pielęgniarki kontuaru.

Dziewczyna wstała i odłożyła na bok książkę. Krzysztof zauważył, że poczerwieniała ze złości i wyglądała na ciężko obrażoną, posłusznie jednak ruszyła w stronę dzielącego recepcję

od SOR-u szklanego przejścia. Była mniej więcej w połowie rzęsiście oświetlonego korytarza, kiedy rozsunęły się metalowe drzwi windy, z której wysiadł niewysoki szpakowaty mężczyzna w zielonym chirurgicznym uniformie.

- Pani na mnie czeka? - zapytał Iwonę, która już otwarcie płacząc, zgięta w pół i przerażona wciąż siedziała na szpitalnym wózku.

Skinęła głową.

- Który to tydzień? - Lekarz wyglądał na skrajnie zmęczonego i był tak samo obojętny na los pacjentki, jak dyżurująca za recepcyjnym kontuarem młoda pielęgniarka.

- Dziesiąty! - burknął Bugaj niegrzecznym tonem.

- Poroniła już pani kiedyś? To pani dziecko? - Szpakowaty ginekolog zerknął na trzymaną przez Krzysztofa dwuletnią Matyldę, i przez jedną chwilę na jego twarzy pojawiło się coś na kształt współczucia.

- Tak, to moja córka. I raz już poroniłam - powiedziała Iwona cicho.

Krzysztof posłał jej zdziwione spojrzenie, ale nie skomentował. Nie miał pojęcia, że już kiedyś straciła ciążę, ale też jakoś szczególnie go to nie zaskoczyło. Pewnie była jeszcze wtedy żoną tego skurczybyka, który miga się od alimentów, więc w sumie to nie moja sprawa, pomyślał.

- Niedługo będzie po wszystkim - powiedział, kiedy lekarz wykręcił wózkiem z siedzącą w nim Iwoną i ruszył w stronę windy.

- Po wszystkim?! Najprawdopodobniej straciłam dziecko, nie rozumiesz?! Ale w sumie tobie to na rękę, co?! Przecież nawet go nie chciałeś! - krzyknęła.

Wyraźnie zde gustowany rodzinną sprzeczką doktor przygryzł

usta, ale nie skomentował. Bugaj położył Matyldę na nowej, purpurowej sofie w korytarzu i ruszył w ślad za Iwoną.

- Będę tutaj na ciebie czekał - powiedział łagodnym głosem.

Nie odpowiedziała.

Stał w korytarzu, dopóki winda nie ruszyła na górę. W końcu usiadł obok śpiącej na sofie dziewczynki i okrył ją kocem. Mała nie miała jednej skarpetki i ten widok kompletnie go rozczulił. Kiedy lata wcześniej wychowywał syna, czuł radość, dumę i cholerne samouwielbienie; ale zajmowanie się córeczką kobiety, dla której niedawno zostawił żonę, budziło w nim zupełnie nowe uczucia. Nie był pewien, czy z ręką na sercu mógł już powiedzieć, że kocha to dziecko całym sobą, ale z pewnością był na dobrej drodze. Usiadł wygodniej i przymknął oczy. Pod powiekami miał piasek i dałby wszystko za krótką choćby drzemkę, wiedział jednak, że nie zaśnie. W końcu wstał, poprawił małej koc, przeszedł przez rozsuwane, oszklone drzwi i spojrzał w ciemne nocne niebo.

Krwawy księżyc... Niepokoiła go ta nazwa, ale też intrygowała. Faktycznie superpełnia wyglądała nieco inaczej - większy, bardziej majestatyczny srebrny glob zdawał się pulsować, niemal hipnotyzować... Mimo że miał na sobie jedynie bluzę, obserwował niebo przez jakiś kwadrans.

W końcu wrócił do środka i zerknął w stronę recepcji. Młoda pielęgniarka posłała mu złe spojrzenie i wróciła do lektury. Zerknął na okładkę. No jasne, romans... Kiczowaty bukiet kwiatów tuż pod tytułem nie pozostawiał cienia wątpliwości. Uśmiechnął się pod nosem. Anna, z którą przeżył tyle wspólnych lat, też czasem czytywała takie szmatławe romanse.

Spojrzał na Matyldę. Mała wciąż spała i znowu skopała z siebie koc. Okrył ją i spojrzał w stronę windy. Kobieta, z którą planował

rozpocząć nowe życie, najprawdopodobniej właśnie straciła ich dziecko, a on nie czuł nic, oprócz... ulgi. Ta myśl sprawiła, że poczuł niemal fizyczny ból. Tak, od początku nie chciał tego dziecka i w żaden sposób nie uwzględniał go w swoich życiowych planach. Miał czterdzieści kilka lat i czuł się zmęczony. Zresztą odchowwał już syna, i to wystarczy. Arek był w trudnym wieku, jak to nastolatek. Do tego praca, szarpanina z wkrótce już była żoną i cała reszta problemów. Na nocne zmienianie pieluch nie miał już ani siły, ani ochoty. Nie zmieniało to jednak faktu, że siedząc w rzęsiście oświetlonej poczekalni miejskiego szpitala, czuł się jak ostatni skurwysyn. Tym bardziej że Iwona nie była pierwszą kobietą, którą zawiódł...

3

Za brudnym oknem, na wpół przesłoniętym podniszczoną roletą, powoli zapadał zmierzch. Dzień był mglisty i ponury, zupełnie jakby wczesna jesień koniecznie chciała pokazać swoje najpaskudniejsze oblicze. Starszy sierżant Wojciech Kiciński dopił dawno przestygłą kawę, rozmasował skronie i wyjął z szuflady paczkę higienicznych chusteczek.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mnie dziś rąbie łeb. I jeszcze ten kurewski katar... - mruknął, łypiąc zażawionymi oczyma w stronę siedzącego za swoim biurkiem Krzysztofa.

- Zażyłeś coś w końcu? Łazisz chory i rozsiewasz wirusy. - Bugaj sięgnął po leżący na zabałaganionym biurku notes i zaczął wertować podniszczone kartki. - Masz jeszcze zamiary na tego gościa spod Świnoujścia, który...

Krzysztof nie dokończył, bo w progu zjawiła się Ewa, jedna z najmłodszych stażem funkcjonariuszek.

- Nastoletni chłopak chce zgłosić zaginięcie matki - powiedziała, kiedy Bugaj posłał jej pytające spojrzenie.

- To niech zgłasza, wy nie możecie przyjąć? - zachnął się Kiciński.

- Co się tak unosisz, Kiciuś? Chce zgłaszać, to przyjmiemy - mruknął do Ewy Krzysztof, któremu dziewczyna od początku wyjątkowo się podobała.

Nie żeby zaraz myślał o kolejnym romansie, ale odrobina flirtu jeszcze nikogo nie zabiła...

- Jest nieletni, a sprawa wygląda mi podejrzanie. - Dziewczyna

zniżyła głos, jakby nie chciała, żeby stojący tuż za nią nastolatek słyszał, co mówi.

Dzieciak oczywiście nie uronił z ich rozmowy ani słowa i w końcu Kiciuś lekko zmiękł.

- Dobra, dawaj go. I kawę nam jakąś zaparz, co? - mruknął.

Dziewczyna potulnie skinęła głową i zniknęła za drzwiami.

- Ta przynajmniej nie pyskuje. Bo poproś o cokolwiek jedną z tych pieprzonych feministek, to tak na ciebie spojrzy, że ci w jaja pójdzie - podsumował sytuację Kiciuś, zanim chłopak zdążył wejść do zagraconego pokoju.

- Siadaj. - Na widok wyraźnie wystraszzonego, tyczkowego nastolatka, Krzysztof zdjął z krzesła kilka pękatek teczek z dokumentami i usiadł naprzeciwko. - Zaczniemy od początku, na spokojnie, okay? Ile masz lat?

- Tydzień temu skończyłem trzynaście - powiedział chłopak, nerwowo wyłamując palce.

- Jak się nazywasz?

- Maciek. Maciej Fabianowicz.

- Mama nie wróciła na noc? Co się stało? - zapytał Kiciuś, opierając się o parapet.

- Wieczorem była w domu. Obejrzeliśmy razem film, zjedliśmy pizzę.

- Co oglądaliście? - zainteresował się Krzysztof.

- *Wielki błękit*. Koło dwudziestej drugiej dzwoniłem do taty i mama przez chwilę z nim rozmawiała. Kiedy się kładłem, też jeszcze była w mieszkaniu. Słyszałem, że bierze prysznic, a później dość długo kręciła się po kuchni.

- Dobra. A potrafisz powiedzieć, kiedy zniknęła?

- Nie wiem, chyba jakoś w nocy. - Wyraźnie zdenerwowany chłopak zaczął skubać troczek od swojej bluzy. - Musiała wyjść

w mojej puchowej kurtce, bo nigdzie nie mogę jej znaleźć, a oba jej płaszcze wiszą w przedpokoju. Pewnie była pewna, że niedługo wróci, bo przecież ja w tej puchówce chodzę do szkoły...

- Kiedy się zorientowałaś, że zniknęła? Rano? - zapytał Krzysztof, uważnie przyglądając się chłopakowi.

Nastolatek miał pucułowatą, usianą piegami twarz, i chociaż w niczym nie przypominał mu jego starszego o kilka lat syna, pomyślał o nim ze współczuciem, jak o czyimś zagubionym i przestraszonym dzieciaku.

- Rano - przyznał chłopak. - Kiedy wstałem, nigdzie nie mogłem jej znaleźć. Wieczorem obiecała, że przed wyjściem do szkoły zrobi mi jajecznicę na boczku. Ale nie było jej w mieszkaniu... Zszedłem nawet do piwnicy, ale tam też jej nie znalazłem. Więc zrobiłem sobie kanapki i poszedłem do szkoły w starej kurtce, której tata zapomniał, gdy się wyprowadzał.

- A telefon? Nie wiesz, czy twoja mama miała ze sobą komórkę?

- Nie miała. Telefon został w domu. Leży w kuchni, na stole. - Chłopak spojrzał na Kiciusia, po czym przeniósł wzrok na Bugaja.
- Coś jej się stało, prawda? Nie ma jej w szpitalu, nie ma jej u sąsiadek ani przyjaciółek. Pytałem o nią wszędzie, ale od wczoraj nikt jej nie widział. Proszę, zacznijcie jej szukać! Nazywa się Aleksandra Fabianowicz, na drugie ma Marta. Jeśli coś jej się stało, to ja... - Chłopak nie dokończył, bo załamał mu się głos.

- Mama pracuje w szpitalu?

- Tak. Jest pielęgniarką anestezyjologiczną.

- Dobra, wypełnimy trochę papierów i zaczniemy działać. Tutaj masz formularz, zacznij go uzupełniać. Postaraj się być dokładny. Rozumiesz, wygląd, w co była ubrana, wszystko jest ważne. - Wojtek Kiciński podsunął dzieciakowi odpowiedni papier i wyjrzał przez okno.

Przez dłuższą chwilę chłopak pisał w całkowitym milczeniu, z leciutko wysuniętym koniuszkiem języka wypełniając rubryki formularza. W końcu niepewnie zerknął w stronę Bugaja i zapytał, gdzie ma iść.

- Mogę wrócić do mieszkania i tam poczekać na mamę? Myślę, że byłaby spokojniejsza, gdyby wiedziała, że jestem w domu.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Musimy cię oddać ojcu.

- Tato mieszka w Niemczech, ma tam nową rodzinę. Dziś jeszcze do niego nie dzwoniłem, ale pewnie nie miałby nic przeciwko, żebym przez jakiś czas posiedział sam...

- Przykro mi, ale w takim układzie pojedziesz na izbę dziecka, chłopie. - Kiciuś klepnął dzieciaka w ramię i dodał, że musi się trzymać.

- Kiedy twoi rodzice się rozwiedli? - zapytał Bugaj.

- Trzy, nie, trzy i pół roku temu.

- A kiedy ostatnio widziałeś tatę?

- W Wielkanoc.

- Tego roku?

- Tak.

- Często się kłócili? - zainteresował się Kiciuś.

- Kto? Moi rodzice? Kiedyś tak, ale teraz już nie. Tato drugi raz się ożenił, wyjechał, zaczął wszystko od nowa. Mama chyba też już się pogodziła z jego odejściem, przestała płakać po nocach. Dawniej, zamknięta w łazience, potrafiła przepłakać cały wieczór. Czasem chodziłem szczać do sąsiada, bo siedziała tam i siedziała... Ale ostatnio się zmieniła. Zrobiła sobie fajną fryzurę, poznała nowych ludzi. I znowu zaczęła się uśmiechać. Właściwie od jakiegoś czasu sprawiała wrażenie kogoś, kto całkiem dobrze się bawi. Mało spała, mało jadła i stale jej nie było. Wychodziła, kiedy już spałem, i wracała koło drugiej, czasem nawet trzeciej

nad ranem. Czasem budziła mnie, gdy wchodziła do domu, bo zdarzało jej się przewracać wieszak.

- Wracała pijana? - zapytał Bugaj, zapisując coś w notesie.

- Nie, chyba nie... Może trochę... Nie wiem. - Chłopak wyraźnie się spieszył.

- Czyli dość często wychodziła wieczorami? - mruknął Krzysztof.

- Ostatnio tak, ale to chyba nic dziwnego? - Chłopak wzruszył ramionami. - Kiedy tato ją zostawił, załamała się, ale później zaczęła się bawić. Ma dużo nowych koleżanek, lubi wyskoczyć do pubu, tańczy salsę, gra w bilard, chodzi na jogę. Wiem, że stale chodzi na jakieś randki, ale nigdy nie przyprowadza swoich facetów do domu. Myślę, że stresuje ją moja obecność. Zresztą to chyba nigdy nie było nic poważnego. Tak przynajmniej mówiła Idze.

- Idze?

- No, to jej najlepsza przyjaciółka. Potrafią przegadać przez telefon cały wieczór, jak to baby, nie? - Chłopak uśmiechnął się krzywo.

- Znasz nazwisko tej Igi?

- Jasne. Nazywa się Iga Melke i prowadzi studio foto zaraz przy rynku. Tam ją zresztą mama poznała, gdy potrzebowała zdjęcia do paszportu.

- Czeka, chyba ją kojarzę! Piękna wysoka blondyna tuż po trzydziestce. Robiła foty na weselu mojego kumpla i nawet trochę rozmawialiśmy, ale moja Gośka zaczęła...

- Kiciuś, to chyba teraz nie ma znaczenia - Krzysztof wszedł kumplowi w słowo i przeczesał palcami nieco zbyt długie, ciemnoblonde włosy. - Twoja mama pracuje w miejskim czy w tej nowej klinice pod lasem? - zapytał po chwili.

- I tu, i tu brała mnóstwo dyżurów. Ale dzisiaj miała być w miejskim, tyle że tam nie dotarła - powiedział Maciek.

- Przedzwoń do szpitala, może ktoś coś wie - poprosił Kiciusia Bugaj i wziął od chłopaka wypełniony formularz o zaginięciu.

- Nie zjawiała się na dyżurze, musieli poprzekładać część operacji - powiedział Wojciech chwilę później. - Podobno to pierwszy raz, kiedy bez uprzedzenia nie pojawiła się w pracy. Ma opinię świetnej pielęgniarki i wyjątkowo życzliwej koleżanki - dodał cicho, niepewnie zerkając w stronę siedzącego przy biurku Krzysztofa chłopaka.

- Dobra, dzwonię po kogoś, kto się nim zajmie. Chyba że masz w miasteczku jakąś rodzinę? Ciotka, wujek, dziadkowie? - zapytał Bugaj.

- Nie, nikogo... Mama jest jedynaczką, brat taty mieszka w Palermo. Dziadkowie ze strony mamy od lat nie żyją, a ojciec taty nie ma z nim kontaktu od bardzo dawna i nigdy go nie widziałem... Zresztą on mieszka w Rzeszowie i na pewno po mnie nie przyjedzie. Ma parkinsona.

Policjanci wymienili spojrzenia.

- Zawołaj Ewkę, niech się nim zajmie - poprosił w końcu Bugaj i spojrzał na chłopaka. - Zanim twój tato dotrze tutaj z Niemiec, musisz poczekać na izbie dziecka. Poradzisz sobie, co, chłopie?

- Jasne - mruknął Maciek i ze wzrokiem wbitym w przybrudzoną wykładzinę ruszył w stronę uchylonych drzwi.

Krzysztof bardzo chciałby mu powiedzieć, że wszystko jakoś się ułoży, ale tylko patrzył w ślad za nim, układając w głowie listę rzeczy, za jakie niezwłocznie powinni się zabrać w ramach poszukiwań. Nie minęła jeszcze co prawda doba od zaginięcia, ale coś mu mówiło, że to jedna z tych spraw, w których ma znaczenie każda minuta. Zazwyczaj całkiem nieźle udawało mu się ocenić

sytuację, i teraz też był niemal pewien, że kobieta, o której mówił dzieciak, nie zostawiłaby go z własnej woli, w dodatku bez słowa. Więc albo przytrafiło jej się coś paskudnego, albo... Nie, właściwie nie było „albo”... Musiało się coś stać, inaczej nie potrafił sobie wytłumaczyć tego, co przed chwilą usłyszał. Nieco niestabilna emocjonalnie? Może. Ale w końcu nie ona jedna przeżywała odejście męża. Oddana matka? Na pewno. Wystarczyło spojrzeć na syna, żeby zrozumieć, że byli sobie bliscy.

- Kawa. Przepraszam, że tak długo, miałam telefon. - Ewa zjawiała się w gabinecie Bugaja z kubkami po brzegi wypełnionymi mocną porcją kofeiny. - Wojtek wyszedł? Podobno czegoś ode mnie chciał...

- Tak, chodziło o dzieciaka. Ale pewnie sam się tym zajmie.

Krzysztof uśmiechnął się pod nosem. Cała komenda wiedziała, że dziewczyna leci na Kiciusia. Problem polegał na tym, że Kiciński ledwo ją dostrzegał.

- Idziecie dziś z nami na bilard? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Ja nie dam rady. Ale Kiciuś może i pójdzie.

Zaczerwieniła się i pod pretekstem pilnej rozmowy telefonicznej uciekła z pokoju.

4

- Słuchaj, szukałem tej całej Melke, ale z marnym skutkiem. Studio foto już zamknięte, w domu jej nie ma. Jej sąsiadka twierdzi, że laska lubi czasem włóczyć się po okolicznych wydmach, gdzie...

- W ten ziąb, po ciemku? - Krzysztof Bugaj wszedł w słowo Kiciusiowi i sięgnął po przewieszoną przez oparcie krzesła kurtkę. - Skoczę do szpitala i pogadam z personelem.

- Dobra, a ja w tym czasie podzwonię. - Wojciech, któremu najwyraźniej nie spieszyło się na zewnątrz, wygodnie rozsiadł się za biurkiem.

Bugaj wyszedł przed komendę. Znowu siąpiło, jednak wiatr znacznie zelżał. Idąc przez parking, wybrał numer syna.

- Arek? Cześć, synku. Co dobrego słyhać? - zapytał lekko podenerwowanym tonem, kiedy chłopak odebrał.

- Nic nowego - burknął Arkadiusz, nie dodając nic więcej, i w słuchawce zapadła krępująca cisza.

- Mama jak?

- A co ci do tego?! Wyprowadziłeś się do jakiejś głupiej pindy, a teraz...

- Uważaj na słowa, młody! - szczechnął Bugaj. - Co w szkole?

- Nic.

- Wiesz, że nadal możesz na mnie liczyć? Że w każdej sytuacji...

- Muszę kończyć. - Arek nawet nie czekał na odpowiedź ojca, po prostu się rozłączył.

Krzysztof przez dłuższą chwilę wpatrywał się w monitor

komórki, w końcu schował ją do kieszeni i kuląc się z zimna, otworzył audi. Wsiadając do samochodu, wciąż myślał o synu. Kiedy Iwona powiedziała mu o ciąży, zdecydował, że zostawi Annę. Nie układało im się od lat, tak powinno być lepiej. Ale czy było? Na myśl o kobiecie, która według prawa wciąż jeszcze była jego żoną, poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Czy kiedyś mu wybaczy? I czy kiedykolwiek zrozumie, że na swój sposób chciał postąpić słusznie? – zastanawiał się, wyjeżdżając na szosę.

Był mniej więcej w połowie drogi do zbudowanego jeszcze w czasach Peerelu miejskiego szpitala, kiedy zaczęło lać. Zwolnił do sześćdziesięciu i włączył wycieraczki. W radio grali całkiem dobre jazzowe kawałki i przez dłuższą chwilę myślał o Iwonie. Bardzo by chciał, żeby im się udało. Potrzebował w swoim pełnym syfu i chaosu życiu chociaż namiastki stabilizacji. Wiedział jednak, że pewnie niebawem wszystko spieprzy, przecież zawsze to robił. Kobiety, które były tak głupie, żeby go pokochać, koniec końców tylko przez niego cierpiały...

Wjeżdżał na gęsto porośnięty iglakami teren szpitala, kiedy rozdzwoniła się komórka.

– Słuchaj, skoro nadaliście sprawie priorytet, przejrzeliśmy telefon tej Fabianowicz i nie znaleźliśmy nic podejrzanego. Kilka SMS-ów do syna, kilka do przyjaciółek, jakieś bzdurne wiadomości od wrózek. Sprawdzamy resztę numerów, ale już wiemy, że w noc, kiedy zaginęła, nikt do niej nie dzwonił. – Jak zawsze konkretna prokurator Nina Morawska darowała sobie powitanie i od razu przeszła do rzeczy.

– A co z jej mieszkaniem? Jakies ślady nocnego wtargnięcia? Coś podejrzanego? Jest szansa, że ktoś wywłókł ją nocą z domu, czy raczej wyszła dobrowolnie?

– Technicy twierdzą, że śladów włamania nie ma, a zamki są

nieuszkodzone. Jeśli ktoś się tam zjawił i wyciągnął ją z mieszkania pod przymusem, musiał mieć klucz. Zresztą obok spał syn, to chyba zbyt ryzykowne.

- A były mąż? Swego czasu ponoć strasznie się szarpali.

- Nie mam pojęcia, Bugi. Wiesz, że na takim etapie śledztwa nie lubię spekulować. Odezwę się niedługo, cześć.

- Cześć - powiedział Krzysztof, chociaż Nina zdążyła się już rozłączyć.

W szpitalnej poczekalni panował spory ruch. Gość w zakrwawionej bluzie trzymał w górze dłoń z palcami owiniętymi kraciastą szmatą, matka z płaczącym wniebogłosem niemowlęciem w ramionach nerwowo przechadzała się po korytarzu, a dwie starsze kobiety uspakajały wyraźnie podenerwowanego, na oko czterdziestoletniego mężczyznę w rozciągniętym szarym dresie. Bugaj podszedł do recepcji, starając się nie myśleć o dramatycznych okolicznościach, w jakich znalazł się tu ledwie kilka godzin wcześniej.

- Szukam kogoś, kto dobrze zna Aleksandrę Fabianowicz - zagadnął rejestratorkę, bezpardonowo wpychając się przed otyłego jegomościa w ciemnym płaszczu.

- Zaraz, chwilę! Kolejka jest! - ofuknął go gość, ale Bugaj nawet na niego nie spojrzał.

Kobieta posłała mu blady uśmiech i sięgnęła po telefon.

- Zadzwoń po Monikę, przyjaźniły się - powiedziała.

Bugaj zauważył, że jest ładnie opalona, i pomyślał o dzikiej plaży dla nudystów, na którą lubił czasem zaglądać. Szkoda, że lato minęło...

- Ola nadal się nie odnalazła? - zapytała rejestratorka, kiedy już skończyła rozmawiać. - Wie pan, ona w życiu nie zostawiłaby syna. Coś musiało się stać - dodała, a w jej dużych szarych oczach

zaślśniły łzy. – Myśli pan, że ktoś mógł zrobić jej krzywdę? Tyle się teraz słyszy, świat oszalał...

– Na tym etapie śledztwa nie potrafię pani niczego powiedzieć. Szukamy jej, proszę być dobrej myśli – rzucił Bugaj nieco zbyt oficjalnym tonem, a stojący obok grubas wyraźnie zwiesił uszy, nasłuchując.

– Ktoś zaginął? – zapytał, ale nikt mu nie odpowiedział.

Kobieta, która chwilę później wysiadła z windy, była chodzącym przeciwieństwem swojej zaginionej przyjaciółki. Zwalista, wręcz masywna, z kruczoczarnym warkoczem upiętym wokół głowy i ciemną karnacją, w niczym nie przypominała drobnej, jasnowłosej i jasnookiej Aleksandry Fabianowicz, której zdjęcie Bugaj dostał od nastoletniego syna zaginionej.

– Chodźmy do kafeterii, o tej porze powinno tam być w miarę pusto – powiedziała nowo przybyła, podając Krzysztofowi rękę. – Monika Adamska, przyjaźnię się z Olą od dość dawna.

Uścisnęli sobie ręce. Jej dłoń była ciepła i pulchna, zaskakująco przyjemna w dotyku. Idąc za nią w stronę kafeterii, Krzysztof bezwiednie zlustrował wzrokiem jej opięte pielęgniarским uniformem pośladki, i doszedł do wniosku, że pomimo swojej zwalistości Adamska miała całkiem proporcjonalne kształty i kuszące wcięcie w talii.

W szpitalnej kawiarence było duszno i sterylnie czysto. Usiedli przy okrągłym stoliku pod oknem, z dala od uszu czytającego gazetę szpakowatego lekarza w wymiętym kitlu.

– Właściwie nie wiem, od czego zacząć – powiedziała cicho Monika Adamska. – Olka miała swoje problemy, miewała też gorsze dni, ale żeby coś takiego... Wie pan, ja nigdy nie uwierzę, że ona przepadła gdzieś z własnej woli, nigdy! Przecież Maciek to jeszcze dzieciak, nie zostawiłaby go! Coś musiało się stać...

- A konkretniej? Miała jakichś wrogów? Krążyły jakieś plotki? Sypiała z kimś nieodpowiednim? Co potrafi pani powiedzieć? - Krzysztof, nie bawiąc się w dyplomację, szybko przeszedł do sedna.

Monika Adamska przez dłuższą chwilę wpatrywała się w zalane deszczem okno i w rozświetloną ogrodowymi lampami ciemność na tyłach szpitala. W końcu spojrzała Bugajowi prosto w oczy i lekko się zaczerwieniła.

- Nie wiem, czy powinnam o tym mówić... - zaczęła niepewnym głosem.

- Pani Moniko, nie muszę chyba pani przekonywać, jak ważny jest dla nas czas... Pani przyjaciółka wyszła z mieszkania w środku nocy i do tej pory nie nawiązała z nikim kontaktu. Czy kiedykolwiek wcześniej zdarzały jej się takie zniknięcia?

- Olce? Nigdy. Jak już mówiłam, była świetną matką, miała dobry kontakt z synem. Zresztą dobry, to chyba mało powiedziane. Oni rewelacyjnie się dogadywali. Chłopcy w jego wieku wolą już raczej spędzać czas z kolegami, ale Maciek nie miał nic przeciwko domowym wieczorom w towarzystwie Oli. Grali w karty, w szachy, oglądali filmy, razem gotowali. Maciek uwielbiał te ich kuchenne eksperymenty. Bywało, że następnego dnia Olka przywoziła nam do pracy usmażone przez niego naleśniki.

- A to coś, o czym przed chwilą nie bardzo chciała pani mówić, to...

- Tak, przepraszam. Gadam od rzeczy, podczas gdy ona... Chodzi o jej niedawny związek. Zresztą związek to chyba za dużo powiedziane. Wie pan, jak to jest - szpitalny romans, niby banalna sprawa. Miała być czysta zabawa, ale Olka się zakochała...

- W kimś stąd, z miejskiego?

- Tak, w lekarzu. Nazywa się Wiktor Trębacz, jest radiologiem. Spotykali się niedługo, góra cztery miesiące, ale Olka kompletnie straciła dla niego głowę. Zaczęła go namawiać na rozwód, bardzo chciała czegoś więcej niż te ich potajemne nocne spotkania w zabiegowym. Bywała namolna, naciskała go, a kiedy przestraszony jej zachowaniem zaczął się wycofywać, zagroziła, że o wszystkim powie jego żonie.

- Kiedy to było?

- Trochę już minęło. Ostatecznie przestali się widywać jakieś trzy miesiące temu, ale on wciąż jest na nią wściekły. Chociażby o to, że rozgadała o ich romansie pielęgniarce.

- Chwaliła się, że sypia z żonatym? - zdziwił się Bugaj.

- Powiedzmy, że rzucała dość wymowne aluzje. Chciała się na nim zemścić, dowalić mu. Wiedziała, że dzięki temu jego żona prędzej czy później się dowie. W końcu „życzliwych” nie brakuje.

- I dowiedziała się?

- Nie wiem. Ale Wiktor niedawno zmienił pracę. Dojeżdża teraz do Szczecina, znalazł tam jakąś niezłą fuchę w jednej z prywatnych klinik. Żona pojechała z nim, ponoć właśnie wystawili na sprzedaż dom i przenoszą się tam na stałe.

- Myśli pani, że to on? Że mógłby zrobić jej krzywdę? Przyjechać nocą pod jej dom, wyciągnąć ją z mieszkania i zrobić coś złego?

- Nie wiem, naprawdę. Ale on bywa porywczy. Wszyscy świetnie pamiętają, jak pobił się z jednym z pielęgniarzy. Nie wiem, o co poszło, ale tamtemu chłopakowi założyli osiem szwów... Z drugiej jednak strony po co Wiktor miałby robić jej krzywdę? Boguśka, jego żona, to jedna z tych płytkich, wygodnych kobiet, które uwieszone na mężu finansowo

i emocjonalnie, wiodą dostatnie życie, spędzając czas w galeriach handlowych i SPA. Wybaczyła mu, wyjechała za nim, zresztą jakie miała wyjście? Od lat nie pracowała, była na jego utrzymaniu...

- A ostatnio? Spotykała się z kimś?

- Olka? Tak, ale to były przelotne znajomości. Zraziła się do mężczyzn, zaczęła sobie wmawiać, że nie ma już ochoty na żadne bliższe relacje. Ale romansować nadal lubiła, jakby chciała pokazać całemu światu, że ona też potrafi się jeszcze dobrze bawić - Adamska uśmiechnęła się blado i dotknęła wiszącego na szyi złotego łańcuszka z okrągłą zawieszka. - Dostałam go od Oli na ostatnie urodziny - powiedziała cicho.

- Kiedy ostatnio panie rozmawialiście?

- Nie wiem dokładnie, chyba jakoś w zeszłym tygodniu. Ostatnio raczej się mijałyśmy... Olka brała mnóstwo dyżurów, ja mam na głowie chorą mamę. Ale jakiś tydzień, może półtora wcześniej wybrałyśmy się razem na kawę. Aleksandra wyglądała na zmęczoną, ale na pewno nie dręczyło jej nic poważnego. Zauważyłabym, na tyle już ją przecież znam...

- Rozumiem, jestem wdzięczny za tę rozmowę. Na koniec zapytam o coś, co może panią zszokować - powiedział Bugaj, patrząc Adamskiej prosto w oczy. - Czy uważa pani, że Aleksandra mogła popełnić samobójstwo?

- Samobójstwo? Boże drogi, nie! Czemu miałyby się zabijać? Zostawił ją mąż, wielkie mi coś. Nie ją pierwszą i nie ostatnią. Miała przecież nastoletniego syna, kochała go!

- To chyba nie jest takie oczywiste. Ludzie z depresją...

- Olka nie miała depresji! W życiu nie widziałam, żeby zażywała jakieś prochy na poprawę nastroju, chociaż sama czasem coś łykam.

- To, że niczego nie zażywała, jeszcze o niczym nie świadczy.

- Ola nie miała depresji - powtórzyła Monika Adamska z naciskiem. - Przepraszam, wzywają mnie na pager.

- Dziękuję za rozmowę. Proszę dać mi znać, gdyby przyszło pani do głowy coś istotnego - poprosił Krzysztof Bugaj, kiedy się żegnali.

Skinęła głową i energicznym krokiem ruszyła w stronę windy.

Bugaj przez krótką chwilę śledził ją wzrokiem, w końcu pchnął wiodące na klatkę schodową drzwi i wyszedł na drugie piętro. Rano Iwona nie chciała z nim rozmawiać, ledwo odpowiedziała na jego powitanie. Czuł jednak, że jego wizyta ją ucieszy. Kiedy wszedł do sali chorych, spała.

- Bidula przepłakała całe popołudnie - szepnęła leżąca na sąsiednim łóżku młoda ruda kobieta w błękitnej nocnej koszuli. - Pewnie marzyli państwo o dziecku, czekali, a tu taki dramat - dodała...

Krzysztof zacisnął usta i skinął głową na tak. Szumiało mu w skroniach i zaschło w gardle, najgorsze były jednak wyrzuty. Wciąż czuł się podle, ale nie potrafił się oszukiwać. Świetnie wiedział, że poronienie Iwony w dużej mierze było mu na rękę.

- Pójdę już - powiedział.

- Niech pan zostanie, posiedzi przy niej - zasugerowała ruda z nadzieją w głosie.

Zerknął na jej szafkę - czekoladki, kwiaty, książka... Z pewnością odwiedzał ją ktoś, komu nie była obojętna...

- Do widzenia - rzucił, ruszając w stronę drzwi.

Ruda wyglądała na zdziwioną, ale nawet słowem nie skomentowała jego zachowania. Zbiegając ze schodów, pomyślał, że powinien chociaż na moment odwiedzić sąsiadkę. Mieszkająca w kamienicy Iwony pani Róża od rana zajmowała się Matyldą. Biorąc pod uwagę, że była w podeszłym wieku, wypadaloby

zapytać, czy czegoś nie potrzebuje. Z drugiej jednak strony nie miał najmniejszej ochoty na żadne pogawędki, więc wsiadł do samochodu i pomimo zmęczenia, wrócił na komendę. W razie czego pani Róża ma przecież mój numer, pocieszył się, szybko zapominając o sprawie.

5

- Niestety Iga ma teraz sesję w plenerze. Coś przekazać? - Młoda i lekko sepleniąca pracownica zakładu fotograficznego na widok policjantów trochę się zmieszała.

- Gdzie konkretnie? - zapytał Bugaj.

- Nie wiem, czy mogę...

- Słońce, po prostu podaj nam adres! - podniósł głos Kiciuś.

- Powinna być w starym młynie za dworcem, tam, gdzie kiedyś Niemcy kręcili ten horror. Ale nie wiem, czy...

- Dzięki! - Młodszy aspirant Krzysztof Bugaj skinął dziewczynie głową i ruszył w stronę oszklonych drzwi.

- Całkiem ładniutkie dziewczę - mruknął Kiciński, kiedy szli w stronę zaparkowanego na zakazie samochodu.

- Nie mój typ. - Krzysztof lekko wzruszył ramionami i podniósł kołnierz wyświechtanej, skórzanej kurtki. - Piżdzi dziś jak w kieleckim. Wierzyć się nie chce, że to dopiero wczesna jesień - dodał.

- Serio nie spodobała ci się ta lala? - zdziwił się Wojciech. - A już myślałem, że każda w miarę fajna babka jest w twoim typie. Kiedy zrobiłeś się aż tak wybredny? - zarechotał, zanim Bugaj sprzedał mu kuksańca.

- Myślisz, że ta cała Melke powie nam coś ciekawego? - zapytał Krzysztof, kiedy jechali wzdłuż nabrzeża.

- Spróbować zawsze warto. W końcu ponoć się przyjaźniły. Tak przynajmniej twierdzi syn tej Fabianowicz. Swoją drogą, paskudna historia. Mam nadzieję, że kobiecie nie przytrafiło się nic

złego.

- Łudzisz się, że sprawa będzie miała happy end? Sorry, chłopie, ale na sopockiej plaży raczej jej nie znajdziemy - rzucił Krzysztof zmęczonym głosem.

- Zawsze widzisz świat w najciemniejszych barwach - mruknął Kicius.

- No wybacz, ale na różowo widzą go jedynie dumne właścicielki lalek Barbie.

- Kurwa, nie o tym mówię! Mógłbyś po prostu czasem założyć, że istnieją bardziej optymistyczne scenariusze!

- Niby jakie? Babka w środku nocy skoczyła do sopockiego SPA i zapomniała zawiadomić syna? Człowieku, ona nie żyje! Ktoś ją stuknął albo zabiła się sama. Jest jeszcze cień szansy, że znajdziemy ją gdzieś ciężko ranną, ale jakoś w to nie wierzę. - Krzysztof zwolnił i zjechał w prowadzącą w stronę budynku starego dworca wąską i pełną kolein drogę. - Zresztą przy tej temperaturze i tak by się pewnie śmiertelnie wychłodziła.

- Kurde, faktycznie jest sesyjka w plenerze! - Na widok modelek ubranych w same wyszywane cekinami kostiumy, Kicius wyraźnie się ożywił.

Fotograf - szczupła wysoka blondynka w jasnych dżinsach i ciemnogrnatowej kurtce, pokrzykiwała właśnie na towarzyszącego jej młodego chłopaka.

- Cholera, Michał, skup się! Znowu widzę blendę!

Policjanci wymienili rozbawione spojrzenia i podeszli bliżej.

- Pani Iga Melke? - zapytał Bugaj, kiedy atrakcyjna fotograf zerknęła w jego stronę.

- Nie widzi pan, że pracuję? - syknęła.

- Kiedy ostatnio widziała pani Aleksandrę Fabianowicz? - spytał zupełnie niewzruszony jawną niechęcią Igi Melke.

- Olę? Trzy, może cztery dni temu - powiedziała. - Dziewczyny, weźcie koce i schowajcie się w środku! - krzyknęła w stronę trzęsących się z zimna modelek. - Tylko błagam, nie spieprzcie sobie włosów! No nie dotykaj ich, Martyna! Przecież wiesz, że fryzjerka już dziś skończyła!

Kiciński zmierzył wzrokiem modelki. Dziewczyny trzęsły się z zimna, a niewielkie kolorowe koce, którymi właśnie się owijały, nie wyglądały na szczególnie ciepłe.

- Dość chłodno na takie zabawy - zauważył Krzysztof.

- Miałam już okazję pracować w o wiele trudniejszych warunkach. Dziś przynajmniej jest słońce. Zresztą dobre modelki nie narzekają, a marudne długo się w zawodzie nie utrzymają... - Iga Melke sięgnęła po leżący na pniaku termos i zapytała, czemu interesują się jej znajomością z Olą.

- A jak pani myśli? - Bugaj odpowiedział pytaniem i kopnął jedną z leżących na ziemi szyszek.

- Coś się stało Oli? Są panowie z policji? - Iga Melke wyraźnie zbladła.

- Starszy sierżant Kiciński i młodszy aspirant Bugaj. Kiedy widziałyście się panie po raz ostatni? - zapytał Wojciech, przysiadając na sąsiednim pniaku.

- Już mówiłam, trzy, może cztery dni temu. - Melke naląła sobie herbaty i zakręciła termos.

- A bardziej precyzyjnie?

- Trzy dni temu. Spotkałyśmy się u mnie. Olka wpadła, żeby pogadać.

- O czym?

- O wszystkim. Jej syna ktoś prześladował w szkole, auto ciągle się psuło, w szpitalu miała marne układy z ordynatorem, a...

- Co pani rozumie przez marne układy?

- Nie lubił jej i jasno dawał to do zrozumienia. - Upiła łyk herbaty i spojrzała Bugajowi w oczy. - Coś się stało, prawda? Jakies pół godziny temu usiłowałam się do Olki dodzwonić, ale nie odebrała...

- Wczoraj jej syn zgłosił zaginięcie. Nie pojawiła się w szpitalu i dotąd nie dała znaku życia.

- Boże... - W jasnych oczach młodej fotograf błysnęły łzy.

- Proszę nam opowiedzieć o przyjaciółce. Jakie miała plany, marzenia? Czy to możliwe, że była w depresji? Czy czegoś się bała, ktoś jej groził?

- Groził? Nie, skąd. Chociaż były mąż podobno kiedyś życzył jej śmierci. Ale to było podczas rozwodowej szarpaniny, a przecież czasem rzuca się słowa na wiatr...

- A ten radiolog? Wie pani coś o nim?

- O Wiktorze Trębaczku? Niewiele. Ale oni już się nie spotykają, to skończone. Zresztą od jakiegoś czasu Olka miała innego.

- Kogo? - zapytał Kiciuś.

- Nie wiem. Wiem tylko, że to jakiś szczył. Dwudziestokilkulatek, którego poznała na jednej z imprez w porcie. Chyba w pubie Kapitan, chociaż nie mam pewności.

- I nie zna pani nawet jego imienia?

- Nie. Olka powiedziała mi tylko, że jest świetny w łóżku i bywa nachalny. Mawiała o nim Pan Duża Parówka. - Melke parsknęła nerwowym śmiechem i poprawiła targane przez porywisty wiatr włosy. - Przepraszam... Nie chciałabym, żebyście pomyśleli, że Ola to jakaś puszczalska... Po prostu jest przeraźliwie samotna - dodała cicho.

- Więc nowy amant bywał nachalny? - zainteresował się Krzysztof.

- Tak. Aleksandra żaliła się, że wydzwania do niej nawet

nocami, że wymusza spotkania. Dla niej to był tylko przelotny romans, a on chciał czegoś więcej. Ale chyba nie myślicie, że mógł coś jej zrobić? – Załamał się jej głos.

– Gdyby Aleksandra Fabianowicz w jakikolwiek sposób usiłowała się z panią skontaktować, proszę dać nam znać. – Kiciuś wstał z pniaka i dodał, że na tym etapie nie potrafią jeszcze odpowiedzieć na żadne pytania.

– A może przypomina sobie pani jakieś niepokojące rozmowy? Może przyjaciółka zwierzyła się pani z czegoś, co dopiero teraz nabiera sensu? – zapytał jeszcze Krzysztof.

– Nie, chyba nie. Wiem, że miała długi, ciężko jej się żyło. Przy mężu lekarzu nauczyła się rozrzutności, teraz musiała sobie radzić sama. Bartosz płaci co prawda na Maćka, ale wiadomo, jakie marne alimenty zasądzają polskie sądy. Choć zawsze mogła pożyczyć ode mnie i świetnie o tym wiedziała. Zresztą nie należała do tych kobiet, które wciąż zamartwiają się o pieniądze. Owszem, lubiła wydawać, ale kiedy nie miała, potrafiła zacisnąć pasa.

– Dobra, to tyle. Będziemy w kontakcie. – Bugaj skinął Idze głową i kopiąc po drodze kolejną szyszkę, ruszył w stronę pozostawionego przy na wpół zrujnowanym budynku starego młyna samochodu.

Wsiadali do auta, kiedy Melke coś do nich krzyknęła.

– Coś sobie przypomniałam! – powiedziała zdyszana, kiedy szybkim krokiem podeszła do audi Krzysztofa. – Olka od niedawna spotykała się z dość dziwnym gościem. To były ksiądz i jeśli o mnie chodzi, całkiem nawiedzony koleś.

– Ten, który organizuje te cudaczne, pseudomodlitewne spotkania w stodole? – z drwiną w głosie spytał Kiciuś.

– Tak. Olka była nim zauroczona. Mówiła, że od dawna z nikiem

tak dobrze jej się nie rozmawiało. Pamiętam, że byłam nawet o tę ich relację trochę zazdrosna.

- Spotykali się u niego?

- Nie wiem, chyba różnie. Lubili ponoć bywać w tej knajpie z grillem. Tam, gdzie w piątki podają dużego łososa z frytkami gratis.

- W Zimnej Flądrze? Dawno tam nie byłem. - Kiciuś uśmiechnął się do swoich myśli i zmierzył Igę wzrokiem. - Dzięki. Dobrze, że nam pani o tym wspomniała.

- Znajdźcie ją, proszę. Nie wyobrażam sobie, że coś mogło jej się stać...

- Szukamy. - Bugaj skinął głową na pożegnanie i wsiadł do samochodu.

- Słyszałem, że ten były księżulo ma wokół siebie cały harem moherów. Gośka mi mówiła, że niemal wszystkie stare baby z okolicy biegają na jego modlitewne spotkania - rzucił Kiciński rozbawionym głosem.

- A co innego mają do roboty? - Bugaj wzruszył ramionami.

- Koleś podobno ma charyzmę - zarechotał Wojciech.

- Z pewnością. W przeciwnym wypadku nie wyżyłyby z robienia starych bab w wała - mruknął Krzysztof. - Przecież to pewne, że koleś żyje z tak zwanego co łaska.

- A człowiek tyra jak wół. - Kiciński gwałtownie się rozkaszał i oparł o zagłówek. - Podrzucisz mnie pod salon Gośki? Muszę z nią pogadać.

- Znowu macie kryzys?

- Nie. Tym razem chcę zaprosić ją na kolację.

- Nie możesz przez telefon?

- Tak będzie romantyczniej. No nie patrz tak! Utrzymanie związku to ciężka harówka - rzucił Kiciuś komicznie poważnym

tonem.

Bugaj wybuchł śmiechem.

- Skoro tak mówisz...

6

Pozwieszane z drewnianych belek starej stodoły oszklone latarenki z Ikei rozświecwały wnętrza ciepłym bursztynowym blaskiem. Ludzie schodzili się wolno - część zjawiała się samotnie, część przychodziła w towarzystwie sąsiadów czy przyjaciół. Ubrany w ciemne dżinsy i gruby czarny golf, były duchowny Filip Czaplicki wyjadał z plastikowego woreczka resztki pestek z dyni, uważnie przypatrując się wchodzącym. Większość podchodziła, żeby się z nim przywitać, ale byli też tacy, którzy bez słowa siadali w kącie i czekając na rozpoczęcie spotkania, w skupieniu trwali w milczeniu. Filip przecesał palcami gęste, lekko kręcone ciemne włosy i potarł zmarznięte dłonie. Przez uchylone drewniane drzwi wpadło zimne, wieczorne powietrze; w środku zdawało się być chłodniej niż zazwyczaj.

- Pochwalony! - Niewysoka śniada kobieta po pięćdziesiątce weszła do stodoły w towarzystwie swojego najmłodszego syna, otyłego jedenastolatka z zespołem Downa.

- Dalej tak wieje? - zagaił rozmowę gospodarz, jednocześnie przyglądając się młodej, wysokiej brunetce w jasnym płaszczu.

Dziewczyna zjawiała się we wspólnocie pierwszy raz i chyba czuła się niepewnie. Czaplicki miał ochotę wstać i zaprowadzić ją na miejsce, wiedział jednak, jak bardzo starsze kobiety potrafią być zazdrosne nawet o takie niewinne gesty. Siedział więc bez ruchu, zapatrzony w płomień migoczącej świecy.

- A wieje, wieje. Łeb urwać chce. - Wyraźnie zasapana pięćdziesięciolatka zdjęła kaptur z głowy milczącego dotąd

chłopca i usiadła na jednej z drewnianych ław.

Towarzyszące jej dziecko wyglądało na zmarznięte i lekko zmęczone, ale się nie skarżyło, tylko siedziało cicho z głową opartą o ramię matki.

Kwadrans później słabo oświetlona stodoła mieściła już ponad czterdziestu miejscowych - głównie starsze kobiety i towarzyszące im dzieciaki. Było też kilka młodziutkich dziewczyn i trzech mieszkających w okolicy mężczyzn, których Filip znał przelotnie.

Wstając, posłał blady uśmiech jednej z najbliższej siedzących kobiet.

- Zanim zaczniemy, chciałbym podziękować za wszystkie wasze modlitwy. Wiecie już, że zaginęła moja przyjaciółka, i wierzę, że wspieracie ją modlitwą - zaczął Czaplicki przyjemnie niskim, dźwięcznym głosem.

W stodole od razu zawrzało. Starsze kobiety szeptem wymieniały uwagi, młodsze rozglądały się po ciemnych kątach, jakby tylko czekały na jakieś niecodzienne wydarzenie.

- Aleksandra jest jedną z nas. Pracując w szpitalu, zrobiła wiele dobrego dla bliźnich. Pamiętajmy o tym - dodał były ksiądz, a dwie siedzące w pierwszym rzędzie kobiety zaczęły głośno klaskać.

Anna Bugaj pchnęła ciężkie drewniane drzwi od stodoły, kiedy czuwanie dawno się rozpoczęło, ale czuła, że nikt z obecnych nie ma jej za złe spóźnienia. Sama nie wiem, po co tu przychodzę, pomyślała, siadając obok zajeżdżającej cebulą starszej kobiety w kwiecistej chustce na głowie. W Boga przestała przecież wierzyć już w dzieciństwie, czego więc szukała wśród tej rozmodlonej wspólnoty? A może wcale nie chodziło o modlitwę? Może po prostu wśród ciepła ludzkich ciał czuła się odrobinę

mniej samotna? Rozpięła płaszcz, którego szorstki wełniany kołnierz nieprzyjemnie drapał ją w szyję. Po chwili wyjęła z torebki komórkę, którą zapomniała wyciszyć przed wejściem.

Zerkając na wyświetlacz, miała nadzieję, że odezwał się do niej Krzysztof, ale mąż milczał. Wkrótce będziemy pewnie po rozwodzie, przeszło jej przez myśl i nagle zachciało jej się płakać. Jak mógł odejść po tym wszystkim, z czego mu się niedawno zwierzyła?! Jak mógł ją porzucić, upokorzyć, zostawić na pastwę losu?! Tyle lat wybaczała mu wszystkie jego romanse, przymykała oko na zdrady, trwała przy nim na dobre i na złe, a on po prostu się spakował i rzucił ją dla tej zdzirowatej rozwódki... Skurwiel! – pomyślała, chowając do torebki wyciszony telefon.

Melodyjny, niemal radiowy głos Czaplickiego wyrwał Annę z ponurych myśli:

- Zastanówmy się przez chwilę, za co jesteśmy dziś wdzięczni. Za co chcielibyście podziękować, czym się z nami podzielić?

Anna zmrużyła oczy i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w rozświetloną blaskiem latarenek pociągłą twarz byłego księdza. Kiedy przemawiał do nich w kompletnej ciszy, wyglądał niczym przepełniony duchową mocą dobry pasterz znękannej trzódki. Czuła jednak, że to tylko starannie wyćwiczona poza, spora dawka teatralnego talentu. Intuicyjnie wyczuwała w nim manipulanta, który świetnie wiedział, jak wykorzystać ludzką naiwność. Otaczali go ludzie samotni, schorowani, w podeszłym wieku, w ogóle tacy, którzy nikogo innego nie obchodzili, a on świetnie potrafił to wykorzystać. Starsze kobiety przynosiły mu jedzenie, piekły dla niego ciasta, gotowały zupy. Sama przecież widziała, ile słoików z sałatkami czy pojemników z domowym bigosem dostawał. Młodsze strzelały za nim oczyma, każda pełna

nadziei, że to właśnie ją wybierze. Nie był już przecież księdzem, nie musiał żyć w celibacie. Był trzydziestokilkuletnim, przystojnym mężczyzną, który potrafił przyciągać zagubione dusze.

Co ja robię wśród tych wszystkich zdesperowanych ludzi? – pomyślała Anna, przyglądając się skupionym twarzom i złożonym jak do modlitwy rękami. Czemu od paru tygodni obiecuję sobie, że więcej tu nie wrócę, a później wsiadam w autobus i jadę w te pola, na to kompletne odludzie...

Zamknęła oczy. Od rana bolała ją głowa i drapało w gardle. Czuła się też dziwnie wyczerpana, może dlatego, że niemal nic tego dnia nie zjadła. Kawalek drożdżowego ciasta, połówka jabłka, czyli tyle co nic...

Ponownie z zamyślenia wyrwał ją ciepły głos Czaplickiego:

– Wyglądasz na zmartwioną. – Były duchowny usiadł obok niej na masywnej drewnianej ławie i położył rękę na kolanie Anny.

Pomyślała, że to dość osobliwy gest, ale nie odsunęła się. Filip był jedną z niewielu osób, których dotyk jej nie przeszkadzał.

– Masz jakieś problemy? – zapytał.

– Jak każdy. – Wzruszyła ramionami.

– Pogadajmy, tak na spokojnie, tylko we dwoje. Kiedy masz czas, żeby się spotkać? Możemy coś zjeść w miasteczku albo wybrać się na spacer – zaproponował.

Dotarło do niej, że szepcze, jakby nie chciał, żeby siedzące przed nimi starsze kobiety usłyszały, o czym rozmawiają.

– To jak? Dasz się namówić? – Gdy nachylił się bliżej, poczuła lekką nutkę jego wody kolońskiej.

Nagle zdała sobie sprawę, że chciałyby go dotknąć. Wsunąć palce w jego gęste ciemne włosy, pogłaskać świeżo ogolony policzek.

Opanuj się, dziewczyno, pomyślała, ale zdradziecki rumieniec zdążył już zakwitnąć na jej twarzy.

- Masz mój numer, prawda? Zadzwoń, umówimy się - dodał.

- Jeśli znajdę trochę czasu...

- Po prostu zadzwoń - szepnął.

Wyszła ze stodoły kilka minut później, ponieważ spotkanie i tak miało się ku końcowi, a ona zdążyła już zmarznąć. Była mniej więcej w połowie drogi na przystanek, kiedy za plecami usłyszała cichy odgłos silnika. Obróciła się gwałtownie, zdając sobie sprawę, że samotnie wędruje przez pustą i otoczoną drzewami szosę. Szybko jednak poznała furgonetkę Filipa Czaplickiego, bo nawet w otaczających ją aksamitnych ciemnościach samochód wydawał charakterystyczny warkot.

Przystanęła.

- Wsiadaj, podrzucę cię do miasteczka! - Czaplicki zjechał na pobocze i zachęcająco otworzył drzwi od strony pasażera.

- Nie musisz się fatygować, zaraz mam autobus.

- Wsiadaj, żaden kłopot! - rzucił lekkim tonem.

Podchodząc do auta, zauważyła, że nie ma przedniego światła.

- Tak, wiem. Kilka dni temu potrafiłem sarnę - mruknął Czaplicki, kiedy zwróciła mu na to uwagę.

Zatrzasnęła drzwiczki i zapięła pasy.

- Przyglądałem ci się dzisiaj.

- I?

- I myślę, że jesteś jedną z tych osób, które duszą w sobie emocje, dopóki niespodziewanie nie wybuchną.

Bardzo głęboka myśl, zgryźliwie pomyślała Anna, powstrzymała się jednak od komentarza.

- Przeżywasz to wszystko, prawda? Rozwód, odejście męża...

- Skąd wiesz, że...

- Żartujesz? - Roześmiał się. - To miasteczko wielkości pudełka od butów i wszyscy wiedzą wszystko.

- Skąd znalazłeś tę zaginioną kobietę? - zapytała cicho Anna.

- Aleksandrę? Przyjaźniliśmy się. Dobrze nam się rozmawiało, czasem grywaliśmy w bilard.

Używa czasu przeszłego, pomyślała Anna i zacisnęła palce na klamce. Będąc żoną gliniarza, nasłuchiwała się tyłu mrożących krew w żyłach historii, że chyba wpadła w paranoję...

- Nigdy nie widziałam, żebyś wybrał się do miasteczka, zanim wyjdą ostatni goście.

- Dzisiaj się spieszę, przyjaciel mnie potrzebuje. Stodołę zamknie Jędrak, da sobie radę.

- Jak na kogoś, kto mieszka tu dopiero od kilku miesięcy, znasz sporo ludzi - zauważyła Anna tonem, który nawet jej samej wydał się nieco cierpki.

- Lubię ludzi, a oni to czują - odparł ogólnikowo.

Przez resztę drogi milczeli, w końcu Czaplicki wysadził ją przed jej furtką i powiedział, że będzie czekał na telefon. Wysiadając z jego samochodu, Anna pomyślała, że jest w nim coś dziwnego - im bardziej starał się być miły, tym bardziej wydał jej się... podejrzany.

Więcej tam nie pójdę, obiecała sobie, zarazem jednak świetnie wiedziała, że tej obietnicy nie zdoła dotrzymać. Spędzi kilka wieczorów w domu, może spotka się z którąś z koleżanek albo samotnie wyskoczy do kina, aż w końcu upiecze orzechowe ciasteczka i pojedzie na kolejne czuwanie. Najśmieszniejsze było to, że właściwie niewiele tam robili. Czasem śpiewali, czasem zwierzali się sobie nawzajem z drobnych codziennych problemów, czasem coś zjedli, bo ciasta i warzywnych sałatek zawsze było pod dostatkiem. Zdarzały się ogniska, czasem wspólne spacery po

lesie, czyli nic nadzwyczajnego, a jednak czuła się zaskakująco dobrze w towarzystwie tych ludzi, wiedziała, że dziwnie do nich pasuje...

W uliczce ktoś zatrafił. Anna wzdrygnęła się i zerknęła przez ramię.

Szukała w torebce kluczy, kiedy przed dom zajechało audi Krzysztofa. Na widok męża poczuła nie tylko wściekłość, ale i dziwną bolesną tęsknotę jednocześnie.

- Czego tutaj chcesz?! Arek śpi u kolegi, a ja nie mam ochoty z tobą rozmawiać! - syknęła, kiedy podszedł do frontowych drzwi.

Powiedział, że wpadł tylko po sweter, który gdzieś się zawieruszył.

- Co to za koleś cię podrzucił? - zapytał, kiedy otwierała drzwi.

- Czaplicki - powiedziała, z uśmiechem wyższości wchodząc do domu.

- Ten klecha? - prychnął Bugaj.

- Już nie jest księdzem. I wybacz, ale to akurat nie twoja sprawa.

- Zdajesz sobie sprawę, że to śliski typek? Przystojniaczek dający się dokarmiać tutejszym starowinkom. Wiesz, że on żyje z zasiłku, prawda? I z tego, co łaskawie przyśle mu z Hamburga wuj, który notabene jest właścicielem zarówno domu, jak i tej waszej słynnej stodoły.

- Widzę, że bardzo cię to interesuje...

- Mówię, co wiem.

- Oceniasz ludzi po pozorach. Zawsze to robiłeś! - niemal wykrzyczała.

- Nie zaczynajmy, okay? Nie przyszedłem się kłócić.

- Tak, tak, to jasne. Musisz zachować energię dla tej swojej nowej...

- Anka, przytknij się! Wiesz, że Iwona niedawno poroniła, prawda?

- I co? Mam się rozplakać?! A może powinieneś wrócić do domu? W końcu odszedłeś dlatego, że w drodze było dziecko. Teraz dziecka nie ma, a ty...

- Powiedziałem, przytknij się! - krzyknął Bugaj.

- Oddaj mi klucze!

- To również mój dom.

- Już nie! W dniu, w którym zostawiłeś mnie dla tej wywłoki, zatrzasnąłeś za sobą drzwi na dobre!

- Kurwa, jakie to patetyczne! I co? Może jeszcze potniesz nożyczkami moje bety, jak ta twoja pochrzaniona koleżaneczka?!

- Może i potnę. Więc lepiej spakuj klamoty, których jeszcze nie zabrałeś, i zejdź mi z oczu! - krzyknęła Anna.

- Myślałem, że rozstaniemy się z klasą, wiesz? Że nie będzie między nami tych żenujących scen, skakania sobie do gardeł, obrzucania się wyzwiskami...

- Jasne, tak byłoby dla ciebie najwygodniej, ale wiesz co?! Nie zamierzam więcej iść ci na rękę! A teraz bądź tak miły, znajdź ten pieprzony sweter i wypierdalaj stąd! - Anna z malującą się na twarzy wściekłością rzuciła w kąt swój stary wełniany płaszcz i zamknęła się w łazience.

Krzysztof przez chwilę stał przed zamkniętymi drzwiami, jakby się bał, że wkrótce już była żona może sobie zrobić krzywdę. W końcu jednak zdecydował, że to raczej mało prawdopodobne, i przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na górę. Niestety swetra nie znalazł i zaczął żałować, że w ogóle zjawił się w domu. Zanim zszedł na parter, pchnął drzwi od pokoju syna i przez chwilę przyglądał się porozrzucanym ubraniom jedynaka, jakby sam ich widok mógł nieco ukoić tęsknotę. Wiedział, że Arek wciąż obwinia

go za odejście od Anny, miał jednak nadzieję, że z czasem syn mu wybaczy. Wolał się nie zastanawiać, co będzie, jeśli tego nie zrobi...

7

Prokurator Nina Morawska, usiłując nie ześlizgnąć się z błotnistej skarpy, schodziła z pobocza w stronę otaczających miasteczko pól rzepaku, a idący obok niej młody policjant, którego znała jedynie z widzenia, stwierdził:

- Musiała zostać potrącona z dużą prędkością, skoro siła uderzenia odrzuciła ją aż tam.

Morawska przypomniała sobie wyczytaną gdzieś informację dotyczącą wypadków drogowych. Otóż uderzony z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę pieszy ma jedynie piętnaście procent szans na przeżycie. Zerknęła w stronę leżącej na rozmokłej ziemi sylwetki, w której tylko z trudem rozpoznała ludzkie kształty. Ciało leżało w polu, było wygięte pod dziwnym kątem, nieruchome i bezdyskusyjnie martwe. Morawska przełknęła ślinę, starając się nie okazywać emocji. Nie mieli jeszcze pewności, ale były spore szanse, że patrzyła właśnie na zwłoki zaginionej pielęgniarki, której tak rozpaczliwie szukał nastoletni syn.

- Szła od strony parku, więc sprawca musiał ją uderzyć, kiedy była mało widoczna na tym odcinku. - Młody gliniarz machnął ręką, wskazując pobocze, i dodał, że podejrzewa celowe działanie: - Brak śladów hamowania, nic, zero reakcji. Albo kierowca zauważył pieszą na jezdni dosłownie w ostatnich sekundach, albo potrącił ją z premedytacją. Pytanie tylko, skąd w tych egipskich ciemnościach mógł wiedzieć, że poboczem idzie właśnie ona? Chyba że wcześniej ją śledził... - Chłopak mówił już

bardziej do siebie niż do stojącej obok prokurator Morawskiej.

Dopiero kiedy zobaczył idącego w ich stronę aspiranta Adama Szewczyka, przymknął się, spuścił głowę i udawał, że przygląda się butom martwej kobiety.

Nie zwracając uwagi na zbliżającego się kolegę, za którym nie przepadała, Nina pochyliła się nad zwłokami i starając się nie patrzeć na zastygłą w pośmiertnym grymasie twarz ofiary, przyjrzała się jej wierzchniemu okryciu.

- Puchówka, nieco zbyt obszerna. Syn Aleksandry Fabianowicz mówił, że wymknęła się z mieszkania w jego kurtce - mruknęła do siebie.

- Moim zdaniem identyfikacja będzie już tylko formalnością. Jakie są szanse, że znaleźliśmy tutaj kogoś innego? - Młody gliniarz lekko wzruszył ramionami, zerknął w stronę szosy i dodał: - Jest pan doktor.

Nina odwróciła się, zerkając w stronę pobocza, którym szedł jej dobry przyjaciel Marcin Stefańczyk, po którego zadzwonili grubo przed przyjazdem lekarza sądowego. Oficjalnie patomorfologa z pobliskiego szpitala nie powinno tu w ogóle być, ale mieli nadzieję, że coś im podpowie, zanim zjawi się lekarz medycyny sądowej. W końcu w miasteczkach takich jak to bardziej liczyły się sąsiedzkie układy niż protokoły i formalności.

- Cześć. - Stefańczyk pocałował Ninę w policzek i zerknął na ciało. - Biedna kobieta...

Czekali na fotografa, kiedy zaczęło mżyć.

- Kurewska pogoda - mruknął aspirant Szewczyk, sięgając po papierosy.

- Słyszałem, że właśnie zostałeś ojcem. - Stefańczyk klepnął go w ramię i przez chwilę obaj mężczyźni rozmawiali o pobycie na porodówce.

Wieczorem, już po tym, jak były mąż ofiary zidentyfikował zwłoki, potwierdzając tym samym, że znaleźli ciało zaginionej pielęgniarce, powtórnie przeszukali mieszkanie. Ze wszystkich swoich obowiązków Nina chyba najbardziej właśnie tego nie lubiła. Czuła się nieswojo, gdy musiała buszować po należących do tragicznie zmarłych osób rzeczach. Ubrania, notatki, maile, biżuteria... Przeglądała szafki, komody i szuflady, zaglądała w każde możliwe miejsce. Wiedziała, że robi coś pożytecznego, czuła się jednak niczym intruz.

- I co? Mamy coś ciekawego? - Młody gliniarz zerknął jej przez ramię, kiedy przeglądała jeden z leżących na komodzie notesów w złotej oprawce.

- Zrób mi kawy, co? - odpowiedziała, ignorując jego pytanie.

Mruknął coś pod nosem i ruszył w stronę kuchennej wnęki, a po chwili ciszę niewielkiego mieszkania wypełnił przyjazny pomruk elektrycznego czajnika.

- Neska czy coś mocniejszego?! - krzyknął młody gliniarz.

Poprosiła o neskę i sięgnęła po ozdobione kolorowymi cekinami tekturowe pudełko. Rachunek z OBI, doładowanie Orange, kilka paragonów z pobliskiego supermarketu, nic ważnego.

- Znalazłem ciastka. - Chłopak zjawił się w pokoju z garnuszkiem gorącej kawy i wysypanymi na niewielki talerzyk czekoladowymi herbatnikami.

Nina była wściekle głodna. Od rana nie miała nic w ustach poza kawałkiem czerstwej bagietki z masłem czosnkowym, jednak na myśl o zjedzeniu ciastek, które najpewniej były jednym z ostatnich zakupów denatki, straciła apetyt.

- Zabierz to stąd, do kurwy nędzy! - ofuknęła chłopaka i wróciła do przeglądania pudełka.

Zabrał się razem z ciastkami i przez dłuższą chwilę Morawska

w ogóle go nie widziała. W końcu stanął jej dosłownie nad głową, chrząknął i zapytał, czy może jeszcze coś zrobić.

- Sprawdź piwnicę - poleciła. - O ile się nie mylę, klucz powinien wisieć przy lustrze w korytarzu razem z innymi.

- Czego mam szukać?

- Nie wiem, młody! Zdaj się na intuicję, udowodnij, że sobie radzisz! Może znajdziesz pieprzone sanki, a może coś istotniejszego... - Nina wyciągnęła z ozdobnego pudełka ostatnie paragony. - Nic ważnego, kompletne pustkowie...

Trzasnęły frontowe drzwi. Morawska obejrzała się przez ramię, jakby chciała się upewnić, że młody gliniarz na pewno wyszedł, i parząc sobie podniebienie, dopiła wciąż zbyt gorącą kawę. Myśl o oblanych czekoladą ciastkach towarzyszyła jej jeszcze przez chwilę, ale gdy natrafiła na paragony z butiku Bellissima, wzmogła czujność i zapomniała o głodzie. Świetnie знаła to miejsce, sklep należał do najdroższych w okolicy. Staniki z weneckiej koronki, wyszywane ręcznie halki z jedwabiu, majteczki z materiału cieniutkiego jak poranna mgiełka... Bardziej rozrzutne przyjaciółki Niny przepuszczały w Bellissimie majątek.

- Proszę, proszę, stanik za trzysta osiemdziesiąt, komplet za czterysta szesnaście. Pani Fabianowicz lubiła seksowne fatałaszk
- mruknęła pod nosem, podliczając wydatki z ostatnich miesięcy.

Suma, która jej wyszła, niemal przyprawiła ją o zawrót głowy - wychodziło na to, że w ciągu minionego półrocza, pomimo legendarnie wręcz skromnych zarobków pielęgniarek, Aleksandra Fabianowicz wydała na elegancką, zmysłową bieliznę niemal pięć tysięcy złotych!

- Ciekawe - powiedziała Nina półgłosem, wkładając paragony z powrotem do pudełka.

Kończyła przeszukiwać szafę, kiedy na jej komórkę zadzwonił Krzysiek Bugaj.

- I jak? Masz coś ciekawego? - zapytał.

Powiedziała, że niewiele.

- Nic? Żadnych maili z pogrózkami, podejrzanych przesyłek, niczego?

- Bugaj, zwolnij, człowieku! Komputery przejrzy technik, ja przeglądam szuflady! - syknęła.

- Mógłbym tam podjechać, gdybyś chciała...

- Nie ma takiej potrzeby. Lada chwila będzie tu technik, ma też wpaść Kiciński.

- Dobra, jak chcesz - Krzysztof rozłączył się bez słowa pożegnania.

Nina rzuciła telefon na sofę i przygryzła wargi. Zapomniała o czymś? Powinna jeszcze coś przejrzeć? Przeszła do kuchni. Puste puszki po kakao, szuflady z dziesiątkami nieużywanych drobiazgów, lodówka, piekarnik... Dosłownie przejrzała wszystko, nawet stojące na parapecie puste donice.

Technik przyjechał spóźniony i już w progu zapalił.

Ninę rozboleła głowa i postanowiła odsapnąć.

- Gdybyś znalazł coś istotnego, dzwoń - rzuciła, zapinając płaszcz.

- Już pani wychodzi, pani prokurator? - zdziwił się chłopak.

- Nie! Będę tu tkwić przez całą noc i trzymać cię za rączkę! - odburknęła.

- Całkiem kusząca opcja - z uśmiechem odparł młody informatyk.

- Sorry, ale wolę kobiety - rzuciła, z rozbawieniem przyglądając się jego osłupiałej minie.

Na schodach wpadła na gliniarza, którego wysłała do piwnicy.

- Już pani idzie, pani Nino? - zapytał, wyraźnie zaskoczony jej widokiem.

- Panią Niną możesz sobie nazywać szczerbatą babcię sprzedającą na bazarze stringi! - ofuknęła go, mijając się z nim w wąskim przejściu.

- Przepraszam, pani prokurator - wymamrotał, blednąc.

Roześmiała się dopiero przy swoim samochodzie. Oparta o maskę ciemnoczerwonej terenówki śmiała się, dopóki wilgoć wietrznej jesiennej nocy nie przegnała jej z ciemnego parkingu. Odjeżdżając, pomyślała o Aleksandrze Fabianowicz. Nie miała jeszcze pojęcia, co mogło jej się przytrafić, ale w końcu się tego dowie. Może i ofiara była kurewką. Może była szantażystką albo po prostu złym człowiekiem. Ale była też matką nastoletniego chłopca, którego ojciec właśnie zabrał z izby dziecka... Dzieciaka, który już nigdy nie zobaczy najbliższej mu osoby, bo ktoś odebrał jej życie...

Mijając komendę, zwolniła. Miała ochotę pogadać z Krzyśkiem Bugajem, ale szybko zrezygnowała z tej opcji. Przede wszystkim musi odpocząć. Napić się wody, wziąć prysznic, zjeść coś pożywnego. Lubiła życie na wysokich obrotach, ale nawet ona musiała czasem zwolnić. Brało ją przeziębienie i czuła się fatalnie. W dodatku rano musiała być w Szczecinie i chciała złapać chociaż kilka godzin snu. Minęła więc komisariat, zapominając o Bugaju, i tłumiąc ziewanie, skręciła w stronę domu.

8

Krzysztof pchnął uchylone sypialniane drzwi i wszedł do pogrążonego w mroku pokoju. Nie było jeszcze dziewiętnastej, ale Iwona już się położyła. Od powrotu ze szpitala całe godziny spędzała, leżąc na łóżku, i zaczął się o nią martwić. W sypialni było nieprzyjemnie duszno. Bugaj miał ochotę na oścież otworzyć okno, ale ostatnio Iwona stale marzła. Pewnie przez znaczną utratę krwi...

- Powinnaś coś zjeść - powiedział cicho.

Nie odpowiedziała.

Skulona, w starej piżamie, z potarganymi włosami, leżała na łóżku, które nagle wydało się Bugajowi dziwnie szerokie.

- Zrobiłem ci kanapki. Zaraz przyniosę kakao. Powinnaś...

- Idź stąd - szepnęła.

Położył talerz na komodzie i zaświecił nocną lampkę.

- Iwona, kocie...

- Powiedziałam, idź stąd! - Gwałtownie zerwała się z łóżka i oskarżycielsko wyciągnęła w jego stronę palec. - Nigdy ci tego nie wybaczę! Nie chciałeś tego dziecka, przecież wiem!

- Nie skakałem z radości, ale...

- Nie chciałeś go! - powtórzyła, ruszając w jego stronę. - Zostaw mnie samą!

- Powinniśmy odebrać małą od sąsiadki. Nie możemy nadużywać jej życzliwości.

- Chcesz, to ją odbierz. Ja idę spać. - Wzruszyła ramionami.

- Zaraz muszę wyjść. Wiesz przecież, że czeka na mnie Kiciuś.

- Kiciuś?! A może masz już na oku jakąś dziwkę?! No powiedz, bądźmy ze sobą szczerzy! Między nami od dawna nie jest dobrze, nie oszukujmy się! Nie jestem już tą ponętą laską, którą poznałeś! Jestem zmęczona, zaniedbana i chora! No powiedz, przyznaj się! Masz kogoś?!

Zanim zdążył się osłonić, Iwona uderzyła go w twarz i boleśnie przygryzła sobie wargę.

Złapał ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie.

- Uspokój się, nie histeryzuj. Nikogo nie mam, przysięgam!

- Żonie też tak przysięgałeś, kiedy pieprzyłeś się ze mną?! - krzyknęła.

- Nie będziemy tak rozmawiać! - skwitował.

- Jasne, idź! Leć do niej, przecież tylko to cię interesuje!

Krzysztof ruszył w stronę drzwi, jednak w progu się zawahał.

- Chcesz, żebym zadzwonił po twoją siostrę? Mogłaby wpaść, może nawet...

- Boisz się, że otworzę sobie żyły? - syknęła Iwona. - Nie potrzebuję niańki!

- Jak chcesz. - Bugaj wzruszył ramionami i wycofał się do przedpokoju.

Zakładał kurtkę, kiedy usłyszał jej szloch. Nie chciał tam wracać, ale się zmusił.

- Kocie, będzie dobrze - powiedział cicho.

Ale Iwona nawet nie drgnęła. Wtulona twarzą w poduszkę płakała tak rozdzierająco, że miał ochotę wyć. Dlaczego znowu wszystko spierdolił? Czemu kolejna kobieta przez niego płacze? Usiadł na łóżku i położył jej dłoń na plecach.

- Przepraszam... Nigdy w żaden sposób nie chciałem cię skrzywdzić. Gdybym tylko...

- Wynoś się już i zostaw mnie samą! - Iwona cisnęła poduszkę

na podłogę i zakryła twarz dłońmi. – Nawet nie wiesz, jak bardzo cię nienawidzę...

Wstał i wyszedł z pokoju, ale jej ciężki, świszczący oddech słyszał jeszcze przy frontowych drzwiach.

Z chodnika przed kamienicą zadzwonił do Kiciusia i odwołał spotkanie. Kumpel chciał pogadać o planowanej imprezie służbowej, którą tego roku zobowiązali się zorganizować, ale Krzysztof nie miał najmniejszej ochoty, żeby wałkować ten temat. Zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta, a on nie miał pojęcia, dokąd mógłby pójść. Miał ochotę na spotkanie z synem, ale lojalny wobec matki Arek uparcie ignorował jego telefony. Oprócz Wojciecha nie przyjaźnił się bliżej z nikim z komendy; mógł tylko liczyć na przygodne towarzystwo starych kumpli od kieliszka. Po namyśle ruszył w stronę portu i pubu Kapitan. Jeśli miał tego wieczoru wpaść na kogoś znajomego, z pewnością był to najlepszy wybór.

W Kapitanie jak zawsze był tłok. Bugaj czasem zastanawiał się nad fenomenem tego miejsca. Bo jak to możliwe, że ta sypiąca się, zaniedbana nora zawsze była pełna klienteli? Pchnął drzwi. W progu zderzył się z Jaśkiem Wolskim, który wisiał mu stówkę, i zaskoczony dłużnik zrobił zboląłą minę.

– Słuchaj, Bugi, w kwestii tej kasy... – zaczął.

– Nie dzisiaj, chłopie. – Krzysztof klepnął go w ramię i wszedł do zatłoczonego lokalu.

Przy barze zwolnił się akurat wysoki stołek, co bardzo go ucieszyło.

– Piwa mi polej, kotku – poprosił rudą barmankę ze splecionymi w warkoczyki włosami, które upodabniały ją do widywanych przez niego niegdyś w Niemczech młodziutkich Mulatek.

– Wyglądam ci na kotka? – Mrugnęła do niego, sięgając po

kufel.

Zauważył, że ma na przedramieniu nowy tatuaż - syrenę z fantazyjnie wijącym się ogonem.

- Mój najnowszy lover robi tego rodzaju cacka. Gdybyś miał ochotę na takie szaleństwo, mogę ci dać namiary na jego salon. - Dziewczyna od razu się zorientowała, że Krzysztof przygląda się tatuażowi, i postanowiła zareklamować biznes kochasia.

- Nie wiedziałem, że masz nowego faceta. A co z poprzednim? - zapytał, kiedy barmanka postawiła przed nim kufel z piwem.

- Powiedzmy, że pożegłował ku szczęśliwszym wodom. Satisfakcjonuje cię taka odpowiedź? - Uśmiechnęła się, oblizując usta. - No proszę, mały ten świat... Jest i twoja była. - Barmanka kiwnęła głową, posyłając rozbawione spojrzenie komuś za jego plecami.

Bugaj niespiesznie się odwrócił i zauważył Klaudię - laskę, z którą miał kiedyś przelotny i dość burzliwy romans. Dziewczyna też zdążyła go już dostrzec i wydeła usta w grymasie ni to pogardy, ni wyższości.

Złapał za kufel i zsunął się z wysokiego krzesła.

- Cześć. Nie miałem pojęcia, że lubisz tu zaglądać - zagaił, kiedy podszedł bliżej.

Zmrużyła oczy i bawiąc się parasolką ze swojego drinka lekko się uśmiechnęła.

- Co? Nadal się na mnie boczysz? - zapytał Bugaj, siadając obok niej na wytartej sofie z popękanej sztucznej skóry.

- Dobrze wyglądasz - powiedziała.

- Ty też, kotku - rzucił, lustrując wzrokiem jej dekolt.

- Co tam u ciebie? Podobno w końcu odszedłeś od żonki. Dla mnie jakoś nie zdobyłeś się na odwagę...

- Daj spokój, naprawdę chcesz teraz o tym gadać?

- A o czym wolałbyś porozmawiać? - zapytała Klaudia kokieteryjnym tonem.

Krzysztof zdał sobie sprawę, że musiała już sporo wypić, i pomyślał, że być może wieczór nie okaże się aż tak spaprany, jak myślał.

- Może o wspólnym spacerze?

- Naprawdę chcesz wyjść na ten wypizdów? - skwitowała ze śmiechem. - Kup mi drinka, to pogadamy. Skończyła mi się kasa, a jeszcze bym coś wypiała.

- Jasne, królowo. Czego sobie życzysz?

Poprosiła o piña coladę.

Podszedł do baru i wyjął z kieszeni komórkę. Miał nadzieję, że Iwona wysłała mu chociaż SMS-a, ale nie znalazł żadnych nowych wiadomości. Nagle poczuł złość. Jakim prawem obwiniała go o to poronienie?! Fakt, nie zachwyciły go wieści o jej ciąży, ale jakoś by się z tym wszystkim pogodził. Dzieciak przyszedłby na świat, on wzięłby go na ręce i przepadłby z kretesem. Tak to przecież zazwyczaj bywa. Tymczasem Iwona traktowała go niczym największego wroga, oskarżała o rzeczy, na jakie nie miał najmniejszego wpływu...

- Zamyśliłeś się... Kłopoty w rajku? Podobno ta twoja Iwonka ma charakterek... Moja przyjaciółka pracowała z nią kiedyś w Lidlu i powiedziała, że...

- Uważaj na słowa, słońce - Bugaj lekko popchnął w jej stronę kieliszek z piña coladą i dodał, że będzie lepiej, jeśli wrócą do stolika.

- Nie boisz się, że ktoś nas razem zobaczy? Że ktoś podszepta twojej Iwonce, co dziś robiłeś? - zapytała złośliwym tonem.

- To może od razu jedźmy do ciebie? - zaproponował.

Roześmiała się i odrzuciła do tyłu długie, ciemne włosy.

- Bezczelny jak zawsze! Ale chyba właśnie to tak kiedyś w tobie lubiłam - powiedziała. - Problem w tym, że nie chce mi się wychodzić na tę wicherę... Chodź. - W rekordowym tempie dopiła drinka i złapała Krzysztofa za rękę.

Toalety były na samym końcu ciemnego, klaustrofobicznie wąskiego korytarza z odłazającą ze ścian farbą - pulsujący nad wejściem do nich neon z napisem „WC” zawsze Bugaja śmieszył. W końcu i bez niego każdy chyba by tu trafił...

Klaudia uśmiechnęła się znacząco i puściła mu oczko.

- Jesteś pewna? - zapytał, nie do końca przekonany co do wyboru miejsca.

Zdarzało mu się już co prawda pieprzyć z poderwanymi w pubie panienkami na parkingu przed Kapitanem i w lasku za knajpą, ale w kiblu?

Jego towarzysze bynajmniej nie przeszkadzała kiepska lokalizacja.

- Jasne, niby czemu nie? Miejsce dobre jak każde inne. - Klaudia pchnęła drzwi od damskiej łazienki, ale szybko zmieniła zdanie. - Męska będzie lepsza. Nie chciałabym w końcu wpaść na którąś z tych upiornych starych bab z sąsiedztwa, które grają w bilard na drugiej sali - zdecydowała.

Krzysztof wszedł za nią do środka i zamknął drzwi na zasuwkę. W środku niemiłosiernie cuchnęło moczem, a brudna goła żarówka była przepalona. Musiała im wystarczyć wpadająca przez umiejscowioną wysoko w drzwiach szybką niebieskawa poświata z korytarza.

- Przynajmniej już wiemy, po co ten neon - mruknął Bugaj.

- Uroczo... - syknęła Klaudia, kładąc na obramowaniu umywalki niewielką i wyglądającą na tanią torebkę.

Musnął jej rozchylone usta czubkiem języka i przez dłuższą

chwilę całowali się, błędząc rękoma po swoich ciałach. Klaudia wyszarpała zza paska jego bluzkę, leciutko drapiąc go w plecy paznokciami, a on pieścił jej krągłe pośladki. Oparła się o wykafelkowaną ścianę. Wsunął dłoń między jej uda. Pomimo panującego na zewnątrz chłodu nie miała na sobie rajstop i Krzysztof przypomniał sobie, że w ich wspólnych czasach lubiła je ściągać, kiedy tylko weszli do pubu. Ponoć w nich było jej za gorąco...

- Dalej nosisz je w torebce? - wymruczał, przygryzając płatek jej ucha.

Roześmiała się, odchylając głowę do tyłu. Podniósł jej sukienkę, zsunął skąpe czerwone majtki i pospiesznie rozpiął rozporek. Ktoś zaczął szarpać za klamkę, w końcu ostro załomotał w łazienkowe drzwi.

- Spieprzaj, człowieku! Zajęte! - warknął Krzysztof.

- Śniłeś mi się ostatnio - powiedziała Klaudia z wymownym uśmiechem.

Wziął ją na stojąco, opartą plecami o zimną ścianę. Smród uryny dosłownie zapierał dech, ale nie o tym myśleli. Ten, kto dobijał się do drzwi, szpetnie zaklął, ale odpuścił. Krzysztof wbijał się w byłą kochankę gwałtownie, jakby nawet w ten sposób chciał podkreślić, że tylko się z nią pieprzy i nie ma to nic wspólnego z miłością. Dziewczyna była cięższa, niż zapamiętał, ale nie przeszkadzało mu to. Na szyi czuł jej ciepły oddech, w lędźwiach rozchodziło się przyjemne ciepło, żeby w końcu eksplodować w jej wnętrzu. Złapała go za włosy i szarpnęła. Syknął z bólu i w tym samym momencie w niej skończył. Zakładała majtki, kiedy ponownie ktoś załomotał do drzwi.

- Kurwa, człowieku, moment! - wrzasnął Bugaj, wsuwając koszulę do spodni.

Kiedy wyszli, niemal wpadli na sterczącego przed drzwiami otyłego brodacza, w którym Bugaj rozpoznał jednego z miejscowych sklepikarzy, gościa, który od ponad dziesięciu lat prowadził w miasteczku niewielki salonik prasowy.

- Sorry, chłopie. Siła wyższa - mruknął, kiedy go mijali.

Sklepikarz nie odpowiedział. Zmierzył ich pełnym zaciekawienia wzrokiem i w pośpiechu, wyraźnie speszony, zamknął się w pozbawionej światła męskiej toalecie.

- Idę o zakład, że koleś będzie dziś miał upojne sny. Chyba że od razu pojeździ sobie na ręcznym - zaśmiała się Klaudia.

Zawsze była tak zenująco wulgarna, czy może wcześniej po prostu tego nie dostrzegalem? - zastanawiał się Krzysztof, kiedy wracali na salę.

- Napijesz się jeszcze czegoś? - zapytał bardziej z grzeczności niż chęci spędzenia z nią dalszej części wieczoru.

Poprosiła o kolejną piña coladę i wymamrotała coś o konieczności skorzystania z łazienki.

- Tylko tym razem idź do damskiej - zażartował Krzysztof.

Kiedy wróciła do stolika, podsunął w jej stronę drinka i skłamał, że właśnie dostał pilny telefon.

- Wybacz, muszę jeszcze na moment wpaść na komendę - powiedział.

Klaudia wzruszyła ramionami, jakby było jej kompletnie obojętne, z kim spędzi resztę wieczoru. Zanim wyszedł z Kapitana, zauważył, że zagadnęła siedzącego samotnie przy barze młodego nauczyciela fizyki. „Dziwka”, pomyślał i skrzywił się, zaskoczony falą niespodziewanej zazdrości. Z ciebie to jest, chłopie, prawdziwy pies ogrodnika, powiedział sobie w duchu, wychodząc na szalejącą na zewnątrz wichurę.

9

W Zimnej Flądrze jak zawsze było tłoczno. Lawirując pomiędzy zbyt ciasno poustawianymi stolikami, Anna zmrużyła oczy, wypatrując wśród gości znajomej twarzy Filipa Czaplickiego. W lokalu pachniało przepalonym tłuszczem i było przeraźliwie duszno, więc z ulgą zdjęła kurtkę i przeczesła palcami niesforne włosy. Filipa zauważyła, dopiero kiedy przeszła przez pierwszą salę – siedział na patio z oszklonym dachem i przeglądał kartę. Na jej widok wstał. Pomyślała, że to urocze. Było w tym goście coś niedzisiejszego, a ona zawsze lubiła szarmanckich mężczyzn.

- Cieszę się, że dałaś się namówić na to wyjście - powiedział, podsuwając jej krzesło.

Zaczerwieniła się. Chyba nagle do niej dotarło, że siedzi przy stoliku z przystojnym byłym księdzem, a otaczający ich ludzie znacząco im się przyglądają.

Zapytał, na co ma ochotę.

- Nie wiem, chyba na łososia. Tu zawsze jest dobry. - Wzruszyła ramionami.

- Wyglądasz na lekko podenerwowaną. A może... zmieszaną? To chyba lepsze słowo. Jakby nasza znajomość w pewien sposób cię stresowała - powiedział, podając jej kartę.

- Nie, ja tylko... Tak. Cholera, nie wiem, co ci mam powiedzieć. Tu nawet nie chodzi o ciebie. Po prostu odkąd odszedł ode mnie Krzysztof, nie lubię chodzić w publiczne miejsca. Wydaje mi się, że wszyscy się na mnie gapią - szepnęła, oblewając się zdradzieckim rumieńcem.

- Nie ty powinnaś się wstydzić. To on nie docenił tego, co miał.
- Filip Czaplicki samymi opuszkami palców musnął jej dłoń i spojrzał Annie głęboko w oczy. - Jesteś niesamowitą kobietą, pamiętaj o tym. Noś głowę wysoko, bo to nie ty zawiniłaś - dodał.

Nie odpowiedziała. Jego przemowa wydała jej się nieco zbyt pompatyczna. Czuła jednak wdzięczność za każde dobre słowo, była złaźniona uwagi, głodna drugiego człowieka. A on jak nikt dotąd potrafił poświęcić jej tyle swojego czasu...

- Zdecydowali się państwo? - Młody piegowaty kelner wyrósł jak spod ziemi i Anna znowu się zaczerwieniła.

- Nie, my jeszcze... - zaczęła, ale Czaplicki nie dał jej dokończyć.

- Weźmiemy dwa razy łososia z grilla, dwie marchwiowe sałatki i po kawałku szarlotki - powiedział.

Dawno nikt za mnie nie decydował, pomyślała Anna. Kiedy jeszcze zdarzało im się z Krzysztofem jeździć na wspólne wakacje, bywało, że mąż składał zamówienie, nie pytając jej o zdanie. Odrobinę ją to wtedy irytowało, teraz jednak nie czuła złości. Wręcz przeciwnie, spodobała jej się myśl, że on tak się o nią troszczy.

- Czemu wciąż jesteś sam? Przyglądam się czasem młodym dziewczynom, które przychodzą na nasze spotkania, i widzę, jak na ciebie patrzą. Nie kusi cię, żeby z którąś się związać? - zapytała, kiedy kelner postawił przed nimi wiklinowy koszyczek z zawiniętymi w radośnie czerwone chusteczki sztućcami.

- Osobliwe pytanie. - Filip uśmiechnął się samymi kącikami ust.

- Zazwyczaj ludzie chcą wiedzieć, czemu zrzuciłem sutannę...

- A czemu to zrobiłeś? - zapytała Anna.

- Spodziewasz się pewnie jakiejś łzawej historii? Masz nadzieję, że zakochałem się w pięknej parafiance albo...

- Po prostu powiedz prawdę - tym razem to ona weszła mu w słowo.

- Cóż... Prawda jest nieco banalna. Któregoś dnia wstałem, wziąłem prysznic, ogoliłem się i czekając, aż usmażą się jajka, zdałem sobie sprawę, że od dawna nie wierzę. To nawet nie był kryzys czy jakieś wątpliwości. Byłem stuprocentowo pewny, że Bóg to wymysł tych, którzy lubią sterować umysłami maluczkich. Zobacz na zgniliznę w Kościele, na to, co się dzieje na świecie. Rzezie, gwałty, nienawiść - jesteśmy zwykłymi zwierzętami! Biskup długo usiłował przekonać mnie do pozostania w stanie kapłańskim, ale nie widziałem celu. Wolę coś robić dla ludzi, będąc całkowicie niezależnym od Kościoła - wyznał.

- Więc nie usłyszę historii o miłości do seksownej parafianki? - roześmiała się Anna.

- Nie wiem, czy to była miłość, ale podobała mi się kiedyś pewna kobieta... Była bardzo zaangażowana w życie parafii, pomagała organizować wiele modlitewnych spotkań, śpiewała w chórze. Któregoś dnia, kiedy zostaliśmy sami w jednej z salek katechetycznych, objąłem ją w tali, opowiadając kawał. Nigdy więcej nie zjawiła się w naszym kościele, a ja dotąd mam wyrzuty, że tak się stało.

- Widać przestraszyła się własnych uczuć - powiedziała cicho Anna.

- Albo ja zachowałem się jak idiota. Nie powinienem był jej dotykać. Nie było w tym nic erotycznego, ale... Zmieńmy temat. - Uśmiechnął się blado.

Łosoś był wyśmienity. Zjedli ze smakiem, co nie przeszkodziło im spałaszować deseru.

- Opowiedz mi o swoim małżeństwie - poprosił Filip, kiedy wyszli już na zewnątrz i ruszyli wzdłuż ciągnącego się w stronę

portu betonowego nabrzeża.

Od morza silnie wiało i Anna założyła obrębiony futrem kaptur.

- Co chciałbyś usłyszeć? Pobraliśmy się, urodziłam syna, jakoś między nami było... Raz lepiej, raz gorzej, ale znośnie. Dopiero kilka lat po ślubie zdałam sobie sprawę, że wyszłam za człowieka, który pomimo najszczerzych chęci nie potrafi dochować mi wierności. Zawsze kiedy dowiadywałam się o jego kolejnym romansie, Krzysztof przysięgał, że już nigdy więcej mnie nie zdradzi. A później spotykał następną kobietę, tracił dla niej głowę i zabawa zaczynała się na nowo. Nie znam się na psychologii, ale myślę, że spokojnie można go nazwać seksoholikiem. Co gorsza, nigdy nie dał się namówić na terapię, twierdził, że wyolbrzymiam... Tę ostatnią przygodę też zdołałam mu już wybaczyć. Naiwna jestem, co? Wmówiłam sobie, że przecież jest dom, jest dziecko, że nie możemy tak po prostu skreślić tych wszystkich wspólnych lat... A później ta zdzira zaszła w ciążę, a on... Przepraszam, jestem wulgarna... Może dlatego, że czuję się zdradzona, upokorzona i wściekła. Jakby ktoś po raz setny podeptał moje uczucia, rzucił w błoto wszystko, o co przez lata dbałam. - Anna gwałtownie się zatrzymała i oparła o metalową barierkę dzielącą nabrzeże od pełnej kolein drogi do portu. - Wiesz, co najbardziej mnie boli? Odszedł, kiedy całkowicie się przed nim obnażyłam. Psychiczenie, nie fizycznie. - Zaśmiała się nerwowo.

Czaplicki słuchał w milczeniu, zapatrzony we wzburzone morze, nieruchomy.

- Myślę, że w takim układzie masz prawo zacząć wszystko od nowa. Kościół uważa sakrament małżeństwa za nierozzerwalny, ale nigdy tak do końca się z tym nie zgadzałem. Ile upokorzeń można znieść, zanim zniszczy się w sobie cały szacunek dla

własnej osoby? Walczyłaś o niego, dawałaś mu kolejne szanse. Nie wykorzystał ich, jego sprawa – powiedział w końcu.

– Cieszę się, że tak myślisz – szepnęła.

Ruszyli dalej skuleni, szarpani gwałtownymi podmuchami. Byli mniej więcej w połowie nabrzeża, kiedy trzech jadących na deskach wyrostków zaczęło rzucać wulgarne komentarze pod adresem Filipa.

– O kurwa, księżulo ma randkę! Seks jest śmiertelnym grzechem, ojczulku! – wrzasnął jeden z chłopaków, mijając ich na desce.

Anna otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale Filip wyraźnie zbagatelizował problem.

– Daj spokój, to tylko durni smarkacze.

– Obraził cię! Nie słyszysz, że...

– Mówię, daj spokój! Chodźmy stąd. – Pociągnął ją za rękę i kuląc się z zimna, wskazał palcem pobliski bar. – Napijemy się herbaty, co?! Straszny ziąb!

– Powinieneś jakoś zareagować! Nie mieli prawa tak do ciebie mówić! – krzyknęła Anna.

– A co według ciebie miałem zrobić? Spuścić im łomot? Strzelić kazanie? Życie nauczyło mnie, żeby nie zwracać uwagi na takie nic nieznaczące incydenty. Są większe problemy, przecież wiesz. Chociażby Aleksandra... Nie mogę przestać o niej myśleć. Umierała samotnie, na poboczu ciemnej i pustej drogi, z myślą, że już nigdy nie zobaczy syna. Młoda, piękna kobieta...

– Wspominałeś, że się przyjaźniliście. Długo się znaliście?

– Kilka tygodni, niedługo. Ale od razu się polubiliśmy, wiesz, jak to czasem bywa. Ola była jedną z osób, z którymi od samego początku czułem się zaprzyjaźniony. I świetnie grała w bilard... – Uśmiechnął się. – Ludzie mówią, że ktoś potrafił ją celowo,

słyszałaś? Właśnie w takich chwilach zdaję sobie sprawę, że Boga nie może być na tym chorym świecie, w którym przyszło nam żyć - dodał po chwili, podtrzymując szarpany wiatrem kaptur.

- Bóg dał nam wolną wolę - przypomniała mu Anna.

- Cóż, może to był jego błąd? - powiedział Filip ostrym tonem.

- Co przez to rozumiesz? Jak inaczej moglibyśmy być istotami, które w każdy możliwy sposób o sobie decydują?

- Więc może Bóg, kimkolwiek jest, powinien stworzyć nas zupełnie inaczej? Skąd w ludziach to zezwierzęcenie, skąd te chore myśli, pragnienia, czyny? Czemu się zabijamy, gwałcimy, zniewalamy? Tyle ludzkiej krzywdy dookoła, nie widzisz tego?! - Czaplicki podniósł głos, a jego ton znowu zabrzmiał nieco zbyt... teatralnie.

Idąca obok Anna spojrzała na jego profil, starając się nie myśleć o rozbitym reflektorze w jego furgonetce. Szybko jednak zawstydziły ją własne myśli i poczuła się podle. Przecież powiedział, że potrafił sarnę. Nie powinnam nawet przez chwilę zastanawiać się nad tym, czy byłby zdolny do czegoś tak nieludzkiego. To dobry człowiek, szlachetny, powtarzała sobie w duchu, idąc ramię w ramię z mężczyzną, który okazał jej tyle zrozumienia.

10

Maciek Fabianowicz szybkim krokiem wyszedł z budynku szkoły i ruszył na jej tyły, w stronę boiska. Od dawna nie wychodził frontowym wyjściem, znacznie bliżej do domu miał, kiedy przeciskał się przez rozciągnięty metalowy pręt ogrodzenia i szedł na skróty przez niewielki brzozowy lasek. Przy płocie rzucił plecak na ziemię i zaczął przechodzić na drugą stronę. W lasku przysiadł na zwalonym pniu i wyjął z plecaka napoczętą dzień wcześniej paczkę marlboro, którą udało mu się ukraść ze sklepu przy stacji paliw. W plecaku chłopaka rozdzwoniła się komórka, ale nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Jediną osobą, z którą chciałby pogadać, była matka. Tyle że ona już nigdy nie zadzwoni...

Zapalniczkę wydobył drżącymi rękoma. Od morza silnie wiało i z trudem udało mu się zapalić papierosa. W końcu jednak zaciągnął się dymem i zaraz potem gwałtownie się rozkaszał. O telefonie przypomniał sobie chwilę później - tak, jak przypuszczał, dzwonił do niego ojciec. Przez chwilę zastanawiał się, czy oddzwonić, w końcu dał sobie spokój. I tak niebawem dotrze do domu.

Na myśl o mieszkaniu coś ścisnęło go w żołądku. Ojciec przyjechał po niego z Niemiec, kiedy policjanci zdążyli już skończyć swoją robotę, ale przecież wiedział, że grzebali w rzeczach mamy, przewracali wszystko do góry nogami... Wspominając matkę, pod powiekami poczuł łzy. Chłopacy z jego klasy nazywali go czasem w żartach maminsynkiem, ale nic sobie

z tego nie robił. Kochał ją i nie zamierzał się tego wstydzić. Wiele razem przeżyli i potrafili być dla siebie prawdziwym oparciem.

Dopalając papierosa, przypomniał sobie o zdjęciach. Nie dalej jak tydzień wcześniej byli na Helu, gdzie zrobił jej kilkanaście fotek swoją komórką. Musnął palcem dotykowy ekran i wszedł do galerii. Matka w fokarium, szeroko uśmiechnięta, w cienkiej czerwonej kurtce i zielonym szalu. Matka na jednej z ulic Jastarni, w kawiarni, autobusie... Przyglądał się zdjęciom, nie trudząc się już, żeby powstrzymać łzy. Wyglądała tak promiennie, zwiewnie. Zawsze dotąd myślał, że każdy człowiek w jakiś sposób przeczuwa nadchodzącą śmierć, ale na jej roześmianej twarzy nie dostrzegł nawet cienia niepokoju.

Kto zrobił jej coś tak potwornego? - pomyślał. Ładna i młoda psycholog policyjna powiedziała mu, że jego mama padła ofiarą wypadku, ale przecież wiedział, że ktoś potrącił ją celowo. Przeczytał w lokalnej gazecie, nie był idiotą... Zaburczało mu w brzuchu. Sięgnął do plecaka i wyjął zbożowego batona, którego rano zostawił mu w kuchni ojciec, ale chociaż ssało go z głodu, nie potrafił go zjeść. Komu zrobiła coś złego? - zastanawiał się. Kto z jej znajomych jest zdolny do czegoś tak nieludzkiego? I czy to możliwe, że ujdzie mu to na sucho? - pomyślał, a jego szczupłymi ramionami wstrząsnął gwałtowny szloch.

- O kurwa, patrzcie! Cienias siedzi i się maże! - głos Czarka, jednego z dokuczających mu od dawna starszych chłopaków sprawił, że Maciek aż podskoczył. - Co ty, chłopie, beczysz?! Mażesz się tu jak jakaś cipa?! - drwił dalej wyrostek.

- Stracił matkę, nie? - wtrącił cicho stojący obok, ciemnowłosy chłopak, ale Cezary z całą pewnością nie należał do najbardziej empatycznych osób pod słońcem.

- Każdy coś kiedyś stracił, taki los - rzucił pogardliwym tonem,

po czym złapał Maćka za kołnierz podniszczonej granatowej kurtki. - Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę, cieniasie! - Pchnął go, a on stracił równowagę i poleciał na ziemię.

- Fajki ma, pajac! Że niby pali, szczył! - dodał ten z ciemnymi włosami, sięgając po leżącą na zwalonym pniu paczkę marlboro.

Maciek Fabianowicz wstał i zacisnął ręce w pięści, robiąc kilka kroków w stronę agresora.

- Co, ćwoku?! Chcesz jeszcze zarwać w ryja?! - prowokował Czarek.

- Zostawcie mnie w spokoju! Odwalcie się, kurwa!

- Bo co?! Polecisz na skargę do mamusi? A sorry, zapomniałem... Ona już cię nie utuli.

- Ona nie żyje! Jak możesz tak mówić?! - krzyknął Maciek łamiącym się głosem.

- Nie żyje, bo była zwykłą szmatą! Dawła wszystkim naokoło, to się doigrała! - szydził Cezary.

Maćkowi pociemniało przed oczyma. Nie zważając na to, że jest młodszy i o wiele drobniejszy, rzucił się na prześladowcę z pięściami, szybko jednak z powrotem wylądował w błocie.

- Kiedy pogrzeb? Mój starszy brat chciałby przyjść, może nawet kupi jakiś wiecheć? Twoja mamuśka ponoć całkiem dobrze mu zrobiła - Cezary roześmiał się chrapliwie, po czym sprzedał zapłakanemu chłopakowi kopniaka w żebra i pogwizdując, ruszył wzdłuż otoczonej brzoza ścieżki.

Maciek przez dłuższą chwilę leżał na ziemi, drżąc z zimna, upokorzenia i szoku. Jakim prawem ci szmaciarze oceniali jego matkę, jakim prawem tak o niej mówili?! Nawet jeśli przespała się z kilkoma nieodpowiednimi facetami, nikt nie miał prawa mówić o niej takich rzeczy, myślał, ocierając łzy rękawem.

Tego popołudnia nie wrócił do domu. Ojciec dzwonił do niego

kilka razy, ale nie odbierał komórki. Kręcił się po porcie, w końcu dotarł w pobliże starych bunkrów, gdzie jakiś czas temu znaleziono zamarzną na śmierć nastoletnią ciężarną Litwinę. Po zmroku znacznie się ochłodziło i zaczął drzeć. Od rana nic nie jadł, a cienka kurtka nie chroniła przed idącą od morza wilgocią. Wiedział jednak, że nie ma ochoty wracać do mieszkania, zwyczajnie nie potrafi. Kiedy ojciec go zostawił, całymi wieczorami wypatrywał przez okno jego sylwetki. Później jednak nastał czas żalu, złości i urazy. Porzucił ich, a teraz udawał, że mu na nim zależy. Zabierze go do Niemiec, da dach nad głową, przygarnie jak bezpańskiego psa. Z litości, z musu, z poczucia obowiązku. Ale ja chrzanię litość, nie potrzebuję już niczego od nikogo! - pomyślał ze złością.

Przed dwudziestą pierwszą przemarznięty i wściekle głodny wrócił do centrum, gdzie na jakiś czas zaszył się w salonie gier. Właściciel lokalu szybko jednak wypatrył kręcącego się przy automatach małolata, i kazał mu się zabierać.

Zaczęło mżyć. Chłopak podniósł kołnierz kurtki i ruszył przed siebie wzdłuż cichych uliczek zabudowanych bliźniaczo podobnymi szeregowymi domkami. Kilka minut później dotarł do mniej zadbanego osiedla, na którym mieszkali głównie pracownicy przetwórci ryb i portu. W tym samym momencie zdał sobie sprawę, że dosłownie za rogiem mieści się warsztat samochodowy starszego brata Cezarego. Gnoja, który rozповідаł, że spał z jego mamą! Na myśl o tym Maciek zacisnął usta. Nienawidził ludzi, którzy upokarzali innych, po prostu ich nie cierpiał!

Szybkim krokiem ruszył w stronę autoserwisu. Na miejscu przystanął za od dawna nieczynnym i zamkniętym na głucho kioskiem, po czym zerknął w ciemne okna stojącego przy

warsztacie domu. Gdybym po prostu pchnął furtkę i wszedł do środka, a później zbił szybę na tyłach, mógłbym zaproszyć ogień, pomyślał, i nagle zrodzony pomysł błyskawicznie urósł do rozmiarów obsesji. W domu nie było nikogo, to wiedział na pewno. Ojciec Cezarego pracował za barem w jednym z lokali w centrum, matka dawno temu wyjechała do Hiszpanii i ślad po niej zaginął. Brat pewnie gdzieś pił, a Cezary? O Cezarym nie myślał, jeśli chodzi o niego, to skurwiel mógł zdychać! Rozejrzał się po ciemnej uliczce i ze spuszczoną głową przebiegł przez jezdnię.

W oddali zaciekle ujadął pies, ale najbliższa okolica była pusta.

Maciek podszedł do furtki i nacisnął kłamkę. Bramka okazała się otwarta, jakby cały wszechświat popierał jego mściwy plan. Ogród był zarośnięty i pełen gratów. Stary, oparty o płot rower, beżowa syrenka będąca jednym z najbardziej rozpoznawalnych reliktywów minionej epoki. Maciek przypomniał sobie, jak będąc dzieckiem, widywał jeżdżącego nią ojca Cezarego, i poczuł pod powiekami łzy. Skrzywdzę niewinnego człowieka i puszczę z dymem wszystko, na co przez lata ciężko pracował, pomyślał. Z drugiej jednak strony wciąż nie potrafił wyrzucić z myśli szyderczego głosu Cezarego, który nazwał jego nieżyjącą matkę szmatą.

- Pożałujesz tego - szepnął, podchodząc do domu.

Kamień wziął z ogrodowego skalniaczka - duży, ciężki, idealny. A później wyjął z kieszeni zapalniczkę, owinął dłoń szalikiem i rozbił szybę na tyłach zaniedbanego, parterowego domu. Do środka wgramolił się, drąc kurtkę o wystający ze starej okiennej ramy gwóźdź. Przez dłuższą chwilę przyzwyczajał wzrok do panujących wewnątrz ciemności - tu nie docierało światło ulicznych latarni i było naprawdę mroczno. Ścisnął w dłoni

zapalniczkę, zaciskając na niej zbielełe palce. Ukradł ją kiedyś nauczycielowi chemii, a teraz miał jej użyć, żeby się zemścić, przeszło mu przez myśl. Uliczką wolno przejechał jakiś samochód i chłopak nagle się wystraszył. Musi działać, zanim ktoś lub coś pokrzyżuje mu plany!

Pierwsze zajęły się firany. Maciek, zafascynowany niecodziennym widowiskiem, przyglądał się, jak płoną, leciutko powiewając na wpadającym przez rozbite okno wietrze. W końcu, krztusząc się od dymu, wybiegł z pokoju, wyzywając się w duchu od idiotów. Powinien przecież najpierw ustalić drogę ucieczki, a dopiero później wzniecać ogień. Było już jednak za późno... Miał jednak fart. Okno od kuchni, do której wbiegł na oślep, podpierając się o ściany, otwarło się bez trudu, i chłopiec wygramolił się na zewnątrz. Zeskakując na trawę, źle wylądował i lekko wykręcił sobie kostkę, wiedział jednak, że musi uciekać, że teraz nie ma już wyjścia - musi biec, dopóki starczy mu sił.

Doktor Wiktor Trębacz wszedł na parking jednej z prywatnych szczecińskich klinik i ruszył w stronę ośmioletniego volkswagena. Może w końcu uda mi się kupić nowy samochód, pomyślał, szukając kluczyków w kieszeni wełnianego płaszcza, prezentu od żony. Na myśl o Boguście lekko się skrzywił. Raczej nie powinna nazywać prezentami tych wszystkich rzeczy, które od czasu do czasu mu kupowała, skoro płaciła za nie zarobionymi przez niego pieniędzmi. Sama nie pracowała od lat, co dawniej jakoś mu nie przeszkadzało, ale od jakiegoś czasu zaczęło coraz bardziej drażnić. Czasem obserwował ją, kiedy kręciła się po domu, i usiłował sobie przypomnieć, co takiego kiedyś w niej zobaczył... Kiedy się poznali, dużo czytała i interesowała się psychologią. Teraz brała do ręki co najwyżej jakieś szmatławce romanse, czasem którąś z babskich gazet. Kilka razy zasugerował, że wyłoży kasę, żeby mogła rozkręcić własny biznes, ale nie była zainteresowana. Znacznie wygodniej było wydawać to, co zarobił mąż, pomyślał z niechęcią.

Dochodził do samochodu, kiedy zaczęło mżyć. Przyspieszył kroku i ostatni raz zerknął w stronę kliniki. W sumie nawet dobrze, że przenieśli się do Szczecina. Na zapytaliowym prowincjonalnym zadupiu, gdzie mieszkali przez ostatnie lata, czuł się mocno ograniczony zawodowo, wręcz sfrustrowany. Tutaj, z lepszym sprzętem i zupełnie innym nastawieniem personelu, praca stała się czystą radością, pomyślał, otwierając volkswagena. I jeszcze ta żenująca historia z Aleksandrą... Idiotka

naprawdę miała nadzieję, że rzuci dla niej wszystko i w jednej koszuli na grzbiecie zacznie od nowa... Była aż tak skrajnie naiwna? A może po prostu wyrachowana? Często się nad tym zastanawiał, ale jakoś nie potrafił jej rozgryźć.

W drodze do domu podjechał po dwunastoletnią Izę i jej nową przyjaciółkę Hanię, bo dziewczynki prosto ze szkoły jechały na siatkówkę.

- Mogłam jechać autobusem, mówiłam ci! - kiedy udało mu się w końcu zaparkować w pobliżu wejścia do szkoły, z wyrzutem powitała go córka.

- Rozmawialiśmy o tym wiele razy, prawda? Wolę was podzucić - mruknął.

- Dzień dobry! - Hania, wysoka i przeraźliwie szczupła dziewczynka z koszmarnie wystającymi zębami, w ślad za Izabelą wślizgnęła się na tylne siedzenie.

- Co tam w szkole? - zagaił Wiktor, zerkając we wsteczne lusterko.

Jednak dziewczyny były już zbyt zajęte sobą, żeby w ogóle raczyć mu odpowiedzieć. Chichocząc, paplały o jakimś Damianie, i Wiktor zrozumiał, że na konwersację nie ma raczej szans.

Pod żenująco zaniedbaną halę, w której córka od niedawna grała w siatkę, dotarli jakiś kwadrans później.

- Zadzwoń do mnie wieczorem albo chociaż wyślij SMS-a - poprosił Wiktor córkę, która tego akurat dnia miała spać u nowej koleżanki.

- No, okay - mruknęła Iza i nie zegnając się z ojcem, wysiadła z samochodu.

Trębacz zawrócił i ruszył w stronę centrum. Do mieszkania, które tymczasowo wynajęli od dawnego znajomego, dotarł w całkiem niezłym nastroju. Boguśka wyjechała do siostry

i zamierzała zostać w Poznaniu jeszcze przynajmniej cztery dni. Zdał sobie sprawę, że nie tylko za nią nie tęskni, ale jest bliski euforii na myśl o jej nieobecności.

Ściągnął płaszcz, wkopał buty pod komodę, czego nienawidziła żona, i ruszył w stronę ciemnej, pozbawionej okna kuchni. Mieszkanie było małe i aż się prosiło o remont, ale miał to gdzieś. Kiedy tylko uda im się sprzedać dom, znajdą coś odpowiedniego i wprowadzą się na dobre. Drinka zrobił sobie jeszcze przed obiadem – odrobina whisky zawsze działała na niego kojąco. Chętnie wypiłby drugiego, ale planował wieczorne wyjście i krótką podróż autem.

Właśnie odgrzewał zostawiony przez żonę bigos, kiedy w niewielkim salonie rozdzwoniła się komórka. Zestawił garnek z ognia i ruszył szukać telefonu.

Dzwonił Rafał, kolega, z którym pracował w poprzednim szpitalu. Wiktor był pewien, że kumpel chce pogadać o planowanej przez nich na wiosnę wyprawie do Wenecji, ale przyjaciel nie miał dobrych wieści.

- Zastanawiam się, czy już wiesz... - zaczął niepewnym, wyraźnie podenerwowanym tonem. Zwyczajowe i nieco zbyt wylewne powitanie tym razem sobie darował.

- Wiem o czym? - zdziwił się Wiktor, poluzowując elegancki jedwabny krawat, kolejny prezent od żony, za który zapłaciła jego pieniędzmi.

- O Aleksandrze - sprecyzował Rafał i na moment w słuchawce zapadła cisza.

- O Fabianowicz? A co z nią? Znowu opowiada pielęgniarce, jak się ze mną rżnęła w zabiegowym? - ze złością odparł Wiktor, rzucając zdjęty przed momentem krawat na zawaloną zmiętymi ubraniami córki podniszczoną sofę.

- Nie żyje.

- Co?! Co ty pierdolisz, człowieku? Jak nie żyje?! - Nawet doktora Trębacza, który znacznie częściej obcował ze śmiercią niż przeciętny śmiertelnik, i tak na moment kompletnie wmurowało.

- Wypadek. Szła nocą wzdłuż szosy i ktoś ją potrącił. Ludzie już gadają, że ponoć celowo. Wiesz, jak jest, w naszej dziurze wszyscy wiedzą wszystko - powiedział Rafał. - Wybacz, jeśli spieprzyłem ci dzień, ale wolałem, żebyś dowiedział się ode mnie. Niebawem pewnie będzie u ciebie policja. Ktoś na pewno zdążył im już nagadać o waszym romansie.

- Kurwa, tylko tego teraz mi trzeba! - zaklął Wiktor, opadając na sofę.

- Przykro mi, chłopie. Wiem, że byliście blisko...

Blisko?! Po prostu posuwałem tę napaloną sukę, pomyślał, ale zachował to dla siebie.

- Jasne, dzięki. Słuchaj, muszę kończyć, bo zaraz odbieram młodą z siatkówki - skłamał Rafałowi i pospiesznie się rozłączył.

Komputer włączył, dopijając whisky, po czym podwinął rękawy eleganckiej prążkowanej koszuli i usiadł za biurkiem. Zdjęcia! W pierwszej kolejności powinien pozbyć się zdjęć! Wiktor zdał sobie sprawę, że jeśli policja zacznie przeczesywać jego foldery, będzie z nim marnie. Fotek nie było zbyt wiele, ale każda z nich mogła stanowić świetny dowód na to, że łączące ich stosunki nie należały do zwyczajnych.

Otworzył pierwszy folder, niewinnie zatytułowany „Konferencja radiologiczna 2011”, i zaczął przeglądać zdjęcia. Aleksandra naga, zakneblowana, ze skórzaną obrozą na szyi i wyraźnymi siniakami na przedramionach, leżała na betonowej podłodze piwnicy starego domu, w którym swego czasu się spotykali. Budynek należał do znajomego, który wyjechał służbowo do Indii,

a Wiktor świetnie wiedział, jak wykorzystać sposobną okazję do zabawy. Niemal skasował folder, kiedy się zawahał. Jakaś pamiątka powinna mu przecież pozostać, pomyślał i pospiesznie wgrał zdjęcia na pendrive'a.

Kwadrans później, taszcząc stary komputer, który postanowił podarować bratankowi, wyszedł z domu. Samochód zostawił jednak przed kamienicą. Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby został złapany na jeździe pod wpływem i powiązany ze sprawą podejrzaną śmierci Aleksandry Fabianowicz.

Czekając na zamówioną taryfę, przypomniał sobie jedną z chłodnych kwietniowych nocy, którą spędzili razem. Żonie nakłamał, że jedzie na konferencję, Aleksandra zawiozła syna do przyjaciół i mieli czas tylko dla siebie. Przywiązał ją wtedy do krzesła i szarpiąc za włosy, wyzywał od najgorszych. W końcu spuścił jej się na twarz, a ona błagała o więcej.

Na samo wspomnienie czuł podniecenie, ale też pogardę. Ta kobieta pozwalała mu na wszystko, na każdą, nawet najohydniejszą pornoigraszkę. Liczyła, że zdoła go przy sobie zatrzymać, czy może naprawdę była jedną z tych rąbniętych suk, które uwielbiają być poniżane? - zastanawiał się, wsiadając do taksówki. Pendrive'a zawiózł młodszemu bratu, jedynej na świecie osobie, której w stu procentach ufał. Przy okazji podrzucił mu dawno obiecaną, przywiezioną z Irlandii whisky, i znalazł chwilę, żeby wysłuchać monologu o małżeńskich problemach Jacka. Do Szczecina wrócił pekaesem, żał mu było na kolejną taksówkę. Nie żeby był skąpy. Przerazało go jedynie tempo, w jakim Boguśka trwoniła tak długo przez niego gromadzone oszczędności. Fakt, znalazł nową, świetną pracę, ale i tak wolał mieć coś na czarną godzinę. Kto wie, co czyhało za rogiem? Być może niebawem będzie musiał opłacić naprawdę dobrego

adwokata.

12

Tego wieczoru, inaczej niż zwykle, mieli się spotkać o późniejszej porze, dopiero po dwudziestej pierwszej. Dzień wcześniej Filip rozesłał im SMS-y z prośbą o przełożenie godziny czuwania. Przyświecając sobie latarką, Anna szła pełną kolein drogą wzdłuż pól, zastanawiając się, czy nie powinna przyjechać późniejszym busem. Wieczór był mglisty i chłodny, jednak wiatr znacznie zelżał, niemal odpuścił. Potknęła się i cicho zaklęła, a chwilę później wybuchła nerwowym śmiechem. Mieszkała w tej odludnej, zalesionej okolicy od dziecka, teraz jednak poczuła się nieswojo. Może to przez tę pogodę? Nigdy nie lubiła mgły, która otulając okolicę welonem bieli, przywodziła jej na myśl widziane w młodości horrory. Omiotła latarką rosnące przy drodze krzaki; snop światła wydobył z ciemności ponure, zagadkowe cienie.

Przyspieszyła, zastanawiając się, czemu przyjechała sama. Zazwyczaj umawiała się na przystanku z kilkoma innymi kobietami, które regularnie zjawiały się na czuwaniach. Wilgoć lekko skręciła jej włosy, przenikała do szpiku kości, otulała. Anna niemal biegła, wypatrując znajomych konturów pogrążonego w ciemnościach starego domu. Do celu brakowało jeszcze jakichś dwustu metrów, kiedy za jej plecami coś niepokojąco zaszeleściło. Odwróciła się gwałtownie i krzyknęła, gdy tuż przed nią wyrosła zwalista męska sylwetka.

- Spokojnie, to ja. - Niski głos Filipa brzmiał łagodnie, niemal kojąco.

- Chryste! Przestraszyłeś mnie niemal na śmierć! - Wzdrygnęła

się, mając nadzieję, że nie usłyszał drżenia w jej głosie.

- Nie wymawiaj imienia bożego nadaremno! - powiedział. - No nie patrz tak, żartowałem. Myślę, że Bóg-którego-nie-ma, nie zwraca uwagi na takie detale - dodał lekkim tonem.

- Nie miałam pojęcia, że lubisz się włóczyć po polach w całkowitych ciemnościach - rzuciła Anna, chowając do kieszeni zgrabiałe od chłodu dłonie.

Gdy Filip wziął od niej latarkę, pomyślała, że zawsze, kiedy są razem, traktuje ją z taką atencją...

- Zastanawiałem się nad paroma sprawami. Lubię takie wieczorne spacerunki. Ale ty nie powinnaś chodzić tędy sama - powiedział. - Jak myślisz, nie za późno na spotkanie? Część osób może liczyć tylko na pekaesy... - dodał po chwili.

- Busy jeżdżą do późna - odparła Anna.

- Pewnie tak. Zmarzłaś? Cała drżysz - zauważył. - Dobrze, że jesteś wcześniej. Zdążymy jeszcze wypić herbatę.

- Myślałam o naszej ostatniej rozmowie. O tym, co powiedziałaś... I nadal nie mieści mi się w głowie, że ktoś mógłby celowo tę kobietę potrącić. Nie znałam jej osobiście, ale słyszałam, że była lubiana. Sama mam niewiele starszego syna. Na myśl o tym, że ten chłopak został praktycznie sam, mam ochotę sięść i płakać.

- Dzieciak ma ojca.

- Ale stracił matkę! - Nie wiedzieć czemu, Anna podniosła głos.

- Wyobrażasz sobie, jak on będzie z tym żyć? Zginęła w tragicznych okolicznościach, nie mogę przestać o tym myśleć...

- Takie rzeczy się zdarzają. W takim żyjemy świecie - powiedział cicho Filip.

- I już?! To cały twój komentarz?! - zachnęła się.

- A co mogę dodać?! Czy pocieszy cię cokolwiek, co powiem?!

Stało się, ona nie żyje. Nam pozostaje cieszyć się każdą chwilą, bo człowiek nie zna dnia ani godziny...

- Nie jesteś już księdzem, ale gadasz jak oni - mruknęła.

Chwilę później potknęła się, a on odruchowo objął ją w tali i przyciągnął do siebie.

- Przepraszam - powiedział, kiedy znieruchomiała, niemal sparaliżowana nagłym kontaktem.

- Gnębi cię coś, o czym jeszcze nie rozmawialiśmy, prawda? - zapytał, gdy wchodzili do domu. - Kiedyś ktoś bardzo cię skrzywdził, i to nie był twój mąż - dodał.

Nie odpowiedziała, a on nie naciskał. Po omacku znalazł kontakt i niewielki przedpokój zalała fala zaskakująco jaskrawego światła. Anna spojrzała na gołą żarówkę.

- Muszę w końcu kupić lampę - powiedział Filip, jakby zdołał się domyślić, że właśnie o tym pomyślała.

- Skromnie tu - zauważyła.

- Niemal spartańsko. To dom mojego wuja, brata mojej matki. Od lat mieszka w Hamburgu, prowadzi tam kilka niewielkich barów szybkiej obsługi. Dom zostawił do mojej dyspozycji, w zamian za drobne usługi remontowe i ogólny dozór mieszkam tu sobie za psie pieniądze. Wejdz, nastawię czajnik - powiedział Czaplicki, kiedy przystanęli w progu zaskakująco przestronnej, skromnie urządzonej kuchni.

Czajnik był emaliowy, staromodny. Będąc młodą mężatką, Anna miała bardzo podobny, ale to było długie lata temu, prawie szesnaście...

- Usiądź. - Filip zrzucił z krzesła stos gazet i postawił na stole dwa wyszczerbione porcelanowe kubki. - Wolisz herbatę, czy może zrobić ci kakao? Zmarzłaś, a tu jest chłodno.

- Herbata wystarczy - powiedziała, rozpinając kurtkę.

Szukał czegoś w szafce, kiedy wypadła mu z rąk jedna z dużych, metalowych puszek z markowym napisem Lipton.

- Cholera! - zaklął, zbierając z podłogi banknoty o wysokich nominałach, które z niej wypadły. - Resztką oszczędności - dodał dziwnie podenerwowanym głosem.

- Nie powinieneś ich trzymać w banku?

- Wiele tego nie ma - skwitował, wzruszając ramionami.

Anna miała jednak zupełnie inne wrażenie. Kiedy drżącymi rękoma zbierał z podłogi kasę, wydawało jej się, że jest tego całkiem sporo, może nawet kilka tysięcy.

- Pij, zaraz musimy iść. Pekaes pewnie już dojeżdża na przystanek, zaraz zejdzie się reszta - powiedział.

Objęła dłońmi przyjemnie ciepły garnuszek i zapatrzyła się w ciemność za oknem. Filip przez dłuższą chwilę krzątał się po kuchni gdzieś za jej plecami, w końcu podszedł, przysunął sobie taboret i usiadł obok.

- Powiedz mi prawdę, czemu przyjechałaś dziś wcześniej? - zapytał.

Siedział blisko, zbyt blisko. Na policzku czuła jego ciepły oddech, dłoń swoim zwyczajem położył jej na kolanie. Do tej pory Annie to nie przeszkadzało, teraz nagle się przestraszyła.

- Chodźmy już! - zerwała się zza stołu, niemal strącając garnuszek z ledwie napoczętą herbatą.

- Powiedziałem coś nie tak? Boisz się mnie? Myślałem, że się przyjaźnimy - powiedział z lekką urazą w głosie.

- Po prostu chodźmy. Zaraz przyjdą inni - szepnęła.

Do stodoły dotarli w ciężkim milczeniu. On świecił jej pod nogi latarką, ona szła ze spuszczoną głową i skulona z zimna. Reszta dotarła kilka minut później - zdążyli akurat pozapalać oszklone latarenki, kiedy do środka weszło kilka roześmianych, starszych

kobiet.

- Zrobiłam gulasz, będzie na dwa dni. - Jedna z nich, siwa i drobna sześćdziesięciolatka, która przez lata pracowała w miejscowej przetwórni ryb, podała Czaplickiemu olbrzymi słoje z mięsem.

Druga wręczyła mu coś, co wyglądało na owinięte w foliową torbę żaroodporne naczynie z zapiekanką, i zaczęła mówić o kierowcy pekaesu, który niepomny na trudne warunki jechał jak wariat.

Anna usiadła z samego tyłu i oparta o ławkę, z ulgą przymknęła oczy. W stodole było przeraźliwie zimno, wiedziała jednak, że kiedy zejdą się ludzie, zrobi się znośniej. Czasem pili ciepłą herbatę - plastikowe kubki krążyły po pomieszczeniu, kobiety rozdawały je, śmiejąc się i przekomarzając. Sama nigdy nie pomagała przy serwowaniu jedzenia, ale czuła, że nie mają jej za złe. Większość z nich chyba nawet to lubiła, jakby opiekując się przez lata swoimi bliskimi, świetnie wiedziały, czego innym trzeba do szczęścia.

Tym razem czuwanie zaczęło się nietypowo. Filip, który zazwyczaj na początku milczał, teraz wyszedł na środek i zaczął mówić o tajemnicach, które wszyscy skrywają w sercach.

- Znaście się od lat, mieszkacie w sąsiedztwie, wasze dzieci chodzą do tej samej szkoły. Ale co tak naprawdę o sobie wiecie? - zaczął, a w stodole zapadła wymowna cisza. - Co tak naprawdę potraficie o sobie powiedzieć?! - podniósł głos. - Wanda robi fantastyczny gulasz i szyje wieczorowe sukienki. Urszula samotnie wychowuje chore dziecko i lubi piec. Teresa kocha koty, przygarnia każdą kocią znajdę. Tyle wiem, ale co z resztą? Co skrywacie za tymi uśmiechami, o czym boicie się mówić?! - zapytał.

Kobiety milczały. Dwóch siedzących z przodu mężczyzn wymieniło spojrzenia i jak na komendę zebrało się do wyjścia.

- Tak, możecie stąd wyjść, jasne! Pomyślcie jednak, od czego wszyscy uciekacie? - powiedział Filip, kiedy zamknęły się za nimi drzwi.

Anna słuchała, przypatrując się jego twarzy. Wyglądał na skupionego, poważnego i przejętego, ale czuła, że po prostu odgrywa kolejne show. Nie znalazła jednak w sobie na tyle odwagi, żeby wstać i wyjść. Nie potrafiła zrezygnować z tej znajomości, która pomimo całej swojej specyfiki, wydała jej się ważna, niemal niezbędna. Ostatnio dość często usiłowała sobie przypomnieć, co robiła wieczorami, kiedy jeszcze nie знаła Filipa, ale nie przychodziło jej do głowy nic konkretnego...

- Sylwio, chcesz się z nami czymś podzielić? - Filip zwrócił się do siedzącej z samego przodu młodej rudawej dziewczyny, która tuż po tym, jak były duchowny zwrócił na nią uwagę, wybuchła gwałtownym płaczem. - Mów, podziel się z nami swoim bólem. Jesteśmy tu po to, żeby cię wysłuchać - dodał tym swoim balsamicznym głosem, a dziewczyna rozszlochała się jeszcze gwałtowniej.

- On mnie bije... Mąż, Tomasz... Dawniej rzadko wpadał w szal, musiałam go czymś rozjuszyc, ale teraz zdarza mu się coraz częściej. Wczoraj powiedział, że nie życzy sobie, żebym tu przychodziła. Skłamałam, że jadę do kuzynki, ale pewnie i tak się dowie - zaczęła.

- Wiecie o tym, prawda? - Czaplicki zwrócił się do siedzących w milczeniu starszych kobiet. - Wiecie i nic nie robicie?! A kto milczy, ten przyzwala! - krzyknął.

- A co niby możemy zrobić?! Z wałkiem na niego iść?! - zapytała ta, która przed spotkaniem wręczyła Czaplickiemu słój

z gulaszem.

Przez stodołę przeszedł szmer podjętych szeptem rozmów.

- Wystarczy rozmowa. Wystarczy, że wesprzecie ją dobrym słowem, przytulicie. Że wysłuchacie, będziecie obok. To tak wiele i tak niewiele zarazem! - Filip wyciągnął palec w stronę siedzącej przy ścianie okrągłutkiej kobiety. - Ledwo ci starcza do pierwszego, prawda? Trójka dzieci, mąż na rencie, chora teściowa. Ale twoje sąsiadki udają, że wszystko jest w porządku, tak? Mijają cię w sklepie, rozmawiają z tobą o jakichś bzdetach, ale żadna nie zaproponuje pożyczki, nie podzieli się niedzielnym ciastem... Dzielmy się, kochani, wspierajmy się! Siła wspólnoty pomaga przetrwać, daje wiarę i nadzieję na lepsze jutro! Mówmy sobie o wszystkim i nie bądźmy wobec siebie obojętni! - zagrział nad głowami siedzących w ciszy kobiet i przez chwilę słychać było jedynie szloch Sylwii.

Anna roztarła zziębnięte dłonie i spojrzała w stronę drzwi. Miała ochotę wyjść, zanim Czaplicki powie coś niewygodnego.

On zaś jakby czytał w jej myślach:

- Anno, jest coś, o czym nigdy z nami nie rozmawiałaś, prawda? - zapytał.

Wstała, gwałtownie wciągając powietrze.

- Przepraszam, muszę iść - szepnęła i chłostana dziesiątkami spojrzeń ruszyła w stronę drzwi.

- Wiesz, że będziemy tu na ciebie czekać? - usłyszała jeszcze, zanim wybiegła na zewnątrz.

Drogę na przystanek pokonała niemal biegiem. Mgła wdzierала jej się do gardła, oblepiała, dusiła. Tak, było coś, o czym nigdy z nimi nie rozmawiała. Coś, co w chwili szczerości powiedziała tylko Krzysztofowi. Wydarzenia z dalekiej przeszłości, które na zawsze zmieniły jej życie. Skalały ją, zhańbiły, skazały na smutną,

samotną egzystencję kogoś, kto panicznie boi się dopuścić do siebie innych...

Pekaes podjechał spóźniony. Do domu wróciła przemarznięta na kość i zapłakana. Że płacze, zorientowała się dopiero w przedpokoju, w przelocie zerkając na swoje odbicie w lustrze. Czarny tusz wyrzeźbił brzydkie smugi na wychudzonych policzkach, twarz wykrzywiał grymas bólu. Ciągle płacząc, zrobiła sobie drinka i wypłała go niemal duszkiem.

- Pieprzony domorosły filozof, cholerny klecha! Więcej tam nie pójdę, żadna siła mnie nie zaciągnie! - wymamrotała, otwierając kolejną butelkę ginu.

SMS-a od Filipa znalazła dopiero przed północą:

Przykro mi, że opuściłaś nas dziś w taki sposób, Anno... Myślałem, że sobie ufamy. Gdybyś chciała porozmawiać, wiesz, gdzie mnie szukać. Przyjdź bez względu na porę, jestem Twoim przyjacielem.

Cisnęła telefon na łóżko.

Filip... Od pewnego czasu pragnęła jego dotyku i jednocześnie się go bała. Chciała uciec i otworzyć się przed nim, być obok niego i nigdy więcej go nie widzieć. Jaki to wszystko miało sens? Intuicyjnie czuła, że to on jest tym, który coś ukrywa, nie potrafiła jednak sprawić, żeby się przed nią otworzył. Nie jestem na tyle dobrym rozmówcą, czy może on robi wszystko, żeby swoją przeszłość zostawić daleko za sobą? - zastanawiała się, bezsennie leżąc w pustej, ciemnej sypialni. W końcu wstała, założyła stary frotowy szlafrok, który kiedyś kupił jej Krzysztof, i zeszła na dół, do łazienki.

Żyletka była tam gdzie zawsze, za pomarańczową donicą z kaktusem. Chwyciła ją drżącymi dłońmi i przez dłuższą chwilę cieszyła się przyjemnym chłodem cieniutkiej metalowej blaszki.

W końcu rzuciła na posadzkę szlafrok, przysiadła na wannie i podciągnęła kwiecistą nocną koszulę. Ślady cięć na udach były wyraźne, rzucały się w oczy. Przez wiele lat obiecywała Krzysztofowi, że nigdy więcej się nie okaleczy, a później raz za razem łamała obietnicę. Ale czy on nie robił dokładnie tego samego? Czy nie upokarzał jej, nie zdradzał, nie upadłał, chociaż przysięgał, że już nigdy więcej?

Pierwsze cięcie nie było głębokie, jednak sam widok wąskiej stróżki krwi wprowadził ją niemal w euforię. Drugie było głębsze, bolesne. Anna syknęła, zaciskając zęby z bólu, jednak nie potrafiła przestać. Trzecie, czwarte, piąte, szóste... Świeże ślady po żyletce przecinały stare blizny, wytyczały nowy szlak, rozrastały się, kojąc ból poranionej duszy, która od lat nie znajdowała ukojenia. Dociskając żyletkę, Anna cicho płakała, a kapiące na jej nogi łzy mieszały się z krwią.

Kiedy w końcu przestała, czuła się pusta, niemal wyzuta z emocji. Piekący ból wnętrza ud wykurzył z jej głowy wszystkie złe myśli, oczyścił ją, uratował. Wyjęła z apteczki spirytus, wyrzucając przy okazji zapomniane jednorazowe golarki męża, i delikatnie przemyła każdy ze świeżych śladów, a najgłębsze zakleiła plastrem, po czym zgasiła światło w łazience i wróciła do łóżka. Zasnęła dopiero nad ranem.

Śnił jej się Filip. Biegali nadzy po plaży, wydawali się cudownie beztroscy. Wtedy on nagle przyciągnął ją do siebie, rzucił na piach i zaczął okładać znalezionym na brzegu kijem.

Obudziła się z krzykiem, zdjeta nagłym strachem, mokra od potu. Dopiero kiedy zapaliła nocną lampkę i uspokoiła oddech, zdała sobie sprawę, że wibruje wyciszona przed nocą komórka. Sięgnęła po telefon i zerknęła na wyświetlacz. Numer był zastrzeżony, ale czuła, że dzwoni Filip. A może to tylko jej

pobożne życzenie, nic więcej? Może to jakiś pijany gówniarz w pośpiechu źle wybrał numer poznanej w nocnym klubie panny? - przeszło jej przez myśl. Odebrała dopiero po dłuższej chwili, rzucając ciche „halo?”. Nikt jednak nie odpowiedział, w słuchawce słyszała tylko cichy oddech, a po chwili połączenie zostało przerwane.

13

- Parszywa sprawa z tym młodym Fabianowiczem, nie? - Wojciech Kiciński przysunął sobie krzesło i usiadł przy zawalonym papierami biurku Bugaja. - Cholera, sorry! - dodał, kiedy niechcący ulał na blat odrobinę kawy z trzymanego w dłoni i wściekle żółtego kubka z napisem: „Nie udław się!”.

- No, szkoda dzieciaka. Ledwo stracił matkę, a tu w nikim wsparcia... Te wyrostki znęcały się nad nim od dawna, ale to on pójdzie do poprawczaka.

- Niemal spalił żywcem człowieka, dziwisz się? - mruknął Kiciuś.

- Ponoć nie miał pojęcia, że w środku jest ten koleś.

- Co nie zmienia faktu, że owinięty w bandażę jak mumia facet leży na oddziale poparzeń i nie wiadomo, czy się wyliże... Swoją drogą, naprawdę trzeba mieć pecha. Przyjechał do brata, którego nie widział od dwóch lat, i niemal skończył w kostnicy...

- Niefart, trudno zaprzeczyć. - Krzysztof otworzył teczkę podpisaną „Aleksandra Marta Fabianowicz” i przeczesał palcami włosy. - Wiesz już, co znaleźliśmy w jej komputerze? - Zerknął na siorbiącego kawę kumpla.

- Nie, co?

- Okazuje się, że lubiła sado-maso. Była zalogowana na kilku tego typu portalach i opisywała się jako sunia, która chętnie pozna gotowego na wszystko Domina.

- Żartujesz? Kurwa, czy to zawsze musi być takie skomplikowane? Już to widzę! Będziemy się miesiącami

przedzierać przez setki maili od różnych zbrojeńców, przeglądać dziesiątki profili w sieci i zastanawiać się, kto jeszcze mógł wysłać tę nieszczęśnicę na drugi świat - rzucił Kiciński przez zęby. - A swoją drogą, to ciekawe... Niby taka spokojna kobieta, samotna matka... Człowiek jednak skrywa przedziwne sekrety...

- Co w tym dziwnego? Nawet nie wiesz, ile razy bawiłem się z kobietkami w te klocki. - Bugaj wzruszył ramionami.

- No tak, ty lubisz bzykanko na wszelkie możliwe sposoby.

- Żałować sobie nie będę. - Krzysztof przerzucił kilka trzymany w ręku kartek i sięgnął po długopis.

- Rozmawiałem z właścicielką Zimnej Flądry. Twierdzi, że Aleksandra Fabianowicz często jadła w jej lokalu obiad z tym byłym księżulem, Filipem Czaplickim. Wyglądali ponoć na zaprzyjaźnionych, pani Maria nie zauważyła, żeby się kłócili. A teraz info dnia: twoja wkrótce już była żona też zjadła tam niedawno obiad w towarzystwie naszego eksksiężulka.

- Żartujesz? - Bugaj podniósł wzrok znad papierów i z niedowierzaniem pokiwał głową. - Mówiłem jej, żeby trzymała się od niego z daleka! Ten koleś wygląda mi na wyjątkowo śliskiego typka.

- Ty, a co my właściwie o nim wiemy? - zainteresował się Wojciech.

- Jeszcze nic, ale to się zmieni. Na razie wolałbym pogadać z tym doktorkiem. Jak mu tam było? Wiesz, temu radiologowi, który miał romans z naszą denatką.

- Wiktor Trębacz. I już sprawdzałem. Gość nie ma alibi.

- Tym gorzej dla niego. - Krzysztof szeroko ziewnął i wstał, żeby uchylić okno.

- Moja Gośka chce wyskoczyć na cztery dni do Szwecji. Wiesz, na jedną z tych wycieczek promem, podczas których człowiek się

pieprzy, tańczy i ostro chleje, a na koniec rzyga za burtę – Kiciuś zmienił temat i odstawił garnuszek na parapet.

– Tylko mi go tu nie zostawiaj, mam dość zbierania twoich kubków po kawie! – mruknął Bugaj. – A w kwestii Szwecji, czemu nie?

– Kasy nie mam, wiesz, jak jest...

– Tym się nie przejmuj. Chętnie ci pożyczę. Sam jeszcze niedawno rzucałeś te żenujące kawałki o konieczności pielęgnacji związku, nie?

– Tak, ale... – Kiciński nie dokończył, bo rozdzwoniła się leżąca na biurku komórka Bugaja.

– Cześć, Nina. – Krzysztof podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Cześć! Słuchaj, mam sprawę. Znajdziesz czas, żeby pogadać?

Głos prokurator Morawskiej był jak zawsze nieco zbyt służbowy, co chyba nawet już go nie irytowało.

Nigdy za sobą nie przepadali, ale miał do niej mnóstwo szacunku. Była świetna w tym, co robiła, i to mu wystarczało. W końcu nie musieli się przyjaźnić, żeby się dogadywać...

– Teraz? – zapytał.

– Najlepiej jeszcze dziś.

– Co jest? Masz coś nowego w sprawie potrąconej pielęgniarce?

– Nie, nie, ale mam do ciebie prośbę. Tak prywatnie. Wiem, że jesteś zagoniony, ale będę ci bardzo wdzięczna, jeśli znajdziesz dla mnie chwilkę. Zapraszam na kolację. Co na to powiesz?

– U ciebie?

– Na mieście, Bugi. Moje kulinarne eksperymenty niejednemu już wyszły bokiem – rzuciła ze śmiechem, na moment zapominając o ich stricte zawodowej znajomości.

– Albo tyłem – niewybrednie zażartował Krzysztof i dodał, że

mogą się spotkać o dziewiętnastej. – W Zimnej Flądrze, pasuje ci?

– Jasne, będę miała blisko.

– To jesteśmy umówieni. – Bugaj dodał na koniec „miłego popołudnia” i rozłączył się.

– Smoczyca? Czego chciała? – Kiciuś, który z rosnącą ciekawością przysłuchiwał się rozmowie, od razu chciał wyciągnąć z Bugaja jak najwięcej szczegółów.

– Chce pogadać.

– No, no! Gdybym nie wiedział, że nasza pani prokurator woli kobiety, węszyłbym nowy romans – gwizdnął Kiciuś, klepiąc Bugaja w ramię.

– Nie mój typ. Obcięte na jeża laski kojarzą mi się co najwyżej z amerykańską armią – burknął Krzysztof.

– Tia, jasne. A mnie po dupie właśnie czołg ruski przejeżdża. Nie mów, że byś jej nie przeleciał!

– Mówię. Dobra, Kiciuś, zabieraj się, bo muszę coś przejrzeć.

– Jasne, jasne. Tylko się nie przepracuj. Stres ponoć wyjątkowo marnie wpływa na potencję – zarechotał Wojciech, zanim zabrał z parapetu kubek po kawie i ruszył w stronę drzwi.

Przez kolejne dwie godziny Krzysztof jeszcze raz uważnie przeglądał wszystkie dotąd zebrane informacje o Aleksandrze Fabianowicz. Jednak chociaż dosłownie tonął w najprzeróżniejszych szczegółach, wciąż niewiele potrafił o niej powiedzieć. Wiedział, że lubiła romansować, ale nie miał pojęcia z kim, bo jedynym pewnikiem był radiolog z jej szpitala, doktor Wiktor Trębacz. Policja już go przesłuchiwała, ale Bugaj nagle nabrał ochoty na rozmowę z tym gościem. Problem polegał jednak na tym, że tego akurat dnia z pewnością nie znajdzie już czasu na wyprawę do Szczecina.

Nina odezwała się do niego jakiś kwadrans po osiemnastej,

kiedy zbierał się do wyjścia, chcąc jeszcze po drodze zajrzeć do mieszkania. Iwona wciąż fatalnie się czuła i większość dnia spędzała w łóżku...

- Słuchaj, zmiana planów. Jakiś koleś powiesił się w lesie i muszę jechać na miejsce zdarzenia - powiedziała Morawska.

- Jasne, rozumiem. Odezwę się jutro, jakoś się ustawimy. Tymczasem, pomimo podłych okoliczności, miłego wieczoru - rzucił Bugaj lekkim tonem.

- Że też zawsze padnie na mnie - mruknęła jeszcze, zanim się rozłączyła.

Chowając telefon do plecaka, Krzysztof przypomniał sobie historię młodego chłopaka, który kilka lat wcześniej powiesił się w lasku pod miasteczkiem. Dzieciak nie miał jeszcze osiemnastu lat, był kilka miesięcy przed maturą... Co gorsza, szybko ustalili, że skończył ze sobą po tym, jak kilku miejscowych wyrostków odkryło, że jest gejem, i ciężko go pobiło. Sprawcy napadu dostali niskie wyroki, bo sędzia nie potrafił dostrzec związku między samobójstwem a bójką... Kurewski świat, w którym nienawidzimy, gdy nas osądzają, ale koniecznie chcemy osądzać innych, pomyślał Bugaj, rozcierając skronie. Łupało go w głowie i był bardzo zmęczony, ale i tak nie miał ochoty na powrót do domu. Wciąż zbyt go bolał niemy wyrzut w oczach Iwony, która rozmawiała z nim już tylko półsłówkami...

14

Krzysztof wymienił w końcu przepaloną żarówkę na klatce schodowej, odniósł do mieszkania taboret i zajrzał do pogrążonej w ciemnościach dusznej sypialni.

- Dałem Matyldzie kolację. A ty coś zjesz? - zapytał.

Skulona na łóżku i okryta dwoma wełnianymi kocami Iwona nie odpowiedziała.

Poczuł złość. Tak naprawdę narastała w nim od paru dni, palące poczucie wściekłości dosłownie w nim pęczniało. Chciał pogadać, podnieść Iwonę na duchu, pocieszyć. Ale ona kompletnie go ignorowała, zupełnie jakby nagle i bezpowrotnie przepadło to, co jeszcze niedawno ich łączyło.

- Co?! Już zawsze będziesz mnie tak traktować?! Porozmawiajmy, cholera! - podniósł głos.

- Daj mi spokój - szepnęła.

- Zaraz muszę wyjść, a ty zajmij się małą. Iwona, słyszysz, co do ciebie mówię?! Twoja córka cię potrzebuje!

Milczała. I to jej milczenie doprowadzało go do szału! Z sypialni wyszedł z furią, zatraskując za sobą drzwi. Matylda - bosa, w piżamce w słonie, ssąc kciuk, stanęła w korytarzu, kiedy Bugaj szukał swoich starych butów do biegania.

Włożył adidas i grubą bluzę od dresu, po czym uśmiechnął się do dziecka.

- Chodź, słoneczko. Odwiedzisz sąsiadkę. Dobrze, że nasza pani Róża ma końskie zdrowie, bo ostatnio zajmuje się tobą niemal na okrągło. - Wziął dziewczynkę na ręce.

Wtuliła twarzyczkę w jego szyję i oplótła ramionami. Pocałował jej pachnące rumiankowym szamponem włosy i otworzył frontowe drzwi. Na ich widok mieszkająca naprzeciwko starsza sąsiadka nie okazała zdziwienia, wręcz przeciwnie, wyglądała na zadowoloną.

- Naprawdę przepraszam, że znowu panią niepokoję - zaczął Bugaj, ale pani Róża tylko machnęła ręką.

- Przecież wiesz, jak bardzo lubię się nią opiekować - powiedziała, jak zawsze zwracając się do Krzysztofa per ty. - Zajmij się lepiej Iwoną, przeżywa ciężkie chwile. Pamiętam, jak lata temu poroniła moja młodsza siostra. Nie mogła do siebie dojść chyba przez rok...

- Dziękuję, pani Rózo! Nie mam pojęcia, co byśmy bez pani zrobili. - Nie skomentował jej uwagi o stracie dziecka, bo mówienie o tego typu sprawach nie przychodziło mu łatwo.

Podał tylko sąsiadce Matyldę, pospiesznie się pożegnał, zamknął mieszkanie Iwony i zbiegł ze schodów.

Na zewnątrz nieznacznie się ociepliło, ale porywisty wiatr bezlitośnie wzmagął uczucie chłodu.

Niespiesznym truchtem Bugaj ruszył w stronę pobliskiego parku, zastanawiając się nad tym, jak będzie wyglądać jego dalsze życie z Iwoną. Rzucił dla niej wszystko, zaczął od nowa, ale wcale nie była z nim szczęśliwa...

Był w pobliżu od dawna nieczynnej, zdewastowanej fontanny, kiedy zauważył mężczyznę, który szarpał się z młodą kobietą.

- Hej! - wrzasnął, ruszając w ich stronę.

Na jego widok gość popchnął dziewczynę i zaczął uciekać w stronę wyjścia z parku. Upadła na trawę, ale zaraz się podniosła.

- Wszystko okay? - zapytał Krzysztof skrępowany zadyszką

i w ogóle brakiem formy.

- To mój chłopak, nic się nie stało - powiedziała dziewczyna pełnym urazy tonem, wycierając przybrudzone spodnie.

Bugaj zauważył, że jest młodziutka, może nawet nieletnia. Miała długie, lekko kręcone włosy w odcieniu miedzi, i śliczną pociągłą twarz o mlecznobiałej cerze.

- Nie powinnaś pozwalać mu na takie chamskie zachowanie. I z całą pewnością nie powinnaś się włóczyć wieczorami po takich miejscach - powiedział.

- A pan kto? Glina? - parsknęła.

- Jakbyś zgadła - mruknął, usiłując wyrównać oddech.

- Marnie z kondycją, co? - zakpiła wygadana smarkuła i nie oglądając się za siebie, ruszyła w ślad za swoim chłoptasiem.

Krzysztof śledził ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła mu z oczu przesłonięta ścianą rosnących wzdłuż jednej z alejek iglaków.

Chwilę później truchtem ruszył w stronę portu, ale szybko stracił ochotę do biegania. Numer Kiciusia wybrał pod wpływem nagłego impulsu. Dawno nie wychodzili nigdzie wieczorami i pomyślał, że jest okazja, żeby się napić. Niestety kumpel nie odebrał, przez co Krzysztofowi do reszty zwarzył się nastrój. Przez następny kwadrans bez celu kręcił się po porcie, przyglądając się pijącym piwo lokalnym menelom.

Nagle pomyślał o Klaudii. Nie powinien z nią spać, świetnie o tym wiedział. Tak samo jak świetnie wiedział, że pewnie niebawem zrobi to ponownie. Pod jej kamienicę dotarł kilka minut później - o ironio losu, mieszkała zaledwie przecznicę od Iwony...

Otworzyła mu w ładnym, kwiecistym szlafroku, wyraźnie zaskoczona jego widokiem.

- Na dziś się chyba nie umawialiśmy, co? - rzuciła.

Nie wyglądała jednak na wkurzoną, wręcz przeciwnie.

Nie czekając na zaproszenie, Bugaj wszedł do środka, rzucił na podłogę bluzę od dresu i przyciągnął Klaudię do siebie.

- Cudownie pachniesz - mruknął.

Odchyliła głowę do tyłu i oparła się plecami o ścianę. Dosłownie zdarł z niej szlafrok, nie potrafiąc już myśleć o czymkolwiek innym prócz seksu. Pieścił ustami jej sutki, błędził rękoma po krągłych, nagich pośladkach, wdychał zapach ciemnych, lśniących włosów. Wsunęła dłonie pod gumkę od jego spodni i szepnęła, żeby w nią wszedł. Wziął ją na stojąco, opartą o ścianę, cudownie rozgrzaną wziętym niedawno prysznicem, cichutko pojękującą z rozkoszy.

Kiedy skończyli, zaproponowała, żeby został na kolację.

- Weź prysznic, a ja zrobię jakieś szybkie spaghetti. Napijemy się wina, powspominamy stare czasy - kusila. - Kiedyś całkiem dobrze się razem bawiliśmy. Pamiętasz, jak pieprzyliśmy się o świcie na molo i nakrył nas ten pieprznięty brodac? Walnięty dziadyga darł się jak opętany, wyzwiał mnie od kurewek, a na ciebie ruszył z pięściami... Niewiele brakowało, żebyś wrzucił pajaca do wody, a ja chyba nigdy tak się nie uśmiełam.

- Pamiętam, a jakże. Z gołymi cyckami i tyłkiem zbierałaś z mokrych desek ciuchy, podczas gdy ja próbowałem spacyfikować tego świrusa - powiedział Krzysztof rozbawionym głosem. - Słuchaj, wybacz, ale muszę już iść. Właściwie w ogóle nie powinienem dziś do ciebie przychodzić - dodał po chwili, a gdy Klaudia z niedowierzaniem pokiwała głową, jakby jego słowa nie mieściły jej się w głowie, mruknął: - No nie patrz tak, przecież wiesz, że do pewnych rzeczy się nie wróci.

Nie przyjęła tego zbyt dobrze. Nazwała go gnojkiem i ostrym, niemal histerycznym tonem kazała mu się wynosić.

- Od początku powinnam wiedzieć, czego się po tobie

spodziewać! - krzyknęła, kiedy zakładała podniesioną z podłogi bluzę.

- Tak? A właściwie to czego się spodziewałaś?! Romansu z płatkami róż w tle? Wiesz przecież świetnie, że kogoś mam! Czemu wy, kobiety, tak uwielbiacie robić z siebie ofiary?! Zawsze wykorzystane, zawsze oszukane! Sama mnie przecież zaprosiłaś do środka! Zabawiliśmy się, było miło... Czemu od razu wszystko musi być tak na poważnie? - burknął Krzysztof, zapinając spodnie.

- Naprawdę wierzysz, że dam sobie wcisnąć te twoje gładkie gadki? Słuchaj, a może ja powinnam tę twoją Iwonę oświecić, co? Powiedzieć jej, jakim jesteś zdradzieckim kutasem, zanim...

- Zrób to, a tak ci umilę życie, że pożałujesz - wszedł jej w słowo Bugaj. - Wiesz, że mam spore możliwości, prawda?

- Dupek! - syknęła.

Spojrzał jej w twarz i zobaczył w oczach Klaudii taką nienawiść, jakiej chyba jeszcze u nikogo nie widział.

- Wydaje ci się, że taki z ciebie macho, ale wiesz co? Jesteś żalonym chujkiem, który robi wszystko, żeby chociaż na moment zapomnieć o własnych zasranych lękach. Wypierdalaj stąd, gnoju, i więcej nie wracaj! Wystarczająco wiele razy dałam ci się wydymać! - krzyknęła.

- No, no, tylko pozazdrościć słownictwa... Ale ty zawsze miałaś klasę, co, kotku? - rzucił Krzysztof pogardliwym tonem, zanim zamknął za sobą drzwi.

Na klatce, wychodząc z jej kamienicy, poczuł się jak ostatnie ścierwo. Czemu wszyscy inni dookoła potrafią panować nad własnym życiem, tylko on ciągle coś psu? Przecież wiedział, że nie powinien nawet myśleć o wizycie u tej dziwki! A jednak tu przylazł, zaliczył ją i po raz kolejny upokorzył Iwonę.

Nagle pomyślał o Annie i tamtej nocy, kiedy pierwszy raz dowiedziała się o jego zdradzie. Arek miał wtedy jakieś dwa lata i smacznie spał w swoim pokoju, podczas gdy oni, wyzywając się od najgorszych, wrzeszczeli na siebie w salonie. Było kilka dni przed Wigilią i w pokoju stała już kompletnie ubrana choinka; zapach jedliny do dziś kojarzy mu się z tamtą pełną naprawdę gorzkich słów kłótnią. Powinna zostawić mnie już wtedy, przeszło mu przez myśl. Ale ona wołała wierzyć, że kiedyś się zmieni, okłamywać samą siebie, tkwić w pełnym zgnilizny układzie, który niszczył wszystko, co udało im się zbudować, wypalał ich od środka, pożerał...

Do mieszkania dotarł przed dwudziestą drugą i od razu poszedł pod prysznic. A kiedy już zmył z siebie kwiatowy zapach tanich kobiecych perfum, wyszorował zęby i wypłukał usta płynem, na palcach wszedł do wciąż ciemnej sypialni i położył się obok Iwony. Udawała, że śpi, a Krzysztof znów pomyślał o żonie, która przez lata robiła dokładnie to samo...

15

W kuchni wyśmienicie pachniało jajecznicą na boczku. Zazwyczaj Nina nie jadła takich rzeczy, a już na pewno nie z samego rana. Zadowalała się kawą i herbatnikami, czasem wychodziła z domu o pustym żołądku. Kiedy jednak Iga postawiła przed nią talerz z własnoręcznie przyrządzonym śniadaniem, nie potrafiła odmówić.

- Nie mam mleka do kawy...

- Wypiję czarną, nie przejmuj się. - Nina opuszkami palców musnęła niesforne włosy Igi i posłała jej szeroki uśmiech. - Fajnie wyglądasz w tym podkoszulku z Garfieldem...

- Nasze pierwsze wspólne śniadanie, a ja paraduję w czymś tak żenującym. Trzeba było jednak nastawić wczoraj pranie - uśmiechnęła się Iga, siadając obok kochanki. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że tu jesteś, naprawdę... Spodobałaś mi się, jak tylko cię zauważyłam. To było jakieś pół roku temu, może z osiem miesięcy. Stałaś przed kawiarnią w centrum i rozmawiałaś przez komórkę. Musiałaś być wściekła, bo aż dymiło ci z uszu. Miałam wtedy sesję, robiłam zdjęcia bawiącym się na placu zabaw przedszkolakom. Posłałaś mi złe spojrzenie. Jedno z tych, które przy sposobnych okolicznościach mogłoby zabić...

- Cóż, w pracy mam ksywkę Smoczyca, dla niektórych jestem zimną suką. To wiele wyjaśnia, prawda?

Nina z apetytem zabrała się za jajecznicę i przez chwilę panowało milczenie.

- Nie boisz się czasem? - zapytała w końcu Iga.

- Czego? - Nina sięgnęła po kawałek równo pokrojonej bagietki i posmarowała go masłem.

- No wiesz, tych wszystkich bandziorów, którym wymierzasz sprawiedliwość. Ostatnio dzieje się wiele nieciekawych rzeczy...

- Jak wszędzie. Nie łudź się, że gdzie indziej jest inaczej... Cholera, jeśli chcę zdążyć do sądu, zaraz powinnam wskakiwać pod prysznic. Do Szczecina spory kawałek i możemy się tylko modlić, żeby nie było żadnych utrudnień na trasie. - Nina w pośpiechu dojadła śniadanie i wytarła usta chusteczką.

- Spóźnisz się, bywa. - Iga przysunęła się jeszcze bliżej kochanki i pocałowała ją w szyję. - Jak myślisz, uda nam się utrzymać to wszystko w tajemnicy?

- W tej dziurze? Zapomnij. A co, masz jakiś problem z samookreśleniem się? - Nina uśmiechnęła się nieco złośliwie i sięgnęła po kolejny kawałek bagietki.

- W sumie nie wiem. Czasem tak się zastanawiam, kim ja właściwie jestem... Mam na karku naprawdę koszmarnie małżeństwo, wcześniej kilka średnio udanych związków z przygodnie poznanymi facetami. A teraz jestem tu z tobą i czuję, że cały świat mógłby iść w cholere, bo nikogo innego nie potrzebuję do szczęścia - powiedziała Iga miękkim głosem.

- Więc mamy dwie opcje. Albo przez całe życie okłamywałaś samą siebie, udając hetero, albo jesteś bi - mruknęła Nina. - Muszę się zbierać. Zadzwoń w ciągu dnia.

- I tyle?

- A co? Inaczej sobie ten ranek wyobrażałaś? Wybacz, nie jestem zbyt romantyczna. - Nina wstała, zrzuciła sprany zielony podkoszulek i w samych stringach ruszyła w stronę łazienki.

Iga patrzyła w ślad za nią, zastanawiając się, czy nie zaproponować kochance jeszcze jakichś igraszek, zdecydowała

jednak, że nie będzie się narzucać. Zawsze w każdy kolejny związek rzucała się z wyjątkowym zapałem, niemal od początku odsłaniając wszystkie swoje karty. Zauważyła jednak, że ludzie bardziej liczą się z tymi, którzy od czasu do czasu okazują im obojętność, i pomyślała, że nie powinna aż tak się starać. Zaparzyła więc kawę, włożyła do zlewu naczynia i samotnie usiadła za stołem. Szum prysznicza sprawił, że poczuła się błogo. Dawno z nikim nie była i dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo jej tego brakowało.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Niny:

- Gdzie masz suszarkę?!

- Nie mam! - odkrzyknęła.

- A jakąś piankę do włosów?!

- W koszyku na pralce! Czekał, zaraz ci dam. - Podeszła do łazienkowych drzwi i wskazała wiklinowy kosz z kosmetykami. - Myślałam, że do tego twojego jeża potrzebujesz co najwyżej szamponu - rzuciła z uśmiechem.

- Zachlapałam ci całą podłogę... - powiedziała Nina, owijając głowę ręcznikiem.

Stojąc w progu Iga przyglądała się szczupłemu, ładnie umięśnionemu ciału kochanki. Płaski brzuch, niewielkie, ale krągłe piersi, wąska talia - prokurator Nina Morawska z pewnością była bardzo zajęta kobietą, musiała jednak znajdować czas na regularne wizyty w siłowni.

- Zaparzyłam kawę - powiedziała w końcu.

- Wypiję w sędzie, ale dzięki.

- Sprawiasz wrażenie kogoś, kto nagle zaczął czegoś żałować - zauważyła Iga.

- Daj spokój, o co ci chodzi? Wpadliśmy na siebie wczoraj, obie co nieco wypiliśmy, zaiskrzyło. Niczego nie żałuję, jeśli to

insynuujesz. Po prostu nie jestem zbyt wylewna w okazywaniu uczuć. – Wzruszyła ramionami. – Mogę? – Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po stojący obok lustra krem i zaczęła go wklepywać pod oczy. – Cholera, chyba jednak się spóźnię...

– W twojej pracy wiedzą? – zapytała cicho Iga.

– O czym? Że jestem lesbijką? Jasne, że tak. „Ta lesba” to jedno z ich ulubionych określeń – roześmiała się Nina.

– Nie boli cię to?

– Boli? Nie. Prędzej irytuje, czasem trochę śmieszy. Nie rozumiem nietolerancyjnych ludzi, uważam ich za ograniczonych umysłowo, niemal żalonych. Uprawiam seks z kobietami i lubię to. Jeśli ktoś ma z tym problem, to na pewno nie ja. – Odłożyła krem na miejsce i sięgnęła po biustonosz.

– Wiecie już coś o Aleksandrze? – zapytała nagle Iga, przygryzając wargi. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że odeszła w taki sposób.

– Byłyście blisko zaprzyjaźnione?

– Myślę, że tak. Była jedną z pierwszych osób, z którymi nawiązałam bliższe relacje po przeprowadzce tutaj.

– Wiesz, że nie powinnam z tobą o tym rozmawiać, prawda?

– Wiem. Chciałam tylko...

– Nie wiemy jeszcze niczego konkretnego.

– Ludzie mówią, że ktoś potrącił ją celowo. Że...

– Iga, nie mogę z tobą o tym rozmawiać – weszła w słowo kochance i w wyraźnym pośpiechu założyła sukienkę. – Miałabyś mi pożyczyć jakieś majtki? – zapytała po chwili i obie wybuchły śmiechem. – To jeden z plusów takich układów, co? Zawsze kiedy nie planuję tego wcześniej i zostaję na noc, mam do wyboru, do koloru ciuchów, kosmetyków i butów – rzuciła Nina rozbawionym głosem.

- Fakt, od faceta gaci nie pożyczysz. Zaraz ci coś przyniosę.

- Dzięki! - Nina zsunęła ręcznik z wilgotnych, krótkich włosów i wtarła w nie odrobinę pianki.

Chwilę później w głębi mieszkania odezwała się jej komórka i bosa, zdobiąc podłogę śladami wilgotnych stóp, pognąła do salonu.

- Morawska, słucham! - rzuciła do słuchawki, zastanawiając się, kto dzwoni do niej z nieznanego numeru.

- Cześć.

Przyjemnie niski głos doktora Marcina Stefańczyka sprawił, że Nina leciutko się uśmiechnęła.

- Hej, doktorku! Dawno cię nie słyszałam. Zmieniłeś numer?

- Nie, nie. Po prostu wyjątkowo dzwonię ze służbowego. Słuchaj, znalazłabyś dziś czas na jakąś wspólną kolację?

- Pewnie, znajdę. Tylko nie mów, że chcesz zjeść w Zimnej Flądrze... Sama nazwa tej budy doprowadza mnie do szału, tymczasem wszyscy jakby się uparli, żeby tam się spotykać.

- Mają świetnego łososia i doskonałe frytki. Do tego zawsze dobre lokalne piwa i duże porcje sałatek - powiedział Stefańczyk.

- Daj spokój, chodźmy gdzie indziej! Może do Trefla? Albo po prostu zjedzmy u mnie?

- Jak sobie życzysz, Nineczko. Zdzwoniemy się jeszcze.

- Wiesz, że jesteś jedyną osobą, która może zdrabniać moje imię w tak idiotyczny sposób?

- Zdaję sobie z tego sprawę. Cholerka, wołają mnie. Odezwę się jeszcze, okay?

- Tylko mnie dziś nie wystaw. Nie mam planów na wieczór, a nie lubię zostawać na lodzie.

- Zrobię wszystko, żeby dotrzeć do Trefla. Chyba że młody wytnie nam jakiś numer. - Wspominając cierpiącego na autyzm

syna, Stefańczyk wyraźnie ocieplił ton, i Nina z zaskakującą dla niej samej zazdrością pomyślała o szczęściu, jakie ma w życiu żona przyjaciela.

Trafić na takiego niesamowitego faceta... Nie każdemu przytrafia się taki fart...

Chowała komórkę do torebki, kiedy podeszła do niej Iga z trzema parami koronkowych majtek w rękach.

- O, jak seksownie. Nie masz czegoś sportowego, bawełnianego?

- Mam. W koszu na brudną bieliznę. Wspominałam ci już chyba, że nie zdążyłam wczoraj nastawić pralki.

- Fakt, wspominałaś.

- Umówiłaś się z kimś na wieczór? - zapytała Iga, przyglądając się zakładającej bieliznę kochance, która z trudem podciągnęła wąską sukienkę, starając się jednocześnie, żeby bardziej jej nie zmiąć.

- Z przyjacielem.

- Żonaty?

- Pytasz, czy po kolacji będziemy się bzykać?

- A będziecie?

- Nie. Przynajmniej nie sądzę.

- Ale jest szansa? - dopytywała się Iga.

- Słuchaj, o czym my właściwie rozmawiamy? Nie miałam pojęcia, że bywasz taka zaborcza...

- Jestem po prostu ciekawa...

- Zapytaj wprost, jeśli masz ochotę, bo przecież nad tym się teraz zastanawiasz, prawda? Czy sypiam też z facetami, bo to zapewne chciałabyś wiedzieć.

- A sypiasz?

- Zdarzało się, głównie w studenckich czasach. Obecnie nie

jestem już zainteresowana tego typu zabawami.

- Niewiele tracisz, jeśli mam być szczerą...

- Z tego, co słyszę przy drinku od przyjaciółek, w tym akurat temacie zdania są podzielone. - Nina przeciągnęła usta odważną bordową szminką i wyszła z łazienki. - Dzięki, było miło. Odezwę się - obiecała.

Wiedziała jednak, że raczej tego nie zrobi. Iga była piękną, mądrą i dowcipną kobietą. Była też jednak zaborcza, a tego nie znosiła. Bywała już w związkach, w których partnerki usiłowały w jakiś sposób ją ograniczać, a to zdecydowanie nie były jej klimaty.

- Zapomniałaś... - Iga dogoniła ją, kiedy była przy furtce, i podała jej opasłą teczkę z aktami.

- Cholera, faktycznie! Dzięki! - Nina wzięła dokumenty od przygodnej kochanki i nie mając ochoty na dalszą wymianę zdań, wyjęła z torebki telefon. - Dzwonię po taryfę. Módlmy się, żeby gość podjechał raz-dwa, bo najpóźniej za godzinę muszę być w sądzie.

- Nie odezwiesz się do mnie więcej, prawda? - zapytała cicho Iga, ciaśniej otulając się nieco zbyt obszernym beżowym płaszczem.

- Masz gołe nogi... Wracaj do środka, zanim się zaziębisz - odpowiedziała Nina, ignorując pytanie.

- Jasne, jak chcesz. - Iga odwróciła się na pięcie i zawróciła w stronę domu.

Czekając na taryfę, prokurator Morawska pomyślała, że chyba była dla niej zbyt ostra, ale szybko przestała się nad tym zastanawiać. Miała na głowie ważniejsze sprawy niż przelotny romans z przypadkiem spotkaną w pubie miejscową fotograf.

16

Mżyło. Starszy sierżant Wojciech Kiciński szedł poboczem rzadko uczęszczanej wąskiej drogi, przyświecając sobie latarką. W miejscu, gdzie znaleziono ciało Aleksandry Fabianowicz, zatrzymał się i przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, zbierając myśli. Według ustaleń chłopaków z drogówki, kiedy została potrącona, szła w stronę miasteczka. Wysiadła z jakiegoś samochodu, bo się z kimś pokłóciła? A może spotkała się z kimś w pobliskim parku i wracała pieszo? Czemu nie wzięła auta? Jej sześćioletni opel został na ulicy przed domem, w którym mieszkała z synem...

Tyle pytań bez odpowiedzi, a czas cholernie szybko mija. Były mąż ofiary awanturuje się na komendzie, żądając postępów w śledztwie, a oni tkwią w miejscu. I jeszcze ta koszmarna historia z Maćkiem Fabianowiczem. Zmarnowana młodość, ponure perspektywy. Widywał już w życiu dzieciaki, które spędziły kilka lat w poprawczaku, i wiedział, że rzadko którym wychodziło to na dobre. Ale może akurat ten chłopak będzie miał szczęście? – pomyślał Kiciński, omiatając snopem światła z latarki zarośnięte trawą pobocze.

Policjanci oraz technicy kilkukrotnie przeszukali już teren, ale miał nadzieję, że samotny nocny spacer pomoże mu spojrzeć na całą sprawę z innej perspektywy. Niestety, choć kręcił się po poboczu z dobre pół godziny, zmarzł, przemókł i zabłocił sobie nowe buty, to niczego nie wymyślił...

W końcu więc, kuląc się w zbyt cienkiej kurtce, szybkim

krokiem ruszył w stronę zaparkowanego nieopodal auta.

W miasteczku nabrał ochoty na piwo. Było parę minut po północy, ale kilka pubów w centrum jeszcze działało. Auto mogę zostawić przy nabrzeżu i wrócić po nie jutro, zdecydował, wchodząc do Kapitana. Rozglądając się po pustawym wnętrzu, liczył na to, że być może zauważy Bugiego, ale tym razem go tu nie było.

- Dużego żywca! - rzucił, kiedy barmanka z dredami na głowie odłożyła trzymany w ręku kryminał i szeroko ziewnęła.

- A kanapki nie chcesz? Zostały nam jeszcze sandwicze z tuńczykiem.

- Jak są, to daj. - Kiciuś usiadł przy barze i rozpiął kurtkę. - Fajne masz pazurki. Robiłaś w salonie u mojej Gośki?

- Koleżanka mi zrobiła. Smacznego. - Dziewczyna postawiła przed Wojciechem talerz z kanapką i sięgnęła po kufel. - Wiecie już coś o tej pielęgniarce? Ludzie mówią...

- Naprawdę uważasz, że mam ochotę teraz o tym gadać?

- Tylko pytałam, co się ciskasz? Widywałam ją tu parę razy, to jestem ciekawa.

- Fabianowicz?

- No tak, a o kim mówimy? - Przetarła barowy kontuar i nalała sobie soku. - Bywała tu z takim młodym byczkiem. Przystojniaczek, z rodzaju tych gości, którzy mogą mieć każdą. No dobra, prawie każdą. Ale trzeba przyznać, że był niezły.

- Wiesz, jak się nazywał?

- Nie. To nikt z miejscowych. Jeździł czarną terenową beemką na szczecińskich numerach i wyglądał na forsiastego.

- Wyglądali, jakby byli parą? - zapytał Wojciech, śledząc wzrokiem trzech ostatnich gości, którzy chwiejnym krokiem ruszyli w stronę wyjścia.

- Parą? Nie, no co ty. Ale na pewno się bzykali, zresztą kilka razy naprawdę ostro się całowali w tańcu, a później razem stąd wyszli. Tyle że to raczej jeden z tych ekspresowych romansów, które kończą się tak szybko, jak się zaczęły, bo jakiś miesiąc od ich pierwszej randki Fabianowicz zaczęła się u nas zjawiać samotnie.

- Tak uważnie ją obserwowowałaś? - Kiciuś wgrzył się w kanapkę, starając się nie zauważać, jak bardzo przywiedła wydaje się włożona między kromki sałata.

- A co innego mam tutaj do roboty? Leję piwo i przyglądam się gościom, ot, i cała filozofia. - Młoda barmanka leciutko wzruszyła ramionami, a splecione w dredy włosy zatańczyły wokół jej szyi.

Kiciński zawsze się zastanawiał, jak ta laska myje głowę, ale nigdy nie odważył się zapytać.

- Wiesz, co mnie najbardziej wkurwia? Większość miejscowych uważa, że Aleksandra dostała to, na co zasłużyła. Mówią, że się puszczała, że pewnie załatwił ją któryś z jej kochasiów. Co gorsza, najsurowiej oceniają ją nawet nie mężczyźni, ale kobiety. Gdyby była facetem pokroju twojego kumpla Bugiego, któremu chyba jeszcze nigdy nie zdarzyło się przepuścić okazji do dobrego rżnięcia, nikt by jej tak surowo nie osądzał. Ale była atrakcyjną, szukającą przygód kobietą, więc od razu przypięto jej łątkę zwykłej kurwy - oznajmiła ostrym tonem.

- To chyba żadna nowość, że społeczeństwo ocenia kobiety znacznie surowiej niż mężczyzn? Tak się dzieje od wieków, w większości kultur. Co nie zmienia faktu, że cholernie mi przykro z jej powodu...

- Szkoda tylko, że jesteś w mniejszości. Słyszałam już tutaj naprawdę szokujące rozmowy, wierz mi! Przychodzą na drinka takie znudzone życiem mamuśki i zaczyna się nagonka. Że Olka

to kurwa, wywłoka, że sypiała z tym i z tamtym... Same pewnie też by chciały, ale po ostatniej ciąży przytyło im się z piętnaście kilo i mogą sobie tylko pomarzyć. - Wyraźnie wkurzona wyjęła spod kontuaru paczkę cameli i sięgnęła po zapalniczkę. - Nie przeszkadza ci, że zapalę?

- Nie.

- Dzięki - mruknęła, wydając z paczki papierosa.

- Ale jeśli wpadnie tu twój szef... Wiesz o zakazie palenia w takich miejscach, prawda?

- Masz mnie za idiotkę? Jasne, że wiem. Ale jest prawie pierwsza w nocy i oprócz nas nie ma tu żywego ducha. Zresztą i tak zaraz tę budę zamykam. - Najpierw wzruszyła ramionami, a potem z błogością zaciągnęła się dymem.

- Odprowadzę cię, jeśli chcesz. Nie powinnaś chadzać sama po nocy.

- No... Co racja, to racja. Jedna taka, co stąd wyszła sama, marnie skończyła. Ale nie martw się, facet po mnie podjedzie. - Barmanka wydmuchała dym gdzieś ponad głowę Kiciusia i z papierosem w ustach naląła sobie do kieliszka odrobinę wódki.

- Za tych, co na morzu - zażartowała, delikatnie stukając o brzeg trzymanego przez Wojciecha kufla.

Kiciński dopił piwo i zaczął się zbierać.

- Powiedz szefowi, że nocami nie powinnaś tu siedzieć sama - rzucił, wydając z portfela pięćdziesięciozłotowy banknot.

- Mam gaz i nie zawaham się go użyć. - Uśmiechnęła się krzywo, wydając resztę.

I pewnie się łudzi, że to wystarczy, pomyślał, przypominając sobie naprawdę paskudną sprawę gwałtu na młodej barmance pracującej w sąsiednim miasteczku. Tuż przed zamknięciem dziewczynę zawlokło na zaplecze i zgwałciło trzech mężczyzn.

Cieężko pobitą właściciel znalazł dopiero następnego dnia w południe. Co gorsza, złapano tylko jednego z tamtych skurwysynów, i czasem Wojciech się zastanawiał, czy ich okolica nie ma aby przypadkiem najniższych wskaźników wykrywania przestępczości na całym cholernym świecie...

- To na razie! Dzięki, że wpadłeś. I wracaj prosto do domu. - Młoda barmanka posłała mu w powietrzu całusa i chyba bardziej, żeby zająć czymś ręce niż posprzątać, ponownie przetarła kontuar.

- Słuchaj, jak ty właściwie masz na imię? - zapytał Kicius, zapinając kurtkę.

- Weronika. Dla przyjaciół Mrówka.

- Mrówka?

- Nie pytaj, długa historia - roześmiała się.

- Nie pytam. - Wojciech rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „w nic nie wnikam”, i ruszył w stronę drzwi.

Sprzed pubu wysłał SMS-a do Gosi:

Wybacz, zeszło mi dziś do późna. Ale już wracam, będę za kwadrans. Pewnie zrobiłaś mi kolację, a ja zjadłem kanapkę w Kapitanie... Głód nie lubi czekać. Całuję Cię, Myszko. W.

Wysłał wiadomość i z wawym krokiem ruszył w stronę pobliskiego parku. Mijając swój zaparkowany na nabrzeżu samochód, zwalczył pokusę wślizgnięcia się za kierownicę i pieszo pomaszerował w stronę domu. Był mniej więcej w połowie drogi, kiedy za plecami usłyszał czyjeś kroki. Odwrócił się gwałtownie, ale nie zdążył zareagować - brutalny cios pięścią w twarz momentalnie zwałił go z nóg. Napastnik był jeden, chwilę później dołączyło do niego jeszcze dwóch mężczyzn. Kiciński usiłował wstać, jednocześnie osłaniając przedramionami głowę, ale wymierzane przez bandytów kopniaki uniemożliwiły

jakikolwiek manewr. Złamali mi żebro, pomyślał, zanim na moment stracił przytomność.

Ocknął się chwilę później. Ból w boku był tak nieznośny, że z trudem oddychał. Coś mu się stało w lewą dłoń, nie mógł ruszać palcami. Uklęknął i opierając się o połamaną ławkę, zbierał siły, żeby wstać. W tym samym momencie jeden z napastników zawrócił, podszedł do Wojciecha i kolejnym kopniakiem przewrócił go na ziemię. Kiciński przeciągle jęknął i chroniąc głowę, wczołgał się za ławkę.

- Wiesz, kto nas na ciebie nasłał, co? - Bandzior splunął i dla lepszego efektu jeszcze raz kopnął Wojciecha w bok. - Masz dodatkowy tydzień, słyszysz?! Później nie będziemy się już z tobą tak pieścić - dodał charakterystycznym, chrapliwym głosem, zanim zniknął w spowijających park ciemnościach.

Kiciński przymknął oczy, starając się jak najpłycej oddychać. Żebra nie były chyba jednak połamane, ale strasznie krwawił z rozbitego nosa i ledwo widział na lewe oko. Idący od ziemi chłód przeniknął go do szpiku kości, ale nie znalazł w sobie tyle siły, żeby wstać. Zamknął oczy. Ból na chwilę zelżał, żeby zaraz powrócić obezwładniającą falą. Poleżę tu tylko chwilę i zaraz się pozbieram, pomyślał, walcząc z mdłościami. Tylko chwilę i już wstaję. Dam radę, muszę...

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi - płonąca pomarańczowa kula na tle szarego, jesiennego nieba. Chcąc jak najszybciej zakończyć odwlekane zbyt długo ogrodowe prace, Anna zaczęła upychać zgrabione liście do czarnego worka. Październik rozpoczął się zmianą pogody - popołudnie było w miarę ciepłe i pracująca od niemal godziny Anna mocno się zgrzała. Zdejmując starą, watowaną kurtkę, zauważyła idącego w stronę furtki syna.

- Arek, a ciebie gdzie znowu niesie?! Miałeś mi tutaj pomóc! - krzyknęła, ale chłopak nawet na nią nie spojrzał.

Z rękoma w kieszeniach, jakby siłą wciśnięty w nieco przykrótką szarą bluzę, przemknął wąską ogrodową ścieżką i otworzył furtkę. Długo nieoliwione zawiasy zaskrzypiały złowrogo i Annę przeszedł dreszcz. Tyle razy słyszała to przekłete skrzypienie w samym środku nocy, kiedy jej wiarołomny mąż wracał do domu, pachnąc perfumami innej kobiety...

- Arek, słyszałeś, co mówiłam?! - Anna, zazwyczaj potulna, tym razem nie dała za wygraną.

Jednak syn nie zamierzał zmieniać planów.

- Śpię dziś u Kacpra! - krzyknął tylko i nie czekając na odpowiedź, w wyraźnym pośpiechu wyszedł na ulicę.

Na myśl o czekającym ją samotnym wieczorze, zrobiło jej się smutno. Samotność była ostatnio jej najwierniejszą towarzyszką...

Liście oblepiały rękawy cienkiego, podniszczonego swetra, w którym zazwyczaj sprzątała, a kilka wplątało się w wyraźnie

siwiejące na skroniach włosy. Chryste, jak bardzo tej siwizny nienawidziła! Każdy kolejny srebrny włos był jak szyderczy grymas losu. Ledwo obudziłaś się do życia, a już przekwitasz, zdawało się mówić jej odbicie w lustrze. Skrzywiła się. Co też, do cholery, chodzi jej po głowie? Wybierze się w końcu do fryzjera i będzie po problemie, zdecydowała, odgarniając lecące do oczu niesforne pasma. Zawiązała wypchany do granic możliwości plastikowy worek i niechętnie złapała za grabie, by skończyć chociaż trawnik przed domem. Liście zgarniane metalowymi zębami grabi, sucho zaszeleściły. Anna nie znosiła tego odgłosu, dziwnie kojarzył jej się ze śmiercią i przemijaniem. Pracowała jednak, dopóki przed domem nie zrobiło się niemal całkiem ciemno. W końcu zapakowała stos liści do kolejnego worka, przeciągnęła oba wory za dom i zaniósła grabie do garażu. Zanim weszła do domu, przekręciła klucz, zamykając na noc furtkę, i sprawdziła, czy nikt nie schował się w najciemniejszym kącie ogrodu. Wiedziała, że przesadza. Krzysztof uznałby ją pewnie za histeryczkę. Ale Krzysztofa już przy niej nie było, a ją czekała kolejna samotna noc w dużym i pustym domu...

W środku było duszno. Zdjęła buty i wsunęła je pod komodę, przykręciła kaloryfery na parterze i poszła pod prysznic. Do dwudziestej oglądała w sieci stare odcinki *Żon Hollywood*, później zjadła lekką kolację i podeszła do okna. Uliczka przed domem była cicha i pusta, co jeszcze pogłębiło jej smutek. Pomyślała, że jej życie też już zawsze takie będzie – ciche i puste...

Sama nie wiedziała, kiedy zaczęła płakać: kiedy w radio puścili kawałek zmarłej niedawno tragicznie brytyjskiej piosenkarki czy wtedy, kiedy zauważyła przez okno roześmianą, objętą przez męża sąsiadkę? Nalała sobie wina i duszkiem wychyliła pierwszy kieliszek. Zdawała sobie sprawę, że ostatnio znowu zbyt wiele

pije, ale miała to gdzieś. Jasne, wiedziała, że powinna być silna. Wychowywała przecież nastoletniego syna, miała dla kogo żyć.

Tyle że Arek od jakiegoś czasu otwarcie ją lekceważył i nie miał dla niej czasu. Fakt, był w trudnym wieku, ale czy to znaczyło, że miał prawo zachowywać się w tak podły sposób? Wino było cierpkie i nieprzyjemnie ciepłe, ale przecież nie dla smaku je piła. Ponownie napełniła kieliszek, czekając na ten cudownie obezwładniający szum w głowie, który chociaż na trochę pozwoli zapomnieć o całym pieprzonym świecie.

Przed dwudziestą pierwszą pomyślała, że nie da rady spędzić kolejnego samotnego wieczoru, po prostu nie potrafi. Dżinsy, bluza, grube skarpety, kurtka – ubrała się w pięć minut, wrzuciła do torebki trochę drobnych na bilet i pośpiesznie wyszła z domu. Jeśli pójdzie szybko, powinna zdążyć na busa...

Na przystanek dotarła zziębnięta, ale dziwnie podekscytowana. Czemu wcześniej nie przyszło jej do głowy, żeby pojechać do Filipa i pogadać? Czuła, że wychodząc z ostatniego czuwania w taki sposób, w jaki to zrobiła, mogła go mocno urazić. Tyle że nie chciała mówić o pewnych rzeczach, a już na pewno nie publicznie. Jednak jej zachowanie było nie do przyjęcia. Przecież się przyjaźnili! Filip dbał o nią, poświęcił jej tyle czasu. Czemu zawsze robię wszystko, żeby zrazić do siebie ludzi? – zastanawiała się, z rosnącym zniecierpliwieniem wypatrując busa.

Podjechał kilka minut spóźniony, ale niemal pusty. Anna zapłaciła za bilet i usiadła z samego przodu, tuż za kierowcą. Nie lubiła tego miejsca, ale skoro za kilka minut miała wysiąść...

Jakiś kwadrans później, idąc pełną kolein drogą w stronę należącego do wuja Filipa gospodarstwa, zaczęła się zastanawiać, czy dobrze zrobiła, decydując się na tę niezapowiedzianą i w dodatku wieczorną wizytę. Było jednak za późno, żeby zmienić

plan i zawrócić, więc szybkim krokiem szła w stronę stojącego na całkowitym odludziu zaniedbanego domu.

Frontowe drzwi były zamknięte. Będąc w domu, Filip zwykł zamykać je tylko na klamkę, tym razem jednak musiał pójść w ruch również klucz. Anna przygryzła wargi, niepewna, co robić. Musiał gdzieś wyjść, pomyślała, wyjmując z kieszeni telefon. Niestety, nie udało jej się złapać zasięgu. Ruszyła wokół domu, zaglądając w okna. Miała nadzieję, że złapie zasięg, i nagle zauważyła światło - w sypialni na tyłach paliły się boczne kinkiety. Schowała telefon do kieszeni i na palcach, niczym skradający się w ciemnościach podglądacz, zajrzała do środka. Niestety w sypialni nie było gospodarza, a pusty i rozświetlony bursztynową poświatą bocznych lamp pokój wydał jej się dziwnie przygnębiający.

Zawróciła w stronę drogi, kiedy zauważyła dochodzące ze szpar w drewnianych ścianach stodoły migotliwe światło świec. Tego akurat wieczoru na pewno nie było żadnego czuwania, jednak ktoś musiał być w środku, bo Filip nigdy nie zostawiłby zapalonych latarenek bez nadzoru. Ruszyła w stronę budynku, ożywiona myślą, że za chwilę będą mogli spokojnie porozmawiać.

Jednak zanim pchnęła ciężkie drewniane drzwi i weszła do środka, zawahała się. Co, jeśli on nie jest tam sam? Albo robi coś żenującego, coś, czego nigdy nie powinnam zobaczyć? - pomyślała, przypominając sobie, jak bardzo czuła się skrępowana, kiedy któregoś dnia niechcący przyłapała męża na masturbacji. Przystanęła, starając się nawet nie oddychać. W końcu przyłożyła oko do jednej z większych szpar w deskach i zerknęła do środka, czego szybko pożałowała. Intuicja jej nie zawiodła - Filip nie był sam. Jednak kobiety, która mu towarzyszyła, Anna nigdy by się tu nie spodziewała zobaczyć...

Kochali się w krępujących ruchy kurtkach – ona pochylona do przodu, z zadartą w górę wełnianą spódnicą, on z opuszczonymi do kostek dżinsami. Anna poznała ją po włosach, po lokach farbowanych na dawno niemodną oberżynę, a także po butach, którymi Mariola zenująco się chwaliła. Ponoć przywiozła je z Berlina. Były to śliczne zamszowe kozaczki z frędzlami upodabniającymi je do klasycznych kowbojek. Przez dłuższą chwilę Anna stała jak zahipnotyzowana rozgrywającym się w stodole spektaklem.

Nieświadomi tego, że ktoś ich podgląda, kochankowie używali życia. Ona cichutko jęczała, on ciężko dyszał, niemal zwierzęco charczał. W końcu złapał ją za włosy i odgiął jej głowę do tyłu. Krzyknęła. Wyślizgnął się z niej i oboje opadli na jedną z drewnianych ław – ona zaczęła zakładać odnalezione na klepisku rajstopy, on ciężko oddychając, siedział z przymkniętymi oczyma, jakby jeszcze nie miał ochoty wracać do rzeczywistości.

Anna wycofała się w stronę polnej dróżki, starając się iść jak najciszej, niemal na palcach. Wokół stodoły było ciemno, ale nie odważyła się zapalić latarki. Dopiero kiedy była mniej więcej w połowie drogi na przystanek, wyjęła ją z plecaka i włączyła. Jakies trzy minuty później za swoimi plecami usłyszała warkot silnika i instynktownie uskoczyła w bok, gdzie osłonięta rosnącymi wzdłuż wąskiej uliczki krzewami przyglądała się mijającemu ją samochodowi Filipa. Zrozumiała, że odwozi Mariolę do domu.

Nagle poczuła złość i palącą, dziką wręcz zazdrość. Tyle ciepłych słów od niego przecież usłyszała! Tyle żarliwych zapewnień o przyjaźni i łączącej ich szczególnej więzi, a teraz gził się z tą starą krową?! Przecież ona ma prawie pięćdziesiątkę! Świetnie pamiętała, jak całkiem niedawno Mariola hucznie

obchodziła czterdzieste dziewięte urodziny! Naprawdę nie mógł znaleźć kogoś w swoim wieku? – zastanawiała się, połykając łyżę. I nawet nie chodziło jej o seks, za którym tak naprawdę nie przepadała... Chodziło o czas, jaki poświęcił tamtej kobiecie, o całą jego uwagę.

Na przystanek dotarła rozdygotana. Chciało jej się płakać i czuła się tak samotna, jak chyba jeszcze nigdy wcześniej. W dodatku bała się, że Filip, wracając spod domu mieszkającej w pobliżu Marioli, zastanie ją tutaj, niemal pod swoim domem, i zacznie podejrzewać, że mogła coś widzieć. Droga była jednak pusta i Anna powoli zaczynała się uspakajać. Niczego mi przecież nie obiecywał, więc nie mogę mieć żalu, powtarzała sobie. Ale zazdrość, którą poczuła, patrząc na Filipa zadającego się z inną, zdążyła już na dobre zapuścić korzenie.

Wsiadła do autobusu, kiedy rozdzwoniła się jej komórka. Filip. Patrząc na jego imię na wyświetlaczu, zdała sobie sprawę, że pewnie oddzwania, gdyż wcześniej usiłowała się z nim skontaktować. Nie odebrała, nie miała pojęcia, co mogłaby mu powiedzieć.

Napisała mu tylko SMS-a, że chciała go o coś zapytać, ale to już nieistotne.

Odpisał po chwili:

*Byłem właśnie na małym samotnym piwie i myślałem o Tobie!
Odezwij się, chcę pogadać.*

Kłamca! – pomyślała, chowając telefon do plecaka.

W domu, kiedy już zamknęła frontowe drzwi na wszystkie zamki i posprawdzała okna, naląła sobie kolejną porcję wina i wybuchła gwałtownym płaczem. Jechała do Filipa z taką nadzieją! Potrzebowała rozmowy, pragnęła bliskości, zrozumienia, ludzkiego ciepła, a jednak znalazła coś zupełnie innego, coś, co

zupełnie ją rozstroilo, do reszty wytracilo z rownowagi. W malzenstwie z Krzysztofem przez lata czula sie przerazliwie samotna, jednak ta samotnosc, ktora zdolala juz jakoś oswoic, byla niczym w porownaniu z ta, ktora dręczyła ją teraz. Czula sie niczym pusta, wystawiona na palace slonce skorupa glinianego dzbana, ktora mijali obojetnie wędrowcy i przysypywal pustynny wiatr. Ta pustka, ktora w sobie nosila, doslownie ją wsysala - jakby nie bylo na swiecie juz niczego innego oprócz tego upiornie cichego, zbyt duzego dla niej samej domu, i ciszy, ktora dzwonila jej w uszach...

Pomimo zmęczenia Krzysztof znowu nie mógł spać. Poprzednią noc też przespał marnie, ale nawet skrajne wyczerpanie nie pomogło mu w zrelaksowaniu się. Do pierwszej w nocy, bezsennie leżąc obok spokojnie oddychającej Iwony, roztrząsał w duchu bieżące problemy, starając się przeanalizować wszystko, czego ostatnio udało im się dowiedzieć w związku ze śmiercią Aleksandry Fabianowicz. W końcu wstał, założył prążkowany szlafrok, który - o ironio losu - sprezentowała mu na urodziny żona, i cicho, żeby nie obudzić śpiącej Iwony, wyszedł z sypialni.

Zanim włączył komputer, zajrzał do Matyldy i poprawił jej kołderkę, którą jak zawsze skopała. Później zrobił sobie kakao i zasiadł przed monitorem. Zaczął od Facebooka. Sam nieczęsto tam bywał i prawie nigdy nie wrzucał na swój profil postów, ale zdarzało mu się zaglądać na stronę syna, który relacjonował w necie dosłownie każdą chwilę swojego nastoletniego życia.

Bugaj wielokrotnie rozmawiał z Arkiem o zagrożeniach, jakie niesie za sobą nadmierna obecność w sieci, ale syn raczej nie brał sobie do serca jego rad. Tym razem szczerze wrzucił zdjęcia z okolic leśnego bunkra, niemal dokładnie z miejsca, gdzie jakiś czas temu znaleziono zwłoki nastoletniej ciężarnej Litwinki. Z pewnością nie wybrał się tam jednak po to, żeby dołączyć do wciąż palących przy bunkrze znicze wstrząśniętych mieszkańców. Tym razem jego Arek wypinał do obiektywu goły tyłek, pozując ze spuszczonej do kostek spodniami... Bugaj zmiął pod nosem przekleństwo i zaczął przeglądać komentarze pod zdjęciem:

Niezły tyłeczek, Ari!

- to od jakiejś Bosz-eny.

Nie wypinaj się tak, bo Cię kiedyś w doopę dojadą!

- radził mu chłopak, z którym Arkadiusz chodził do klasy.

Dupa coś blada

- skomentowała E-milka, dodając, że powinien skoczyć czasem do solarium.

Świrze, wciąż wisisz mi cztery dychy!

- to od Jędrka Gawrona.

Że też ja zawsze przegapię najlepsze imprezki!

- napisała jakaś Ewa Te, a Jusstyna Niemiec dodała, że koniecznie trzeba by zrobić powtórkę z melanżu na cmentarzu.

Bugaj przeleciał wzrokiem resztę komentarzy, których było prawie czterdzieści, i z trudem zwalczył pokusę napisania do syna z prośbą u usunięcie kompromitującego posta. Zresztą znając Arka, i tak by pewnie nie posłuchał - wciąż był na niego wściekły o to, że zostawił Annę, i nadal nie chciał się spotkać nawet na krótkim spacerze...

- Durny smarkacz - mruknął pod nosem, wylogowując się z Facebooka.

Chwilę później wszedł na Onet i pobieżnie przejrzał wiadomości. Ciężko pobity Wietnamczyk w Warszawie, katastrofa helikoptera pod Hamburgiem, śmiertelny wypadek motocyklisty pod Głogowem, dramatyczna sytuacja frankowiczów - złe wiadomości krzyczały wytłuszczonymi nagłówkami, jakby koniecznie chciały trafić do każdego odbiorcy pod słońcem.

Pieprzony świat, pomyślał Bugaj, przecierając zmęczone oczy. Piekło go pod powiekami i nieprzyjemnie pulsowało w głowie, ale wiedział, że i tak pewnie szybko nie zaśnie... Wrócił jednak do łóżka z nadzieją, że może uda się chociaż na moment zdrzemnąć.

Niestety nie minął nawet kwadrans od chwili, kiedy się położył, gdy w korytarzu rozdzwoniła się jego komórka.

- Kurwa mać! - zaklął Bugaj, w pośpiechu wyskakując z łóżka.

Tego tylko trzeba, żeby telefon obudził małą, pomyślał. Szczęściem Matylda nadal smacznie spała, z rozrzuconymi za główką rączkami. Za to komórka obudziła Iwonę, która syknęła, żeby przestał się miotać po mieszkaniu, i zatrzasnęła drzwi od sypialni.

Odbierając telefon, Krzysztof sprawdził czas. Dochodziła druga nad ranem, co nie wróżyło raczej dobrych wieści.

- Gosiu, co się dzieje? - zapytał półgłosem, zamykając się z telefonem w łazience.

- Chodzi o Wojtka, chyba coś się stało - w głosie partnerki przyjaciela można było usłyszeć pierwsze nutki hysterii.

- Ale co konkretnie? Mów jaśniej. - Przysiadł na wannie i tłumiąc ziewanie, przyłożył telefon do lewego ucha, na które nieco lepiej słyszał.

- Prawie godzinę temu napisał SMS-a, że będzie za kwadrans. Wychodził już z Kapitana, a to jakieś dwanaście minut spaceru, może odrobinę dłużej. Tyle że jest prawie druga, a on dalej nie dotarł. Komórki nie odbiera, nie odpisuje na moje SMS-y. - Gosia, która od dłuższego czasu powstrzymywała łzy, w końcu się rozplakała.

- Może kogoś spotkał, wiesz, jak jest. Wstąpił jeszcze gdzieś na chwilę, padł mu telefon...

- Krzysiek, on nigdy się tak nie zachowuje! Jeśli napisał, że już wraca, to na bank był w drodze do domu! Nie wiem, co robić?! Powinnam zadzwonić na policję? Wyszłabym go poszukać, ale mam gorączkę i całkiem mnie rozłożyło. Dawno nie byłam taka przeziębiona...

- Tak, rzeczywiście genialny pomysł. Tylko tego brakuje, żebyś samotnie wyszła do parku o drugiej nad ranem. Czekać w domu, poszukam go.

- Mógłbyś? Jezu, jak mi głupio... Budzę cię w środku nocy i...

- Nie spałem. Czekać na telefon, dam ci znać, jak go znajdę.

- Dziękuję, Krzysztof! Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

- Od tego są przyjaciele. I nie becz już, pewnie gdzieś wstąpił i siedzi przy kuflu.

- W centrum wszystko już na głucho zamknięte, przecież wiesz...

- Na pewno jest jakieś wytłumaczenie, musi być. UFO go przecież nie porwało - mruknął Bugaj, przeczesując palcami włosy. - Dobra, szkoda czasu. Kończę, ubieram się i idę go poszukać, a ty nie becz.

Ubrał się w pięć minut.

- Na moment wychodzę. - Zapinając kurtkę, uchylił sypialniane drzwi, ale Iwona nie odpowiedziała.

Wychodząc z mieszkania, pomyślał, że nie znał jej od tej strony. Kiedy jeszcze spotykali się niezobowiązująco, nie wiedząc, dokąd zmierza ich romans, sprawiała wrażenie słodkiej, wyrozumiałej i sympatycznej laski. Typ dziewczyny z sąsiedztwa, która przymyka oko na męskie ekscesy, nie robi afery z byle czego i potrafi wiele wybaczyć. Odkąd jednak z nią zamieszkał, zmieniła się nie do poznania. Ale może nie powinien jej obwiniać? Niedawno straciła przecież dziecko, a on sam nie był do końca pewien, czy przy całej możliwej empatii jest w stanie wyobrazić sobie, przez co musi przechodzić...

Wchodząc do pobliskiego parku, skupił się na przyjacielu. Gdzie polazł ten pajac? - zastanawiał się, przeczesując wzrokiem alejki.

Był mniej więcej w miejscu, gdzie spotkał ostatnio szarpiącą się parkę, kiedy zauważył Wojtka. Dziwnie pochylony siedział na jednej z ławek i wyglądał na oszołomionego.

- Ty, co jest? - Krzysztof kilkoma susami dopadł kumpla i delikatnie podniósł mu głowę. - Pijany jesteś? - zapytał, zanim zauważył krew na jego twarzy, skroni i kurtce. - Kurwa, chłopie! Kto cię tak załatwił?!

- Nie wiem, zaszli mnie od tyłu... Nie mogłem się pozbierać, dopiero teraz udało mi się wstać - wymamrotał Wojciech, z trudem wydobywając z siebie głos.

- Czekaj, jakoś muszę cię stąd zabrać. Skoczę po auto, a ty tu siedź.

- Nie, jakie auto, daj spokój. Posiedzę tu chwilę i jakoś się dowlokę do domu. - Kicius opuszkami palców musnął zakrwawiony policzek i syknął z bólu. - I jak? Bardzo marnie to wygląda? - zapytał cicho.

- Będziesz żyć - zbagatelizował sprawę Krzysztof. - Gośka cię szukała cała zapłakana. Podobno wysłałeś jej SMS-a... - zmienił temat.

- Moja myszka się martwi? Chyba jednak się z nią ożenię. - Kicius, który dziesiąty rok żył z Małgością na kocią łapę, wysilił się na kiepski żart i zakaszłał.

- Dobra, siedź tutaj! Możesz mieć połamane zębra, wiesz o tym?

- Nie, chyba nie. Ale obtłukli mnie niemiłosiernie. Czuję się jak śliwka rozjechana na marmoladę...

- Tylko humor wciąż ci dopisuje, co? - mruknął Bugaj, wybierając numer dziewczyny kumpla. - Gosiu, już okay. Znalazłem go w parku. Co? Nie, nie jest pijany. Jacyś leszcze obili mu ryja... No skąd, nic wielkiego. Nie dramatyzuj, jest dobrze. Parę szwów, trochę siniaków... Będzie żył. Jasne, że się nim

zajmę. Podrzucę go na SOR, a ty nawet nie myśl o tym, żeby z gorączką wychodzić z łóżka. No dobra, trzymaj się. – Krzysztof szybko zakończył rozmowę i schował telefon do kieszeni. – Podjadę przed tamto wyjście, a później jakoś cię tam dotaszczę. Tylko się stąd nie ruszaj. Aha, zanim pójde – myślisz, że koleś mogą wrócić? Co to w ogóle byli za jedni?

– Nie wiem, nie mam pojęcia... Wyskoczyli na mnie z nienacka, nie miałem szans... Nie, chyba nie wróca... Idź, idź już... Kurwa, jak boli. – Kiciuś oparł się o oparcie zdewastowanej ławki i przymknął oczy.

Kwadrans później Bugajowi udało się dotaszczyć kumpla do samochodu i zapiąć mu pasy.

– Słuchaj, darujmy sobie ten szpital, co? – poprosił Wojciech, kiedy Krzysztof uruchomił silnik. – Robiłeś kursy ratownika medycznego, poradysz sobie. Zszyjesz mi łuk brwiowy i będzie po sprawie.

– Chłopie, zszyć to ja mogę rozerwane gacie, a twoją gębą musi się zająć lekarz. – Wykręcił w wąskiej uliczce i ruszył w stronę miejskiego szpitala.

Kilka minut później, czekając na przyjaciela w dusznej, ale szczęściem pustej poczekalni SOR-u, zaczął się zastanawiać, kto mógł pobić Wojciecha i o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi. W gadkę, że dorwali go jacyś przypadkowi napastnicy, raczej nie wierzył. Owszem, była taka opcja, jednak czuł, że kumpel nie powiedział mu całej prawdy...

19

Wojciech Kiciński był w drodze do samochodu, kiedy zatrzymała go jedna z młodych policjantek, Ewa.

- Kiciuś, czekaj! Jakiś koleś mówi, że być może wie coś o śmierci tej pielęgniarki.

Przystanął niechętnie; myślami był już w domu.

- Żartujesz? I teraz się obudził? - mruknął, starając się nie okazywać poirytowania.

To w końcu nie wina Ewki, że napatoczył się jakiś jeleni...

Dziewczyna przeskoczyła kałużę i podeszła bliżej, starając się zbyt otwarcie nie gapić na jego pokiereszowaną w nocnej bójce twarz. Zresztą tylko skrajny optymista nazwałby parkowy incydent bójką - Kiciuś świetnie zdawał sobie sprawę, że zwyczajnie zebrał gruby wpierdol...

- Gość twierdzi, że dopiero teraz o wszystkim się dowiedział. Chce rozmawiać z kimś, kto zajmuje się śledztwem. - Ewa leciutko wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że nie takie rzeczy już widziała, i dodała, że gość czeka na parterze.

Kiciuś schował kluczyki do kieszeni kurtki i starając się nie myśleć o rwącym bólu w nodze, lekko kuśtykając, ruszył w stronę budynku komendy. Czuł się fatalnie i tak samo wyglądał, w dodatku na komisariacie cuchnęło świeżą farbą, co przyprawiało go o ból głowy. Pchnął drzwi i niechętnie wrócił do środka. Miał nadzieję na wieczór w domowym zaciszu, a trafił mu się cholerny nadprogramowy świadek.

- To pan chce rozmawiać o Aleksandrze Fabianowicz? - zapytał

młodego, postawnego szatyna w sportowej kurtce i spranych dżinsach, który czekał, dla zabicia czasu przeglądając wydany przez komendę wojewódzką biuletyn.

Chłopak skinął głową na tak i nerwowo przełknął ślinę.

- Zapraszam w takim razie. - Wojciech pchnął drzwi od jednego z pustych pokoi i usiadł za starym biurkiem z uszkodzonym blatem ze sklejki. - Dobra, to od początku. Jak się pan nazywa i czemu pan uważa, że wie coś o śmierci tej kobiety? Nasza rozmowa będzie nagrywana, jest pan tego świadomy? - zapytał Kiciński, starając się nadać głosowi zachęcający, niemal przyjacielski ton.

Młody szatyn wciąż jednak sprawiał wrażenie mocno zestresowanego. W sumie Kicińskiego nawet to nie dziwiło, bo wiele osób denerwuje się w kontakcie z policją. Jednak czy za jego zdenerwowaniem kryje się coś więcej? Czas pokaże, pomyślał Wojciech, kiedy już włączył dyktafon i usadowił się wygodniej na obrotowym krześle.

- Przesłuchanie świadka w sprawie Aleksandry Fabianowicz. Obecni: starszy sierżant Wojciech Kiciński i... jak się pan nazywa? - zapytał.

- Mariusz Jarosz - odparł cicho. - Byłem przyjacielem Olki. No bo ja... Bo ja tam wtedy z nią byłem. To znaczy wcześniej, tamtej nocy. - Miał niski, ładnie brzmiący głos, w którym wyraźnie słychać było podenerwowanie.

- Co pan rozumie przez słowo „przyjaciół”? - Choć Kicius nagrywał rozmowę, skrupulatnie zanotował imię i nazwisko na znalezionej na biurku luźnej kartce i nachylił się w stronę świadka. - Proszę się postarać opowiedzieć wszystko krok po kroku. Skąd pan znał Aleksandrę Fabianowicz, co się stało tamtej nocy...

- Byliśmy z Olką razem. To znaczy w pewnym sensie, bo ona nie chciała się wiązać. Zakochałem się w niej, ale ona nie chciała nawet słyszeć o poważnym związku. Powtarzała, że za bardzo się sparzyła, że nie chce, żeby ktoś znowu ją zranił. Śmiała się, że jestem szczyłem, że jeszcze nic nie wiem o życiu, jakby te dzielące nas dwanaście lat były przepaścią nie do przejścia... Tamtej nocy spotkaliśmy się w parku, bo wcześniej zajrzałem do niej do szpitala i poprosiłem o tę nocną randkę. Nie obiecała, że się zjawi, ale nie powiedziała też „nie”. Czekałem na nią w aucie dobre czterdzieści minut, ale w końcu przyszła. Zdziwiłem się, że nie wzięła samochodu, ale nie pytałem czemu. Uznałem, że chciała się przejść, w końcu to niedaleko.

- Więc przyszła i co dalej? - ponaglił świadka Kiciuś.

- Przyszła i niemal od razu się pokłóciliśmy. Chciałem, żeby pojechała ze mną do Niemiec, wybierałem się odwiedzić starego kumpla.

- Rozumiem, że przez ten zagraniczny wyjazd dopiero teraz dowiedział się pan o śmiertelnym wypadku kochanki? - wypalił Kiciuś, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że właśnie zasugerował świadkowi odpowiedź.

- Ja... Tak, właśnie, dopiero teraz. W Niemczech nie używałem polskiego numeru, po prostu wyłączyłem komórkę. Dopiero kiedy wróciłem, dowiedziałem się, że Olkę ktoś wtedy potrącił. - Chłopak nerwowo przełknął ślinę i zapatrzył się w gęstniejącą za oknem ciemność. - A ja miałem nadzieję, że się ze mną do tych Niemiec wybierze... Powiedziałem nawet, że może zabrać ze sobą syna, żaden problem.

- Znał pan jej syna? - zainteresował się Kiciuś.

- Maćka? Nie osobiście. Tylko ze zdjęć. Raz miałem go podrzucić do dentysty, ale Olka w ostatnim momencie wszystko

odwołała.

- Czym pan jeździ? - zmienił temat Wojciech, bębniąc placami w blat biurka.

- A takim rzęchem, nie ma się czym chwalić...

- A konkretniej?

- Dwunastoletnim oplem astra.

- Przyjechał pan dziś autem?

- Tak, a czemu... Pan chyba nie myśli, że ja...

- Co zaszło tamtej nocy między panem i Aleksandrą Fabianowicz?

- No, trochę się pokłóciliśmy, ale ja nigdy bym jej nie skrzywdził! - Jarosz wyraźnie poczerwieniał na twarzy.

Wyglądał na coraz bardziej zdenerwowanego i przez chwilę Kiciuś miał wrażenie, że facet chce się zerwać z miejsca i ruszyć w stronę drzwi.

- Trochę się pokłóciliście? - zapytał, dla lepszego efektu udając, że pilnie coś notuje.

- No, Olka mnie wyśmiała... Powiedziała, że z nami koniec. Zdenerwowałem się i kazałem jej się wynosić z auta. Ale ja nigdy bym nie...

- I co było dalej?

- Pojechałem do domu. Przez dłuższą chwilę siedziałem w samochodzie, później zawróciłem i pojechałem do siebie.

- Zawrócił pan? A może pojechał pan w stronę, w którą szła Aleksandra Fabianowicz? - zapytał ostro Kiciuś, chociaż już świetnie wiedział, że sprawca, kimkolwiek był, jechał najprawdopodobniej czymś większym niż osobowy opel.

- Zawróciłem, przecież mówię! Pojechałem dłuższą trasą, bo chciałem jeszcze zatankować. Ale widziałem kogoś w terenówce...

- Chłopak ściszył głos, jakby samo mówienie o potencjalnym

zabójcy napędziło mu pietra.

- Widział pan terenówkę?

- Tak. Czarną, raczej nową. Najpierw w parku, gdzie się umówiliśmy, później na szosie. Kiedy się zatrzymałem, była za nami.

- Minęła pana?

- Nie. Ten, kto ją prowadził, również zjechał na pobocze.

- Ma pan jakiś pomysł, kto to mógł być? Wyglądało to na przypadkowe spotkanie na szosie, czy może ktoś państwa śledził? Jak pan to odebrał?

- Wtedy myślałem, że to jakaś parka. Wie pan, ten park to dość popularne miejsce nocnych schadzek. Byłem pewien, że podobnie jak my chcą się bzyknąć w samochodzie, a później...

- Czyli tamtej nocy uprawiał pan seks z Aleksandrą Fabianowicz? - Kicius wszedł chłopakowi w słowo i zabębnił palcami w zniszczony blat biurka.

- Tak, w aucie. Ale to...

- Czy wymusił pan stosunek na ofierze?

- Słucham?! Nie! Ona sama chciała, my przecież...

- A kiedy już wysiadła, co pan zrobił?

- Mówiłem już! Chwilęostałem na poboczu, chciałem ochłonąć... Później zawróciłem i pojechałem do domu.

- Skoro pan zawrócił, musiał pan widzieć stojącą za panem terenówkę.

- Nie widziałem jej. Ale ten, kto za nami wcześniej jechał, mógł na chwilę zniknąć w jednej z parkowych alejek, żeby zaraz później wrócić na drogę.

- A może nikogo tam nie było? Może to pan pożyczył od kogoś terenowe auto, pokłócił się z kochanką, wyrzucił ją z samochodu i po chwili rozmyślnie potrącił? Groziła panu czymś?

Szantażowała pana? Ośmieszała?

Mariusz Jarosz gwałtownie zerwał się z krzesła.

- Nie zabiłem Olki, kochałem ją! - krzyknął. - Nigdy w nikim nie byłem tak zakochany jak w niej! Dla niej zrobiłbym wszystko, nie rozumie pan?!

- Szkopuł w tym, że ona pana nie chciała... To może rodzić poważną frustrację, zgodzi się pan ze mną? - zapytał Wojciech, nie spuszczając wzroku z wyraźnie wzburzonego Jarosza.

- To nie ja, przysięgam! Widziałem tam terenówkę, ktoś za nami jeździł!

- I mimo że ktoś wyraźnie państwa śledził, pozwolił pan wysiąść kobiecie, którą rzekomo tak pan kochał? Było ciemno, było pusto i odludnie. Tak się zachowuje kochający mężczyzna?! - Kicius podniósł głos, nagle przypominając sobie sprawę dwudziestoletniego studenta ekonomii, który jakieś cztery lata wcześniej wywiózł nocą ciało narzeczonej i porzucił je w lesie.

Śledztwo wykazało później, że dziewczyna przedawkowała na jego kanapie jakieś świństwo, które chłopak kupił w jednym ze szczecińskich klubów, a on nie chciał być zamieszany w jej śmierć i łudząc się, że policja pójdzie innym tropem, wywiózł ciało do lasu.

- Ja dopiero później połapałem się, że on musiał za nami jeździć! Wcześniej myślałem, że to jakaś parka, że...

- On? Skąd pan wie, że to był mężczyzna?

- Nie wiem, nie mam pojęcia! Mówię tylko, że ktokolwiek to był, musiał się nam przyglądać już w parku!

- Dobra, skoro pan tak mówi... - Kicius wstał i wyciągnął do chłopaka rękę. - Dziękuję, że pan przyszedł.

- Mogę iść? - na pociągłej twarzy Jarosza odmalowała się wyraźna ulga.

- Może pan, owszem. Na razie jest pan jedynie podejrzanym.

- Podejrzanym? Ale o co? Ja...

- Może pan iść. - Wojciech wstał, okrążył masywne biurko i ruszył w stronę drzwi. - Chociaż właściwie jeszcze jedno. Czy Aleksandra Fabianowicz kiedykolwiek wspominała panu, że ma jakichś wrogów? Ktoś jej groził, szantażował ją? Kogoś się bała?

- Wrogów? Nie, chyba nie miała. Ale mówiła, że chce wyjechać. Marzyła, żeby wszystko rzucić i zacząć od nowa.

- Wyjechać?

- Nie znam szczegółów, dowiedziałem się dopiero tamtej nocy, kiedy...

Gdy Jaroszowi załamał się głos, Kiciuś pomyślał, że na jego oko koleś jest niewinny. Jednak już dawno temu oduczył się kierowania jedynie intuicją, schował więc kartkę z nazwiskiem chłopaka do kieszeni i oznajmił, że będą w kontakcie.

Godzinę później, dzięki życzliwości dobrego kumpla z drogówki, miał już na biurku listę jeżdżących terenowym samochodem znajomych Aleksandry Fabianowicz, na której figurował między innymi ordynator szpitala miejskiego, profesor Marek Różański, oraz - co szczególnie Wojciecha zainteresowało - żona byłego kochanka ofiary, posiadająca czarną toyotę Rav4, Bogusława Trębacz.

20

- Najprawdopodobniej leży tutaj od zeszłego wieczoru. - Doktor Marcin Stefańczyk, po którego Nina zadzwoniła tuż po ósmej rano, nachylił się nad ciałem i wymruczał pod nosem coś, czego stojąca obok prokurator nie dosłyszała. - Ale wiesz, że będziecie musieli poczekać na oficjalną opinię Darka Krawczyka, prawda? - dodał.

- Jasne, że wiem. Jestem ci wdzięczna, że przyjechałeś - powiedziała Nina.

- Dla ciebie wszystko - mruknął Marcin i szeroko ziewnął.

Kolejna martwa kobieta, a policja nadal drobi w miejscu, pomyślała Morawska, odwracając wzrok od leżącej na brzuchu i ubranej jedynie w nocną koszulę Marioli Zyzik. Nina nie znała denatki osobiście, ale widywała ją czasem w centrum, bo burza kręconych i farbowanych na oberżynę włosów rzucała się w oczy.

Kręcący się nieopodal Krzysztof Bugaj rozmawiał ze starszym, podpartym na kuli, siwiuteńkim gościem koło osiemdziesiątki.

- Ja tu zawsze w sobotę wpadam, świeże jajka Mariolce przynoszę. Kury hoduję od lat, wie pan władza, jak to jest. Dawniej była jeszcze krowa, ale...

- Do rzeczy, panie Józefie, do rzeczy - wszedł w słowo staruszkowi, rozcierając przemarznięte dłonie.

- No tak, do rzeczy, jasne... Wy, młodzi, to teraz tylko patrzycie, żeby konkretnie było i szybko. Dawniej się inaczej żyło, spokojniej. - Staruszek pokiwał głową, zanim dodał, że znalazł ją za domem. - Mariolka strachliwa była, dbała o bezpieczeństwo,

wszystko sprawdzała po dziesięć razy. Dlatego się zorientowałem, że coś się stało, bo panie władzo, furтка od ulicy była uchylona. Normalnie Mariolka zamyka ją na klucz i muszę dzwonić, ale dziś niemal na oścież otwartą zastałem. No to wszedłem na podwórze, rozejrzałem się, a ona bidulka tak leżała buzią do ziemi, w samej koszuli. – Staruszkowi wyraźnie trząśł się głos, Bugaj nie wiedział jednak, czy to na skutek szoku, czy może z racji podeszłego wieku.

– O której to było, potrafi pan powiedzieć?

– Czy ja wiem? Jakoś przed ósmą pewnie, może siódma trzydzieści? Ja wiele nie śpię, wstaję o świcie. Czasem już od piątej się po domu kręcę, ale tutaj przychodziłem zawsze koło ósmej. Syn Mariolki to nieraz narzekał, że go dzwonek budzi, ale później to ja do centrum idę, córkę odwiedzić – powiedział lekko zachrypniętym głosem nałogowego palacza.

Bugaj przypomniał sobie, jak kiedyś, jeszcze będąc w podstawówce, widywał Józefa palącego na murku przy dawno nieistniejącym kiosku Ruchu, tam gdzie teraz jest bar szybkiej obsługi. Chciał coś powiedzieć, kiedy zjawił się policyjny fotograf i pokaszując, zabrał się za robienie zdjęć.

– Znaleźli już jej syna? – Nina Morawska podeszła do Bugaja, kiedy przyglądał się odbitym w ziemi śladom dużych męskich butów.

– Nie. Girę ma nielichą, patrz! Czterdzieści cztery, pięć? Duży rozmiar w każdym razie – mruknął.

– Myślisz, że to ślady zabójcy?

– Albo syna. – Bugaj wzruszył ramionami, chuchając w dłonie. – Pieski ziąb! – dodał.

– Znałeś ją? – zapytała Nina.

– Ja nie, ale Anna na pewno. Dobra, skoczę pogadać

z sąsiadami.

- Jasne, idź. - Nina obróciła się tyłem do Krzysztofa i ponownie zerknęła na leżącą przy ogrodowym skalniaku, nieodwracalnie martwą Mariolę Zyzik.

Sąsiadka z przeciwka nie okazała się zbyt rozmowna. Ubrana w kolorowy szlafrok i wyraźnie niezadowolona z porannej wizyty policji powiedziała tylko, że bardzo jej przykro i niczego podejrzanego nie widziała. Za to starsza kobieta z domu po lewej, patrząc od wejścia na posesję Zyzików, okazała się o wiele bardziej skłonna do współpracy.

- No, tam u nich to się dobrze nie działo... Awantury wybuchały niemal każdego dnia - zaczęła, kiedy już wpuściła Krzysztofa do środka i postawiła przed nim talerzyk z solidnym kawałkiem drożdżowego ciasta.

- Awantury? - Bugaj, który wybiegł z domu bez śniadania, z dużą wdzięcznością przyjął poczęstunek.

- I to grube! Z Mariolką zawsze można było przez płot pogadać czy o jakiś przepis poprosić, ale charakterek to ona miała... Syna własnego od najgorszych wyzywała, a synową... Chrystusie, jak ona na tę dziewczuchę naskoczyła potrafiła! Żal miała do Waldka, że się tak młodo ożenił. Bo faktycznie, ledwo dziewiętnaście lat skończył, jak do urzędu stanu poleciał. A ona, ta jego żona, to też nieźła awanturnica! Starsza od niego o prawie pięć lat i wyjątkowo wyszczekana, tak go pod pantofel wzięła, że dawno czegoś takiego nie widziałam. Teściowej też potrafiła za skórę zaleźć, i to jak! Raz jej ciuchy z szafy pod schody wyrzuciła, bo sama podobno za mało miejsca miała! Tupet trzeba mieć, żeby do obcego domu przyjść i tak się zachowywać! - Pokiwała głową, patrząc na siedzącego naprzeciwko Bugaja. - W sumie to ja się nawet nie dziwię, że tam nerwowo było, bo chałupa niewielka,

a tu jeszcze obca osoba pod dachem... Mariolka nie raz mi się na nią skarżyła, że znieść dziewczuchy nie może. Że bałagan w kuchni robi, łazienki po sobie nie sprząta, dwie lewe ręce ma. I nic tylko na tę Ulkę narzekała, nic tylko psy na niej wieszała, chociaż dziewczucha jakoś sobie radzić próbowała. Przez kilka miesięcy była nawet w Norwegii i ponoć nieźle zarobiła, ale młodym teraz ciągle mało. Niby na własne mieszkanie zbierają, a nowy samochód kupili. Jaka w tym wszystkim logika?

- A syn? Też się z matką wyklócał?

- Waldek? No, czasem bywało, że coś tam do Mariolki skakał, ale on wyjątkowo spokojny jest, dobry chłopak. Raczej one we dwie się za łby brały. On cicho siedział, czasem do szopy za domem uciekał, jak się od najgorszych wyzywać zaczynały. A jakie słowa leciały, Jezusie kochany! Jak ją ostatnio synowa od starych kurw zwymyślała, to mi się tu Mariolka wypłakać przyszła. - Z politowaniem pokiwała głową i dodała, że takiej tragedii to jeszcze w okolicy nie było.

- A wczoraj wieczorem co się działo? Widziała pani w uliczce kogoś podejrzanego, słyszała coś? - zapytał Krzysztof, z trudem opanowując chęć poproszenia o dokładkę ciasta.

- Nie, wieczorami to ja już niewiele się światem zajmuję. Telewizor idzie głośno, bo po lekach gorzej słyszę, a ja pod kocem siedzę i oglądam, co tam dają. Wczoraj na regionalnej taki piękny był program o Polakach na Wyspach, tak płakałam... Tylu młodych wyjeżdża, taka szkoda...

- Szkoda, szkoda - mruknął Bugaj, chociaż w tym akurat momencie obchodziło go to mniej więcej tyle, co zeszłoroczne śniegi. - A bywał u sąsiadki ktoś? Może jakiś mężczyzna, ktoś podejrzenie wyglądający?

- Podejrzenie? Nie, no skąd. Czasem stary Józef wpadał, jajka

od niego kupowała. Bywał też pan Antek z sąsiedniej ulicy, bo on to za Mariolką od lat łąził, czasem listonosz. Aha, i kilka razy tego byłego księdza u niej widziałam. Raz to chyba jeszcze z godzinę przed domem stali, tak się zagadali...

- Filip Czaplicki tu bywał?

- Tak, tak mu chyba jakoś jest. Mariolka w każdym razie stale biegła na te czuwania u niego w stodole. Dawniej, jak jeszcze chadzała do naszego kościoła, to stale mi o proboszczu opowiadała, a teraz nic tylko ten Filip i Filip! Słuchać już tego nie mogłam, bo na okrągło to samo wygadywała.

- Przyjaźnili się?

- A nie wiem, co ich tam łączyło, ale Mariolka o nikim innym tyle nie mówiła, co o nim. Doradzał jej ponoć, wskazywał drogę. Ja tam sama myśleć wolę, ale ona była całkiem zaślepiona. - Wzruszyła ramionami.

Przez kolejnych kilka minut Bugaj wypytywał jeszcze o relacje zmarłej z innymi sąsiadami, w końcu życzył gospodynie spokojnego dnia i wyszedł przed dom.

- Dowiedziałam się, że Waldemar Zyzik razem ze swoją kłótliwą żoną są na weselu aż pod Świnoujściem - powiedziała Nina, kiedy Krzysztof wrócił do ogrodu denatki. - Zaskakująco dobre alibi, co? Nie zdziwiłabym się, gdyby to syn wynajął kogoś od brudnej roboty. Matka im truła życie, wyklócała się... Takie historie się zdarzają - dodała Morawska, ciaśniej okręcając szyję szalikiem.

- Zobaczymy. - Bugaj przez dłuższą chwilę przyglądał się pracującemu w skupieniu fotografowi, w końcu skinął głową Ninie i ruszył w stronę furtki.

Zanim wsiadł do auta, wybrał numer Kiciusia, ale kumpel nie odebrał.

- Skurczybyk pewnie jeszcze śpi - mruknął pod nosem,

wyjmując z kieszeni kluczyki.

Kwadrans później, po szybkiej kawie wypitej na stacji paliw, ruszył w stronę komendy. Był mniej więcej w połowie drogi, kiedy rozdzwoniła się jego komórka.

- Tato, przyjedź do domu. - Zdławiony głos syna brzmiał tak, jakby Arek zaraz miał się rozplakać.

Bugaj zjechał na pobocze i zapytał, co się stało.

- Mama chyba nie żyje, nie rusza się! Tato, przyjedź, nie wiem, co robić! - wyraźnie spanikowany chłopak krzyczał do słuchawki.

- Dzwonź po karetkę, zaraz będę! - Bugaj przerwał połączenie i zawrócił w stronę domu, który jeszcze do niedawna dzielił z rodziną.

Kiedy dotarł na miejsce, jego nastoletni syn, drżąc od porannego chłodu, stał na chodniku przy furtce i wypatrywał karetki.

- Ona się nie rusza, tato! - Rozplakał się i chociaż nie robił tego od dłuższego czasu, pozwolił ojcu się przytulić.

- Dzwoniłeś po pomoc? Co się właściwie stało?

- Nie wiem, kurwa, nie mam pojęcia! Wróciłem rano, bo spałem u kumpla, a mama leżała na podłodze w kuchni cała w swoich rzygowinach, zimna i nieruchoma. Zacząłem nią szarpać, chciałem ją obudzić, ale ona... Tato, a jeśli ona nie żyje?

Bugaj chciał coś powiedzieć, kiedy od strony centrum dotarł do niego przeciągły dźwięk syreny ambulansu.

- Stój tu i wprowadź ich. - Zarzucił synowi na plecy swoją kurtkę i biegiem rzucił się w stronę domu.

Anna leżała na podłodze, taka ciemna, ubrana w satynową piżamę plama, kontrastująca z jasnymi kuchennymi płytkami.

Krzysztof przypomniał sobie, jak własnoręcznie układał tę podłogę, i uklęknął obok żony. Żyje! Boże, dzięki ci, ona oddycha!

- pomyślał. Tętno było niemal niewyczuwalne, ale było!

Ciężkie kroki na schodach usłyszał chwilę później i do domu wpadło dwóch ratowników medycznych. - Tutaj! - Krzysztof wstał i bezradny jak chyba jeszcze nigdy cofnął się pod ścianę, robiąc miejsce ratownikom.

Kiedy ją wynosili - porcelanowoblada i jeszcze bardziej kruchą niż zazwyczaj, coś ścisnęło go za gardło. Odszedł, zostawił ją, a ona...

Jak przez mgłę dotarł do niego głos syna:

- To przez ciebie! - Usłyszał.

Dopiero kiedy chłopak rzucił się na niego z pięściami, zdołał złapać go za nadgarstki i przyciągnąć do siebie.

- Uspokój się, będzie dobrze - powtarzał.

Arek wyszarpał się z jego objęć i oskarżycielsko wysunął w jego stronę palec.

- Zdradzałeś ją przez lata, posuwałeś inne baby, myślisz, że nie wiem?! Kumple śmieją się, że mam ojca kurwiarza, że muszą dobrze zamykać swoje stare, bo ty żadnej nie przepuścisz! Myślisz, że nie wiem, kim jesteś?! Jakim jesteś dupkiem, jakim tchórzem?! Zrobiła to przez ciebie, bo ją zostawiłeś! Przez ciebie, słyszysz?!

Arek krzyczał, dopóki całkiem nie opadł z sił. Wtedy osunął się na podłogę i przeraźliwie szlochając, skulił się z podciągniętymi pod brodę kolanami, jak zwykł siadać, gdy był jeszcze dzieckiem...

21

Opasłe cielsko pociągu wyłoniło się z za zakrętu wolno, niemal dostojnie. Coraz bardziej poirytowany kilkunastominutowym opóźnieniem, doktor Wiktor Trębacz przechadzał się wzdłuż peronu. Wieczór był chłodny i mglisty, wilgoć dosłownie przenikała do kości. Przez cały dzień mżyło, teraz deszcz ustał, jednak znacznie się ochłodziło. Schował zgrabiałe z zimna ręce do kieszeni i zerknął w stronę wjeżdżającego na stację składu. Żonę dostrzegł, kiedy już zaczął się obawiać, że zmieniała plany i nie przyjechała. Wysiadła jako jedna z ostatnich i szarpiąc się z przeładowaną jak zawsze torbą, ruszyła wzdłuż peronu. Wiktor zauważył, że pomimo kłopotów z kręgosłupem założyła kozaczki na niebagatelnie wysokich szpilkach, i poczuł złość. Za rehabilitację zapłaci w końcu on, nie ktoś inny...

- Daj mi to! - Zanim Bogusława zorientowała się, że mąż wyszedł po nią na stację, Wiktor podszedł do niej i niemal wyrwał jej z ręki torbę.

- Co tu robisz?

Wyglądała na tak zaskoczoną, że aż parsknął śmiechem.

- Wyszedłem po ciebie, chyba widzisz?

- Nie robiłeś tego od lat - powiedziała z przekąsem.

- Obcięłaś włosy - zauważył. - Wiesz, że nie znoszę tej długości...

- Pewnie dlatego ją wybrałam. Jeśli jeszcze to do ciebie nie dotarło, nasze małżeństwo dojrzało właśnie do punktu, w którym z premedytacją wyrządzamy sobie wszystkie te drobne, niemal

nieszkodliwe złośliwości - syknęła Bogusława, poprawiając obcięte na pazia i znacznie rozjaśnione włosy.

W drodze do samochodu nie powiedzieli już nawet słowa. On szedł kilka kroków przed nią, taszcząc wypchaną do granic możliwości podróżną torbę żony. Ona drobila za nim, z trudem dotrzymując mu kroku na wysokich obcasach.

- Czemu właściwie po mnie wyszedłeś? - zapytała w końcu, kiedy otworzył jej drzwiczki od volkswagena. - Mogłam wziąć taryfę, żaden problem.

Ty w ogóle jesteś bezproblemowa, pomyślał ze złością.

- Wiktor, pytałam, dlaczego...

- Wsiadaj już, stoję na zakazie! Cud, że jeszcze nie wlepili mi mandatu - wszedł jej w słowo, wrzucając bagaż na tylne siedzenie.

- Z Izą wszystko dobrze? - Kiedy Wiktor usiadł za kierownicą, Bogusława pomyślała o córce.

- A co ma być? Żyje. Planowała kolczyk w pępku i była na tyle naiwna, żeby prosić mnie o zgodę. Możesz się jedynie domyślać, co usłyszała w odpowiedzi - mruknął Trębacz, wyjeżdżając na jezdnię.

- Majka ma mieć operację - powiedziała cicho Boguśka.

- Co jej jest?

Wiktor zapytał o zdrowie siostry żony bardziej z grzeczności niż ze szczerzej troski.

- Jakiś guz na jajniku. Ponoć duży, szczęściem nie nowotwór... Ale i tak wolę nie myśleć, co będzie, jeśli...

- Już zaczynasz z tym swoim czarnowidztwem?! Będzie dobrze, to w końcu mało skomplikowany zabieg. Wytną jej guza albo cały jajnik, i po sprawie.

- Mało skomplikowany zabieg?! Czy ty sobie zdajesz sprawę

z tego, co mówisz?! Ty, lekarz, który...

- Nie krzycz, łeb mi pęka - wpadł jej w słowo i znacznie przyspieszył.

- Zwolnij, jest ślisko! Już raz wpakowałeś nas w filar wiaduktu!

- W dwa tysiące trzecim! Ale ty będziesz mi to przypominać do usranej śmierci, prawda?!

- Cóż, takich rzeczy się nie zapomina. - Bogusława wyjęła lusterko z trzymanej na kolanach torebki i przeciągnęła usta koralową szminką.

Pusta i tępa, pomyślał Wiktor z pogardą, zanim zjechał w stronę pobliskiej gospody.

- Gdzie ty jedziesz? Myślałam, że...

- Jestem głodny, nie jadłem obiadu.

- A Izka? Pewnie siedzi przed komputerem, co? Nie wiem, czy powinniśmy zostawiać ją samą, to w końcu dwunastolatka...

- Śpi dziś u koleżanki.

- U Kamili?

- U Hanki.

- Dobrze, nawet lepiej. Matka Kamili mi się nie podoba, ale rodzicom Hani niczego nie można zarzucić.

- Zamknięte?! No tak, dlatego takie pustki na parkingu. - Wiktor z niedowierzaniem przyglądał się informującej o remoncie kartce na drzwiach gospody.

- Jedźmy do domu, zrobię omlety. Jestem zmęczona i bolą mnie plecy, pospiesz się, do cholery! - Boguśka nawet nie kryła rosnącego poirytowania.

Jakby na przekór żonie Trębacz wyłączył silnik i oparł dłonie na kierownicy.

- Zapytam cię teraz o coś, a ty powiesz mi całą prawdę - powiedział.

- Tylko nie zaczynaj tej gadki o pieniądzach! W tym miesiącu naprawdę niewiele wydałam! - Boguśka jak zawsze naskoczyła na męża, zanim jeszcze w ogóle zrozumiała, o co mu chodzi.

- Gdzie byłaś tamtej nocy, kiedy wróciłaś tak późno? - zapytał.

- Co? - Była tak zaskoczona, że aż uchyliła usta.

- Słyszałaś! Pytałem, gdzie byłaś?! Wróciłaś przed drugą, zamknęłaś się w łazience... Aleksandra nie żyje, ale to pewnie już wiesz. Twoje przyjaciółeczki zdały ci pewnie relację dużo wcześniej, zanim sam się o tym dowiedziałem, co? Kumpel z policji zdradził mi, że potrąciła ją ciemna terenówka! Masz mi coś do powiedzenia?!

- Oszalałeś! Całkiem ci odbiło, skurwielu! Zdradzałeś mnie z tą wywłoką, a teraz chcesz zrobić w jej śmierć?! - Bogusława złapała za klamkę i wysiadła z samochodu.

- Nie odpowiedziałaś na pytanie. - Wiktor, który wysiadł w ślad za nią, podszedł do żony i zacisnął jej palce na ramieniu.

- Załatwiałam coś wtedy, nieważne... - szepnęła.

Zauważył, że drży jej lewa powieka, jak zawsze, kiedy była wyjątkowo zdenerwowana.

- Wróciłaś dopiero przed drugą nad ranem, a następnego dnia zawiozłaś auto do warsztatu kuzyna, aż pod Świnoujście. Możesz mi wyjaśnić czemu? No mów, przyznaj się, kurwa! Jakoś cię z tego wyciągnę, tylko powiedz mi pieprzoną prawdę! Potrąciłaś ją?! Celowo?! Niechący?! Jak było?! Przecież wiem, jak jej nienawidziłaś! Utopiłabyś ją w łyżce wody, gdybyś tylko miała sposobność! - wrzasnął.

Szosa tuż przy parkingu przejechał TIR i chlapiąc wodą spod kół, zniknął za pobliskim zakrętem. W rzęsiście oświetlonej gospodzie ktoś włączył wiertarkę i przez chwilę słyszeli tylko stłumiony odgłos wiercenia.

- Byłam u tarocistki - szepnęła w końcu Bogusława, nie patrząc mężowi w oczy. - W Bydgoszczy, z koleżanką. Wróciłam późno, bo zjadłyśmy jeszcze z Wiolą kolację na mieście i wypiliśmy kawę. Auto zawiozłam do warsztatu Tadzika na przegląd. On mi to robi za półdarmo, a przy okazji zarezerwowałam bilety. Sylwester na promie, jak kiedyś... Wykupiłam dla nas rejs do Szwecji, chociaż wcale nie jestem pewna, czy chcę tam z tobą płynąć...

- Tak, a co? Wróżka powiedziała, że będą niebezpiecznie wysokie fale?! - zadrwił Wiktor, puszczając jej ramię.

- Powiedziała, że nie powinnam myśleć o odejściu od ciebie, bo w tym okresie życia sama sobie nie poradzę. Powiedziała też, że niedługo znowu mnie zdradzisz i że nasz związek od lat jest toksyczny. Że męczymy się razem, żeby przerobić lekcję z poprzednich wcieleń i...

- Kurwa, nie będę słuchał tych bzdur! I wiesz co?! Ja też się przy tobie duszę! - Wiktor obszedł dookoła samochód i z malującą się na twarzy furią wsiadł do środka.

Do domu wrócili w koszarnej, niemal wibrującej ciszy. Bogusława umierała z głodu, ale nie miała ochoty na kolejne spotkanie z mężem, więc zamknęła się w pokoju córki i skulona na jej wąskim łóżku dała upust łzom.

Wiktor nalał sobie whisky i nerwowo krążąc po salonie, zastanawiał się, czy żona byłaby zdolna do morderstwa. Nie miał pojęcia, jak to mogło wyglądać, ale cała sprawa wydawała mu się jak najbardziej realna. Kumpel zdradził mu, że policja ma świadka, który tamtej feralnej nocy widział na drodze czarną terenówkę. Boguśka miała obsesję na punkcie Aleksandry, nienawidziła jej z taką zajadłością, że czasem aż go to przerażało. Czy jest taka opcja, że wybrała się do ich dawnego miasteczka, śledziła jego byłą kochankę i dopadła ją w momencie, kiedy

samotnie szła poboczem? – zastanawiał się, dopijając drinka. Po co jednak miałyby to robić, skoro już się z Olką nie widywał? Dla wyrównywania starych rachunków? Z czystej zemsty? Wiedział, że Boguśka bywa mściwa. Ale czy potrafiłaby zrobić coś takiego?

Z drugiej strony historyjka o wizycie u wróżki również wydawała mu się prawdopodobna. Żona od lat zносиła do domu wszystkie te śmieszne gazety o czarach, wróżbach i zabobonach, w których dosłownie się zaczytywała. Najbardziej wkurzała go myśl, że po tylu wspólnych latach nie potrafi powiedzieć, czy go okłamała, czy mówiła prawdę...

Zasnął na kanapie w swetrze i dżinsach, przykryty starym wełnianym pledem. Obudził się tuż po północy; coś wyrwało go ze snu. Bogusława stała nad nim z kuchennym nożem w ręku. Zerwał się z kanapy i z niedowierzaniem zerkając na nóż, cofnął się pod ścianę.

– Odjebało ci?! – wykrztusił w końcu.

– Mogłabym cię zarznąć, kiedy tak sobie spałeś – szepnęła.

– Jesteś pijana?! – warknął, odzyskując typowy dla niego rezon.

– Nie. Po prostu czasem tak cholernie cię nienawidzę, że boję się samej siebie. – Bogusława położyła nóż na ławie i wyszła z pokoju.

Wiktor śledził ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła w ich małżeńskiej sypialni. W końcu schował nóż do jednej z szuflad stojącej przy ścianie komody, zamknął drzwi od salonu i podparł je fotelem. Jebnięta suka! – pomyślał, kładąc się z powrotem na niewygodnej kanapie. Do rana, pomimo zmęczenia, nie zmrużył już oka. Nienawidziła go aż tak bardzo?! Czemu nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że żyje pod jednym dachem z kobietą, w której głowie kłębią się aż tak chore wizje?

Na pogrzeb tragicznie zmarłej Aleksandry Fabianowicz przyszły tłumy, jednak Krzysztof Bugaj podejrzewał, że większość z tych osób ledwo ją znała. Zjawili się tu żądni sensacji i tłocząc się w wąskiej alejce niewielkiego, przykościelnego cmentarza, wyciągali szyje, żeby lepiej zobaczyć trumnę, żałobników i wszystko, co zobaczenia warte... Złakniona wrażeń tłuszcza podobna do tej, która przed wiekami tłumnie schodziła się na egzekucje czy inne budzące emocje wydarzenia.

W gęstym tłumie przy wejściu do kaplicy Bugaj zauważył byłego męża ofiary. Ze ściągniętą twarzą, blady i wciśnięty w drogi ciemny garnitur, Bartosz Fabianowicz stał z ręką na ramieniu zapłakanego syna. Dobrze, że dzieciak dostał pozwolenie na uczestnictwo w pogrzebie matki, przeszło przez myśl Krzysztofowi i od razu pomyślał o Annie. Miała szczęście, naprawdę niewiarygodny fart! Gdyby Arek znalazł ją później, po tym, co zażyła, mogłaby już nie żyć... Wyrzuty nadeszły chwilę później. Powinien spokojnie pogadać z synem o tym, co się stało. Problem polegał na tym, że nie bardzo wiedział, co tak właściwie mógłby mu powiedzieć... zaproponował więc tylko, że na kilka dni wróci do domu, i na tym się skończyło. Arkadiusz jednak odmówił. Twardo oznajmił, że poradzi sobie sam, i uciął dyskusję.

- Cześć. - Ubrana w wąską żałobną sukienkę i elegancki płaszcz z wywijanym kołnierzem, Nina Morawska stanęła tuż obok Bugaja.

- Nigdy nie widziałem cię w czerni. - Krzysztof zniżył głos

i zmierzył koleżankę pełnym uznania spojrzeniem.

- Bo dotąd nie wykorkował nikt z grona naszych wspólnych znajomych - mruknęła prokuratorka z właściwym sobie czarnym poczuciem humoru i przez chwilę oparła się na jego ramieniu. - Cholerne szpilki - dodała szeptem. - Cisną jak...

- Usiądź, szkoda nóg. - Krzysztof skinął głową w stronę jednej z kamiennych ławek, ale Nina tylko się skrzywiła.

- Dzięki - dodała po chwili - ale jak mawiała moja babcia, siedząc na kamieniu, można jedynie wilka złapać...

- Złote babcine mądrości, co? - Bugaj przepuścił przepychającą się do przodu ubraną na granatowo starszą kobietę, po czym spojrzał w stronę wejścia do kaplicy.

Stojąca przy samych drzwiach Iga Melke, gwałtownie szlochając, szukała czegoś w torebce. Chwilę później zauważył, że młoda fotograf zaskakująco intensywnie przygląda się stojącej obok niego Morawskiej.

- Znać się? - zapytał.

- Z kim? - Wyrwana z zamyślenia Nina zadarła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Z naszą piękną panią fotograf - sprecyzował.

- A, z nią... W sumie tylko przelotnie.

Morawska podążyła za jego spojrzeniem i obojętnie wzruszyła ramionami, ale coś w jej głosie dało mu do myślenia. Czyżby... Na myśl o splecionych w namiętym uścisku nagich kobiecych ciałach zrobiło mu się gorąco. Szybko jednak wrócił myślami do rzeczywistości i przyglądając się twarzom kolejnych żałobników, usiłował wyczytać z nich emocje.

- Chciałaś kiedyś pogadać, pamiętasz? Później odwołałaś i...

- To nic takiego - weszła mu w słowo i ponownie oparła się o jego ramię. - Słowo daję, jeszcze dziś wyrzucę te cholerne

szpilki! – syknęła.

– Jest i nasz lokalny mistyk. – Na widok Filipa Czaplickiego Bugaj od razu spowaźniał.

– Ponoć nasz były księżulo często się przy niej kręcił – mruknęła Nina.

W kaplicy huknęły organy.

– Anielski orszak niech twą duszę przyjmie – zaintonował tłum, przepychając się przy wejściu.

– Rozumiem, że nie tylko ja nie żywię do niego ciepłych uczuć – skomentował Krzysztof, szepcząc Ninie do ucha.

– Zauważyłeś, że ostatnio całkiem dobrze się dogadujemy? – zmieniła temat. – Jeszcze do niedawna byłam pewna, że cię nie znoszę – dodała żartobliwym tonem.

– I vice versa, skarbie.

– Czy ty właśnie nazwałeś mnie skarbem? – Parsknęła urywanym śmiechem.

– No wiem, wiem. Na to pewnie są paragrafy – mrugnął do niej Bugaj.

Chwilę później, chcąc przepuścić przodem formujący się żałobny orszak, cofnęli się w głąb cmentarza.

– Żal tego dzieciaka, aż się serce kraje – szepnęła Nina, kiedy mijali ich wbici w ciemne garnitury mężczyźni niosący trumnę.

– A mówią, że nie masz serca – odpowiedział szeptem Bugaj, na co Nina sprzedała mu kuksańca. – Zachowujemy się skandalicznie – zauważył Krzysztof.

– Pewnie dlatego, że pogrzeby wręcz mnie przerażają...

– Przykra jest myśl o własnej śmiertelności, fakt. – Bugaj skrzywił się z iście teatralną przesadą i podał Ninie ramię. – Weź mnie pod rękę, będzie ci łatwiej przejść przez kocie łby.

– Nie wiem, czy zostanę do końca – zawahała się. – W zasadzie

ledwo ją znałam...

- Odprowadzić cię do samochodu?

- Gdybyś mógł - zgodziła się zaskakująco łatwo, co nieco go zaskoczyło.

Takiej jej jeszcze nie widział - miękkiej, kobiecej, niemal bezbronnej. Zazwyczaj twarda, ostra i bezkompromisowa, uwiesiła się na jego ramieniu, na jedną krótką chwilę okazując zwykłą ludzką słabość.

Przy samochodzie zdjęła niewygodne buty i cisnęła je do kosza na śmieci.

- No nie patrz tak! W bagażniku mam mokasyny - roześmiała się.

- Może jednak je z sobą zabierz? Takie ładne buciki... Kosztowały pewnie fortunę?

- Nie mam pojęcia, dostałam je w prezencie.

- Tym bardziej powinnaś...

- Bugaj, daruj sobie - mruknęła Nina, wyjmując z torebki kluczyki.

- Powinnaś chyba zajechać do myjni. - Na widok jej ubłoconej niemal po kłamki ciemnoczerwonej terenówki Bugaj aż się skrzywił.

- Nie mam czasu, skaaarbie. - Nina śmiesznie przeciągnęła sylaby, wyjmując z bagażnika eleganckie, ciemne mokasyny. - To cześć! I dzięki za tak zwane męskie ramię. Naprawdę myślałam, że już kroku samodzielnie nie zrobię... Nie wiem, jak to możliwe, ale chyba urosły mi stopy - mruknęła, zanim wsiadła do samochodu.

Bugaj przyglądał się, jak manewruje, wyjeżdżając z pełnego aut placyku przed cmentarzem, po czym wrócił pod kaplicę, gdzie wpadł na Czaplickiego.

- Pochwalony! - mruknął z właściwą sobie złośliwością, co nie zostało dobrze przyjęte.

- Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że nie jestem już księdzem - rzucił Filip ostrym tonem.

- Żarcik taki. - Bugaj nawet nie udawał skruszonego. - Można na słówko, skoro już na siebie wpadliśmy?

- Rozumiem, że nie bardzo mam wyjście, prawda? - Czaplicki nie wyglądał na zachwyconego wizją rozmowy ze śledczym, jednak posłusznie usiadł na jednej z kamiennych ławek, gdzie pod skrzydłami olbrzymiego, strzegącego jednego z grobów anioła, zaczęli trudną, ale konieczną rozmowę.

- Wiemy już, że nie ma pan alibi na noc śmierci Aleksandry Fabianowicz. Powiedział pan, że był w domu i spał. Znaleźliśmy sarnę, którą rzekomo pan potracił, a biegli potwierdzili, że to jej krew jest na masce pana furgonetki.

- W czym więc problem? - spytał wyraźnie poirytowany Czaplicki.

- Byłbym wdzięczny, gdyby trzymał się pan z dala od mojej żony! - zmienił temat Bugaj.

Czaplicki krzywo się uśmiechnął.

- Zazdrość to brzydka cecha. Myślałem, że właśnie się z Anną rozwodzicie?

- To nie ma żadnego znaczenia - mruknął Krzysztof.

- Nie zabiłem Aleksandry! I nie mam złych zamiarów wobec pańskiej żony. Po prostu lubimy ze sobą rozmawiać, to tyle. A teraz proszę wybaczyć, muszę już iść. - Były duchowny zerwał się z ławki i ruszył w stronę wyjścia z cmentarza.

Bugaj dogonił go chwilę później i zrównał z nim krok.

- Jeszcze jedno, zanim się pożegnamy. Ponoć czasem jeździ pan terenówką znajomego...

- Owszem, kiedy moja furgonetka się psuje. Właściwie to nawet nie moje auto, tylko wuja. Stary grat pamiętający jeszcze lata dziewięćdziesiąte...

- Można prosić nazwisko kolegi, od którego pożyczca pan auto?

- A co? Chcecie sprawdzić, czy przód nie jest przypadkiem wgnieciony? Ułatwię to panu. Nie... zabiłem... Aleksandry! - wycedził Czaplicki, czerwieniejąc na twarzy.

- Skoro pan tak mówi... - Bugaj lekko skinął Filipowi głową i szybkim krokiem ruszył w stronę bramy.

Wsiadając do audi, przypomniał sobie zapłakaną twarz Igi Melke i jej podejrzenie często rzucające w stronę Niny Morawskiej spojrzenia. Zapalając silnik, miał już pewność - musiały się ze sobą przespać, nie było innej opcji. I chociaż wiedział, że ma obecnie na głowie ważniejsze zmartwienia, przez resztę dnia wyobrażał sobie pieszczące się, nagie i rozgrzane kobiety. Wiedział, że Nina jest lesbijką, wszyscy o tym wiedzieli, ale nigdy nie miał na nią ochoty, wydawała mu się zbyt mało kobieca. Kiedy jednak, opierając się na jego ramieniu, stała tuż obok, a on wdychał piżmowy zapach jej perfum, zrozumiał, że rzadko kiedy zdarzało mu się ocenić kogoś tak błędnie jak ją. W tym jednak przypadku nie miał nawet cienia złudzeń. Prędzej w jego wierną audicę walnie meteoryt, niż uda mu się kiedykolwiek zaliczyć prokurator Morawską. Były kobiety trudne do zdobycia i były takie, na które zwyczajnie szkoda było energii. Zresztą startowanie do Niny byłoby pewnie równoznaczne z jego zawodowym samobójstwem. Świetnie wiedział, jak szybko i skutecznie potrafiła uprzykrzyć życie komuś, kto miał pecha jej podpaść...

23

- Chłopie, nie mam żadnych konkretnych wieści... Synalek ordynatora nagle stał się nieuchwytny. Na uczelni nie pokazuje się od ponad półtora tygodnia, pod podanym w dziekanacie adresem też już nie mieszka... Ale w jednym z podszczecińskich lasów znaleźliśmy samochód... Terenówka jest nadal zarejestrowana na ojca chłopaka, jednak świadkowie twierdzą, że smarkacz woził się nią od długich miesięcy. - Zaprzyjaźniony z Bugajem podkomisarz Nowacki ze Szczecina zadzwonił na jego komórkę, kiedy Krzysztof się golił.

- I co? Młody Różański zgłosił kradzież?

- Nie, po prostu zniknął. Zgłoszenie o porzuconym wozie dostaliśmy od przypadkowego spacerowicza, którego zaniepokoił widok wgniecionego zderzaka i tkwiących w stacyjce kluczyków.

- Kurwa, myślisz, że to on? W sumie biorąc pod uwagę szmatławą opinię ofiary, nic mnie już nie zdziwi. Wygląda na to, że babka spała z połową miasteczka i okolic - mruknął Bugaj.

- Przygadał kocioł garnkowi, co? - zadrwił podkomisarz Nowacki, dodając, że nie mają jeszcze pojęcia, czy terenówka zarejestrowana na profesora Różańskiego w ogóle brała udział w śmiertelnym potrąceniu pieszej. - Auto dopiero badają biegli, mnie nie pytaj. Słuchaj, muszę kończyć. Jak tylko dowiem się czegoś konkretnego, zadzwonię.

- Daj mi znać, gdybyście namierzyli Różańskiego juniora - poprosił jeszcze Bugaj, zanim się rozłączył.

Ścierając z twarzy resztkę kremu do golenia, zastanawiał się

nad motywem. Czemu syn ordynatora, dwudziestoletni studiujący w Szczecinie szczył, miałyby zabić trzydziestosześcioletnią rozwódkę? Z drugiej jednak strony, czemu nie? Motywów mogło być wiele, od odrzucenia i niespełnionej miłości, po sprawy, które mogły wyjść na jaw dopiero w toku śledztwa.

- Zawieziesz dziś Matyldę do lekarza? Miałam z nią iść do przychodni, ale marnie się czuję. - Ubrana w swoją ulubioną, rozciągniętą piżamę, Iwona stanęła w łazienkowych drzwiach.

Bugaj zauważył, że jej zazwyczaj zadbane jasne włosy szpeci wyraźny ciemny odrost, i pomyślał, że powinna już powoli wracać do życia.

- Kotku, wygląda na to, że będę miał totalnie zakręcony dzień. Pogoda jest niezła, idź z nią sama. Do przychodni macie góra dziesięć minut spacerkiem.

- Przecież ci mówię, że się źle czuję! - Iwona podniosła głos.

- Przestałaś wychodzić z domu, myślisz, że tego nie widzę? Do wieczora snujesz się w piżamie, spędzasz dnie przed telewizorem... Kotku, musisz się otrząsnąć, słyszysz?

Nie odpowiedziała, tylko zatrzasnęła drzwi od łazienki, i Bugaj został sam.

- Kolejny dzień w rajku - mruknął do siebie, nakładając odrobinę żelu na włosy, które od ładnych paru tygodni domagały się strzyżenia.

W kuchni Iwona nie odezwała się do niego nawet słowem. Po prostu siedziała zapatrzona w okno, dopóki w pośpiechu nie wypił kawy i nie wyszedł z mieszkania.

Zanim pojechał na komendę, wstąpił do salonu pani Wandy. Fryzjerka, potężna pięćdziesięciokilkuletnia kobieta z wiecznie opuchniętymi kostkami i burzą miedzianorudych włosów, czesała właśnie jedną z największych plotkar w okolicy, starą Wołajniową.

- Diabli wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi, pani Wando, ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby jakiś seryjny zabójca tu u nas grasował, jak na tych amerykańskich filmach, co... - Na widok Bugaja urwała w pół zdania i nabrała wody w usta.

Pani Wanda nie miała jednak oporów, żeby zapytać Krzysztofa o postępy w śledztwie:

- Ludzie chcą wiedzieć, co się dzieje w okolicy, mają prawo! - rzuciła, upinając różowymi klamerkami ciemne włosy klientki. - Przecież ja tę młodą pielęgniarkę znałam, była przy operacji mojej mamy! Trzydzieści sześć lat biduła ledwie skończyła i już do piachu... Że też święta ziemia takich skurwieli nosi, co to potrafią kogoś potracić i odjechać, jak gdyby nigdy nic! A jeszcze ludzie gadają, że ponoć celowo to zrobił! No i co się w tym mieście dzieje, pytam się?! - Pani Wanda chwyciła nożyczki i zabrała się za cięcie.

- To się dzieje, że zarosłem jak dziki zwierz. - Bugaj nie dał się wciągnąć w żadne dyskusje o śledztwie i usiadł na jednym z wolnych foteli.

- Zaraz, zaraz, wolnego! Przecież ja trwałam za pół godzinki mam, a tu jeszcze panią trzeba skończyć, posprzątać - zaprotestowała fryzjerka.

Krzysztof wiedział jednak, że to był stały repertuar. Uwielbiała narzekać, że wszyscy przychodzą nieumówieni, ale i tak zawsze znajdowała czas, żeby ostrzyc go poza kolejką.

- Pani Wandziu złota, pójdzie nam raz-dwa - mrugnął do niej i od razu zmiękła.

- Dobrze już, dobrze. - Machnęła ręką i nucąc pod nosem, pochyliła się nad klientką.

Wychodził z salonu, kiedy na jego komórkę zadzwoniła Monika Adamska, pielęgniarka niegdyś zaprzyjaźniona z Aleksandrą

Fabianowicz.

- Prosił pan, żebym odezwała się, jeśli przypomnę sobie coś ważnego. I właśnie sobie przypomniałam. Z tym że wolałabym się spotkać gdzieś poza szpitalem - powiedziała.

- Jasne, podjadę. Kiedy pani pasuje?

- Choćby i teraz. Mam wolny dzień.

- Dobra, to gdzie? Nie jadłem jeszcze śniadania, może da się pani zaprosić na naleśniki? - zaproponował Krzysztof.

- Oj nie, dieta. Ale moja mama upiekła świetny sernik. Umówmy się na molo, a ja przyniosę panu ciasto.

- Brzmi nieźle - przyznał Bugaj i ustalili, że widzą się za dwadzieścia minut.

Kiedy dotarł na miejsce, Adamska już na niego czekała. W granatowej puchowej kurtce sprawiała wrażenie jeszcze potężniejszej, niż zapamiętał.

- Dla pana. - Podała mu plastikowy pojemnik z kilkoma kawałkami oblanego czekoladą sernika i wyjęła z torebki plastikowy widelczyk.

- Nawet widelec? Lubię kobiety gotowe na każdą okazję - roześmiał się Bugaj.

- Smacznego.

- Nie skusi się pani nawet na jeden kawałek? - Gdy się zawahała, dodał: - Proszę, nie warto sobie odmawiać przyjemności. Życie, jak oboje świetnie wiemy, jest zbyt krótkie - mruknął, wyciągając w jej stronę pojemnik z ciastem.

Wyglądała, jakby miała się ugiąć, jednak w końcu odmówiła. Krzysztof jadł więc samotnie, zapatrzony we wzburzone, pieniące się gniewnie morze. Tam, gdzie stali, nie sięgały roztrzaskujące się o betonowy falochron fale, ale i tak wilgoć skręciła Monice włosy.

- Chodzi o Konrada, syna naszego ordynatora - zaczęła w końcu, kiedy Bugaj dojadł drugi kawałek sernika. - W zasadzie to był pewnie nic nieznaczący incydent, ale odkąd sobie o nim przypomniałam, nie daje mi spokoju.

Na wspomnienie młodego Różańskiego, Krzysztof gwałtownie wzmógł uwagę. Smarkacz był przecież na ich top liście podejrzanych w sprawie morderstwa.

- To było jakieś dwa i pół roku, może nawet trzy lata temu. Konrad nie miał jeszcze osiemnastu lat, ale wyglądał na jakieś dwadzieścia. Wysoki, ładnie umięśniony, kawał chłopca... Był jeszcze przed maturą i lubił zaglądać do szpitala, żeby pogadać z ojcem. Wtedy wpadł późnym wieczorem, było dobrze po dwudziestej trzeciej. Nieco mnie drażniło to jego ciągle szwendanie się korytarzami, ale przecież nie mogłam czegoś tam zabraniać jedynakowi ordynatora. W każdym razie kiedy weszłam do naszej dyżurki, Aleksandra krzyczała na Konrada, żeby się wynosił, a na jego policzku widniał czerwony odcisk jej dłoni. To oczywiste, że dała mu w twarz. Kiedy zapytałam, o co poszło, powiedziała, że chłopak bezczelnie się do niej dobierał, ale nic więcej nie chciała dodać...

- Czyli przyjechał do szpitala, po którym dość często się kręcił, i dostawił się z łapami do Aleksandry Fabianowicz, która za te jego zapędy dała mu po gębie... - podsumował Bugaj.

- Tak to musiało wyglądać. Dzień później Ola powiedziała mi, że to nie pierwszy raz, kiedy młody Różański się do niej przystawiał, i dodała, że chociaż nie ma nic przeciwko dobrej zabawie, to przecież nie prześpi się z siedemnastolatkiem.

- Sprawiała wrażenie wstrząśniętej? Wściekłej? Rozbawionej tym incydentem? - zapytał Krzysztof.

- Wiem, że nie zabrzmiałoby to zbyt pochlebnie dla Oli, ale myślę, że

cieszyła ją uwaga, jaką dzieciak jej poświęcał. Jak już panu wspomniałam, chłopak już wtedy świetnie wyglądał i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Ale jednak go odrzuciła...

- Pewnie ze względu na szefa. Od dawna nie dogadywała się z profesorem Różańskim, a sypianie z jego nieletnim synem... Cóż, to z pewnością nie poprawiłoby ich relacji, zwłaszcza gdyby dzieciak zaczął mleć ozorem, a takie szczyły lubią się chwalić swoimi zdobyczami.

- A profesor Różański? Myśli pani, że coś między nimi było? - zapytał Bugaj.

- Coś, czyli romans, tak?

- Na przykład.

- Nie wiem, trudno mi powiedzieć... Widziałam kiedyś, jak kłócili się na szpitalnym parkingu. On wyglądał na tak wściekłego, jakby zaraz miał tam paść trupem. Było późno, prawie druga nad ranem. Olka wyszła na zewnątrz tylko na chwilę, bo akurat miała nockę. On musiał podjechać specjalnie po to, żeby z nią pogadać. Zaparkował tuż przy bramie i nawet się nie pofatygował, żeby wyłączyć silnik.

- I nigdy, pomimo łączącej was przyjaźni, nie rozmawiałyście o tym, co między nimi było? - zdziwił się Bugaj.

- Wie pan, to akurat był trudny temat. Różański nie znosił Oli, ale mnie zawsze lubił. I czasem miałam takie wrażenie, że Aleksandra jest trochę o to zazdrosna. Może dlatego prawie w ogóle o nim nie rozmawiałyśmy. Zresztą ona była zmęczona szpitalem, przepracowana. Kiedy znajdowałyśmy chwilę, żeby pogadać, zazwyczaj opowiadała, z kim się widziała w weekend albo gdzie wyskoczyła potańczyć. Oddziałowe intrygi nie za bardzo nas rajcowały.

- Nie widziałem pani na pogrzebie - zmienił temat Bugaj.

- Nie było mnie, miałam dyżur. Nie znalazłam nikogo, z kim mogłabym się zamienić. - Monika Adamska przygryzła wargi. - Wciąż nie mogę uwierzyć, że Olka nie żyje. Dziwne, prawda? Widziałam już tylu umierających ludzi, ale w śmierć przyjaciółki nie potrafię uwierzyć...

- Dziękuję, że pani zadzwoniła - powiedział Bugaj, oddając jej pojemnik z dwoma nietkniętymi kawałkami sernika.

- Ciasto jest pana, ja na pewno tego nie zjem! - Ze śmiechem odepchnęła pojemnik w jego stronę.

Krzysztof podziękował i ruszył w kierunku samochodu, ale kiedy otwierał drzwi, Adamska zawołała go po imieniu, a po chwili powiedziała:

- Właściwie jest coś jeszcze. Swego czasu Olkę nękał jakiś Niemiec. Nie wiem, gdzie się poznali, ale facet był naprawdę nachalny. Któregoś dnia podjechał pod szpital i chociaż Aleksandra nie chciała z nim rozmawiać, ze cztery godziny siedział w samochodzie. Dosłownie co chwilę wyglądałam przez okno, bo Olka prosiła, żebym sprawdzała, czy już odjechał. Ale jemu najwyraźniej się nie spieszyło. Palił papierosa za papierosem i wpatrywał się w okna chirurgii. Po dyżurze odprowadziłam Olkę do jej samochodu, a on siedział za kierownicą szpanerskiej terenówki i przyglądał się, jak idziemy przez parking.

- Jeździł terenówką? - zainteresował się Bugaj.

- Tak, czarną. Chyba volvo, ale pewności nie mam.

- Potrafi pani powiedzieć, jak wyglądał?

- Czy ja wiem... Pękaty taki, niewysoki i grubawy. Raczej dobrze po pięćdziesiątce, siwy, zupełnie przeciętny. Aż tak dobrze mu się nie przyjrzałam, miałam na oddziale istny młyn. Zauważyłam jedynie, że miał na sobie świetne skrojony ciemny

płaszcz, dużo palił i jeździł ciemną terenówką.

- Numerów pani nie pamięta?

- Żartuje pan? Tyle wiem, że gość jeździł na niemieckich numerach, ale dla mnie te ich rejestracje to niemal czarna magia. Myśli pan, że go znajdziecie? Tego, kto zabił Olę... Bo ktoś ją zabił, prawda? Podobno drogówka...

- Robimy, co w naszej mocy - wszedł jej w słowo Krzysztof, chociaż miał nieprzyjemne wrażenie, że tylko bezcelowo kręcą się w kółko.

Kiedy wsiadał do auta, zadzwoniła jego komórka. Na widok imienia Iwony mimowolnie się skrzywił, jednak odebrał połączenie.

- Kiedy będziesz? - zapytała.

- Byłaś z Matyldą w przychodni? - odpowiedział pytaniem.

- Przełożyłam wizytę - przyznała.

- Niech zgadnę, nadal jesteś w piżamie?

Rozłączyła się bez słowa. Poczuł palącą wściekłość i coś, czego za żadne skarby nie potrafił sprecyzować. Bezsilność? Poirytowanie? Litość? Pogardę?

Na komendę dotarł podenerwowany. Trzeba było w końcu przesłuchać syna zamordowanej Marioli Zyzik, pogadać z profesorem Różańskim i w dodatku rozpocząć poszukiwania tajemniczego Szwaba, który swego czasu nękał Aleksandrę Fabianowicz. Pięknie, po prostu pysznie! - skrzywił się, rozmasowując skronie.

Były mąż ofiary znowu wpadł na komendę z awanturą, a oni nadal nie mieli pojęcia, kto nienawidził aż tak mocno, żeby zabić młodą kobietę samotnie wychowującą syna.

24

Ubrana w sprany szary dres i ze spiętymi w luźny kucyk włosami, Anna siedziała w fotelu przy oknie. Wychodziło na rozległy przyszpitalny park, w którym całą feerią jesiennych barw pyszniły się drzewa. Szpital na Klonowej... Kto by pomyślał, że kiedyś tutaj trafię? – przeszło jej przez myśl. Będąc smarkulą, razem z licealnymi koleżankami podkradały się pod okna psychiatryka, mając nadzieję zobaczyć „wariatów”. Teraz, po ustabilizowaniu, sama została przywieziona z SOR-u szpitala miejskiego prosto na Klonową.

Dochodziła piętnasta i wreszcie, po przedpołudniu pełnym pytań „dlaczego?”, zostawiono ją w spokoju. Nie, nie chciała się zabić! Powtarzała to tego dnia tyle razy, że niemal sama w to uwierzyła. Czemu zażyła tyle tabletek? Chciała spać, to właśnie wszystkim wmawiała. Przecież zapisał je lekarz, nie zrobiła nic szczególnego! Chciała odpocząć, nieco dłużej pospać i może odrobinę przesadziła. Tak właśnie próbowała to wyjaśnić młodej piegowatej lekarce, która spoglądała na nią z zaciekawieniem, z jakim ludzie przypatrują się egzotycznym zwierzętom, i sporządzała notatki w trzymanym na kolanach zeszyście z kolorową okładką.

Okładka bardzo się Annie spodobała. Pełen wielobarwnych parasolek plażowych obrazek obudził w niej tęsknotę za czymś nowym, lepszym, innym...

Gapiły się na siebie prawie pięćdziesiąt minut – lekarka na nią, Anna na lekarkę, przy okazji wpatrując się w plażowe parasolki.

Młoda kobieta w wymiętym kitlu coś do niej mówiła, ale Anna zupełnie się wyłączyła. Siedziała, skubiąc troczek od szarej bluzy, i wyobrażała sobie, że bosa, z rozwianymi przez wiatr włosami, idzie wzdłuż brzegu. Fale obmywają jej stopy, rozgrzany słońcem piach pieści podeszwy stóp. Słońce świeci jej w twarz, muska odsłonięte ramiona, leciutko je przypiekając. Tak mogłoby wyglądać szczęście. Pod warunkiem, że miałabym je z kim dzielić... Gdy to pomyślała, zaczęła płakać.

Lekarka bez słowa podała jej chusteczki, natomiast Anna przez moment spojrzała na siebie jakby z dystansu. Oto jaka jestem, pomyślała, oszalała z samotności, nikomu niepotrzebna, wybuchająca płaczem na oczach ledwie poznającej tajniki psychiatrii dziewczyny. Żałosna, zidiociała do reszty kretyńka, która nawet zabić się nie potrafi! Poczula do samej siebie tak wielką falę nienawiści, że dosłownie zwała ją z krzesła. Trzeba było połknąć więcej tabletek! Albo podciąć sobie żyły! Czemu nie potrafiłam odejść, skoro życie stało się zwykłą męczarnią? – zastanawiała się, kiedy młoda lekarka zostawiła ją w końcu samą.

Jej wyjście nieco rozbawiło Annę. Po kilkunastu minutach sprzedawania banałów, pieguska chrząknęła i zerknęła na zegarek, zdając sobie sprawę, że dochodzi piętnasta. Z wybiciem trzeciej musiał się również kończyć jej dyżur, bo nagle zaczęła się spieszyć.

- Ktoś niedługo do pani zajrzy - powiedziała na koniec i zniknęła, zabierając ze sobą zamknięte w okładkowym świetle barwne plażowe parasolki.

Koło szesnastej trzydzieści zajrzał do niej mąż, ale nie chciała z nim rozmawiać. Sterczał w progu dłuższą chwilę, ale nawet nie drgnęła. Leżąc plecami do drzwi na wąskim, szpitalnym łóżku, udawała, że śpi. W końcu Bugaj się poddał i mamrocząc pod

nosem coś, czego nie dosłyszała, wycofał się na korytarz. Zamknęła oczy, marząc o tym, żeby zasnąć i nigdy więcej się nie obudzić. Ale śmierć zawsze wolała zabierać tych, którzy jej nie szukali... Straciła rachubę czasu, po prostu leżała, wpatrując się w pomalowaną na brzydki odcień zieleni ścianę. Z korytarza dochodziły odgłosy popołudniowej krzątania, za oknem ktoś pogwizdywał. Chciała wstać i zamknąć drzwi, ale przypomniała sobie, że z polecenia personelu mają zostać otwarte.

- Mąż przyniósł pani nocną koszulę i jakieś drobiazgi - powiedziała młoda, irytująco gadatliwa pielęgniarka, która zjawiała się w jej pokoju, kiedy na zewnątrz zrobiło się już całkiem ciemno.

Syknęła jarzeniówka i niewielkie pomieszczenie zalało ostre, srebrne światło. Wyrwana z zamyślenia, Anna zmrużyła oczy i usiadła na łóżku.

- Przepraszam, że grzebię w pani rzeczach, ale muszę to sprawdzić. - Pielęgniarka wysypała na łóżko zawartość brzydkiej żółtoczerwonej reklamówki i starannie złożyła nocną koszulę Anny, kładąc ją na poduszce. - Aha, mąż kazał pani przekazać, że pamięta o sklepie.

- Mąż! - parsknęła Anna, a pielęgniarka spojrzała na nią zdziwiona.

Kiedy została sama, zaczęła się zastanawiać, czy Krzysztof poradzi sobie z karmieniem zwierząt. Od lat prowadziła w miasteczku niewielki zoologiczny sklep, ale mąż nieczęsto pomagał jej w doglądaniu interesu. Czy będzie potrafił je wszystkie nakarmić? Poradzi sobie z szynszylą? I co z tym ohydny pająkiem, którego sprowadziła na specjalne zamówienie? Klient miał go odebrać następnego dnia, ale w takim układzie...

Rozboliła ją głowa. Oparła się o parapet, przyłożyła czoło do zimnej okiennej szyby i przymknęła oczy. Chciałaby już iść do domu, położyć się we własnym łóżku, odpocząć. Ale wmawiano jej, że stanowi zagrożenie dla samej siebie, że powinna jeszcze tu zostać. Nagle poczuła złość. Jakim prawem trzymają ją tu wbrew jej woli?! Kogo obchodzi, czy będzie dalej żyć, czy odejdzie? Czemu traktują ją jak dziecko, które trzeba trzymać pod kluczem?! Przeszła przez pokój. Mogła swobodnie spacerować po korytarzu, wiedziała jednak, że poza oddział nie wyjdzie, bo od zewnętrznego świata dzieliły ją zamykane na elektroniczny kod drzwi. Z sali obok doleciało przeciągłe, niemal nieludzkie wycie, i Anna zasłoniła uszy rękoma.

- Wypuście mnie stąd! - krzyknęła, kiedy na moment zajrzał do niej młody lekarz.

- Nie ja o tym decyduję - uciął dyskusję, dodając, że bardzo mu przykro.

Kiedy wyszedł, Anna usiadła na łóżku i zapatrzyła się w ciemność za oknem. Jak długo tu zostanie? I czemu nie pozwalają jej decydować o sobie?! - zastanawiała się, nerwowo skubiąc skórkę wokół paznokcia.

- Ma pani gościa. - Pielęgniarka, ta sama, która przyniosła jej reklamówkę z rzeczami, pojawiła się w drzwiach jakiś kwadrans później.

Anna pomyślała o synu i lekko się uśmiechnęła. Okazało się jednak, że z wizytą przyszedł Filip.

- Skąd wiedziałeś? - zdziwiła się, kiedy już pocałował ją w oba policzki i usiadł na starannie zasłanym przed momentem łóżku.

Tego dnia ścieliła je już chyba dziesięć razy, żeby za chwilę położyć się pod kołdrą, później wstać i znowu je pościelić. Może dlatego, że zwyczajnie chciała czymś zająć ręce?

- To małe miasteczko, a ja mam wielu przyjaciół - odparł Czaplicki. - Jak się czujesz? Podobno miałaś sporo szczęścia...

- Szczęśliwa ze mnie dziewczyna, co? - roześmiała się gorzko i spojrzała mu prosto w twarz. - Uważasz nas za przyjaciół? - zapytała cicho, siadając obok niego.

- A ty nie? - odpowiedział pytaniem.

Przypomniała sobie scenę, którą podejrzała u niego w stodole, i zapłonęły jej policzki. Kłamca, manipulant i zwykły dupek! - pomyślała ze złością. A jednak kiedy delikatnie samymi opuszkami palców zaczął gładzić jej dłoń, nie cofnęła ręki.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał cicho.

- Chciałam dłużej pospać, nic więcej - wzruszyła ramionami.

- To silny lek, niebezpieczny.

- Skąd wiesz, co wzięłam?

- Wiem. Ale mniejsza z tym. Najważniejsze, że miałaś szczęście.

- Mówiłam ci, szczęściara ze mnie. - Uśmiechnęła się blado.

- Pomyśl, jaką traumę zafundowałabyś synowi, odchodząc w taki sposób. Gdyby znalazł cię martwą, nigdy by pewnie do siebie nie doszedł. Takie rzeczy zostają w człowieku na zawsze, determinują całą jego przyszłość!

- Mój syn ledwo zdaje sobie sprawę z tego, że w ogóle istnieję!
- wybuchła.

- Tak ci się tylko wydaje - rzucił Czaplicki tym swoim kojącym, niemal aksamitnym głosem, i wciąż leciutko gładząc wierzch jej dłoni, dodał, że Arek jest po prostu w trudnym wieku.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, niemal stykając się ramionami. W końcu Anna cofnęła rękę, zrobiła to jednak niechętnie. Lubiła dotyk Filipa, czuła się przy nim komfortowo.

- Pójdę już. Powinnaś odpoczywać.

Kiedy wstał, naprawdę bardzo się starała nie okazać

rozczarowania.

Wolałaby, żeby jeszcze z nią posiedział, ale sprawiał wrażenie kogoś, komu nagle zaczęło się spieszyć.

Był już przy drzwiach, ale nagle się odwrócił i spojrzał jej prosto w oczy.

- Może się zdarzyć, że będą o mnie opowiadać straszne rzeczy - powiedział cicho. - Ale ty mnie znasz, ty wiesz, że to wszystko bzdury! - dodał podniesionym głosem.

- O czym ty mówisz? - Zaskoczona jego wybuchem, wstała i podeszła bliżej niego. - O czym ty mówisz, Filip? - powtórzyła, opuszkami palców muskając rękaw jego granatowego wełnianego swetra.

- Po prostu ich nie słuchaj. - Uśmiechnął się blado i niemal ojcowskim gestem pocałował ją w czoło.

- Kogo?! Kogo mam nie słuchać? - dociekała, ale nie podjął tematu.

- Odpocznij, zbierz siły i wracaj do domu. Szkoda życia na tkwienie w tym miejscu - powiedział tylko, zanim zostawił ją samą.

Kiedy szedł rozświetlonym jarzeniówkami szpitalnym korytarzem, patrzyła w ślad za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu. Oparta o odrapaną framugę, z trudem uspokoiła szaleńczo bijące serce. Zakochałam się w nim? - zastanawiała się. A może to tylko wdzięczność za tę zwykłą ludzką troskę, jaką okazał jej od samego początku ich znajomości?

Wichura przyszła wieczorem. Gwałtowne poddmuchy przewróciły olbrzymią, pustą donicę, którą Iga Melke planowała schować na zimę do szopy, i rozwiały pracowicie zgrabione liście.

- Trzeba było pamiętać o kupieniu cholernych worków - mruknęła, w pośpiechu założyła kurtkę i wyszła przed dom, żeby zamknąć na klucz furtkę.

Nigdy nie była szczególnie strachliwa i nigdy nie bała się sama mieszkać. W niewielkim domku, odziedziczonym po zmarłej kilka lat wcześniej siostrze matki, zawsze czuła się bezpiecznie. Jednak ostatnio coś się zmieniło. Być może sprawiła to tragiczna śmierć przyjaciółki, a może panująca w miasteczku napięta, przesycona strachem atmosfera? W każdym razie Iga zaczęła nagle po kilka razy sprawdzać wszystkie okna i zamykać na noc metalową bramkę, którą zazwyczaj beztrosko zostawiała otwartą.

Na zewnątrz wiało tak niemiłosiernie, że niemal zważyło ją z nóg, i nagle zatęskniła za rodzinnym Wrocławiem. Kochała Bałtyk, uwielbiała jego bliskość, jednak gwałtowne wichury jesienno-zimowego sezonu doprowadzały ją niemal do szału.

Była przy furtce, kiedy w głębi ciemnej uliczki zauważyła jakiś ruch. Stojący pod latarnią wysoki mężczyzna palił papierosa, spoglądając w stronę jej domu. Zatrzęsły jej się ręce. Wiedziała, że to mógł być każdy, a ona po prostu panikuje. W zadbanej piętrowej willi, przed którą stał nieznajomy, mieściło się biuro rachunkowe. Jednak świadomość, że ktoś spogląda w jej stronę, a ona jest zdana tylko na siebie podczas wietrznego zimnego

wieczoru, sprawiła, że Igę przeszedł dreszcz. Drżącymi rękoma przekręciła klucz i szybkim krokiem wróciła do domu. Mijając olbrzymią dębową komodę, na której trzymała telefon, zerknęła na wyświetlacz z nadzieją, że dzwoniła Nina. Nie znalazła jednak żadnej wiadomości o nieodebranych połączeniach i poczuła dziwny, niemal przytłaczający smutek. Co takiego w niej było, że nie potrafiła zatrzymać nikogo na dłużej? Jakaś skaza? A może zwykły niefart? – zastanawiała się, szukając w kuchennej szafce ulubionej miski, w której jadała budyń.

Przeglądała właśnie niewielką spizarkę, kiedy zadzwoniła komórka.

Rzuciła się w stronę telefonu z nadzieją, że to Nina, ale to tylko jej dawna wrocławska sąsiadka chciała zapytać, jak sobie radzi tak daleko od domu... Rozmawiały krótko; Iga nie miała cierpliwości do wysłuchiwanie bajdurzeń starszej kobiety. Kiedy w końcu udało jej się zakończyć połączenie, zrobiła budyń i usiadła w rozświetlonym jedynie niewielką lampką salonie.

Z przeciwległej ściany spoglądała na nią uwieczniona na zdjęciu roześmiana Aleksandra. W ciemnoniebieskiej, targanej wiatrem sukience, z rozpuszczonymi włosami wyglądała rozczulająco młodo, niemal niewinnie. Iga świetnie pamiętała dzień, w którym pstryknęła przyjaciółce tę fotkę. Były na plaży w Świnoujściu, gdzie wybrały się pekaesem. Olka zjadła za dużo lodów i rozboleła ją brzuch, a Igę ukąsiła osa, jednak bawiły się świetnie. Był to jeden z tych nielicznych, beztrudnych letnich dni, kiedy na moment można było zapomnieć o pracy i zostawić za sobą wszelkie problemy.

A teraz Olka nie żyła, a ona nie potrafiła przestać się zastanawiać, kto mógł być zdolny do tego, żeby zrobić krzywdę jej przyjaciółce. Jasne, wiedziała o jej przelotnych romansach.

Zwłaszcza gdy odrobinę sobie wypily, lubily gadać o facetach, a Olka nigdy nie należała do szczególnie pruderyjnych kobiet. Jednak większość tych, z którymi Ola sypiała, to byli sympatyczni miejscowi mężczyźni. I chociaż czuła, że jest naiwna, nie chciała wierzyć, że któryś z nich mógłby zrobić coś tak upiornego. Nagle przypomniała sobie Helmuta, zbliżającego się do pięćdziesiątki Niemca, którego poznały na jednej ze wspólnych imprez. Helmuta, którego z pewnością nie można było określić mianem miłego faceta...

Na wyjazd do Greifswaldu namówiła ją Olka. Wysłała akurat syna na zimowy obóz i chciała się nacieszyć kilkudniową wolnością.

- Jedź ze mną, zabawimy się - kusila, dodając, że chodzi o spotkanie w gronie poznanych przez Internet znajomych.

Iga była wtedy po rozstaniu z facetem, z którym wiązała pewne nadzieje, i zdruzgotana nagłym zerwaniem zdecydowała, że trzydniowy wypad do Niemiec świetnie jej zrobi. Kupiła sobie nawet dwie nowe kiecki - czarną, krótką do połowy uda i seksowną, oraz żenująco połyskliwą, we wzór w panterkę, którą oddała zaraz po powrocie do Polski.

Tak czy inaczej, impreza nawet dla niej okazała się szokującym wydarzeniem. Nie gorszyło jej zbyt wiele, ale orgia?!

- Pewnie, że tak, w końcu po to tu jesteśmy. Daj spokój, nie patrz tak! To tylko zabawa, nic wielkiego - ze śmiechem odparła Olka, kiedy Iga zapytała ją, czy naprawdę zamierza przespać się z kimś z obecnych.

Tak bardzo się wtedy upiły, że z trudem utrzymywały się na nogach.

W końcu Olka zniknęła w jednej z sypialni na piętrze, a ścięta szokującą ilością wódki Iga padła na sofie w pełnym ludzi salonie

i urwał jej się film. Obudziła się, kiedy niemal wszyscy już wyszli, i z trudem przypominając sobie, gdzie jest, zaczęła się rozglądać za Olką. Znalazła ją wymiotującą w jednej z pięknie urządzonych marmurowych łazienek na piętrze. Pamięta, że przytrzymała jej włosy, a później razem wyszły na mróz. Do pensjonatu, w którym się zatrzymały, dotarły pieszo. Były przemarznięte na kość, roześmiane i wciąż pijane...

- Przespałam się z jakimś siwym dziadem, ale był całkiem niezły! Tylko to jego imię... Helmut, wyobrażasz sobie? - powiedziała Aleksandra, i musiała przerwać na chwilę z powodu ataku czkawki. - Powiedział, że się zakochał! - dodała, ściskając nos palcami, jak uczyła ją babcia. - Powiedział, hik, że mam, hik, piękne ciało! - dorzuciła, wciąż czkając.

Po południu, kiedy już zwalczyły kaca giganta i zdołały się dobudzić, wybrały się na spacer po mieście i kupiły kilka drobiazgów na jednym z przedświątecznych kiermaszów w centrum. Iga pamiętała, że skusiła się na wyjątkowo paskudne czekoladki i całkiem niezłą nalewkę. Olka kupiła synowi szal, a sobie zdobione futerkiem rękawiczki, których cena przyprawiła Igę o zawrót głowy. Przyjaciółka zasugerowała jej jednak, że to w pewnym sensie prezent, i dodała, że Helmut okazał się nadzwyczaj hojny. Zapytała, czy wzięła od niego kasę, a Olka radośnie się roześmiała.

- A czemu nie? Wiesz chyba, jak podle zarabiają w naszym zakochanym kraju pielęgniarki, co? - Po tym wyznaniu wzruszyła ramionami.

Więcej o tym nie rozmawiały i cała sprawa pewnie szybko poszłaby w zapomnienie, gdyby nie fakt, że po ich powrocie do Polski Helmut zaczął do Olki wydzwaniać i zrobił się nieprzyjemnie nachalny. W końcu zmieniła numer, ale nie

zamierzał łatwo odpuścić. Kiedyś beztrąsko podała mu adres, i oto któregoś dnia zjawił się pod jej drzwiami z naręczem herbacianych róż.

- Pogoniłam dziś starego Szwaba, bo przyjechał, wyobraź sobie, i chciał się umówić! - powiedziała jej Olka przez telefon.

Przez dłuższy czas żaliła się przyjaciółce, że Niemiec nie daje się spławić i ma go serdecznie dość, aż w końcu gość odpuścił. Czy była jednak taka opcja, że nadal żywił urazę? Czy mógł być sprawcą koszmarnego wypadku i czy w ogóle można to nazwać wypadkiem? I jak, do cholery, policja może być pewna, że ktoś potrafił Olkę celowo? Brak śladów hamowania? O to chodziło? - zastanawiała się Iga, walcząc ze łzami. Wiedziała, że powinna pójść na policję i opowiedzieć im o wyprawie do Greifswaldu. Nie potrafiła sobie jednak wyobrazić, że wchodzi do pełnego mężczyzn komisariatu, siada na jednym z niewygodnych krzeseł i opowiada o tamtej mroźnej i pełnej rozwiązłego seksu nocy.

Na samo wspomnienie aż się wzdrygnęła. Spoczone obwisłe ciała, maski na twarzach, trzęsące się podgardla, porośnięte siwymi włosami torsy. I wódka, morze wódki, a później kłębiące się na podłodze, sofach i łóżkach, splecione w wyuzdanych pozach pary. Pamiętała faceta ze śmiesznie wystającymi zębami, który usiłował zaciągnąć ją do jednej z łazienek, i jego szorstki, obrzucający ją niemieckimi przekleństwami głos, kiedy go odepchnęła.

Długo po powrocie czuła duży niesmak, w końcu jednak udało jej się zamieść temat pod gruby dywan niewygodnych wspomnień i przestać się katować obrazami tandetnej, ohydnie wyuzdanej orgii.

- Nie powinniśmy były tam jechać - powiedziała któregoś dnia Olce, która tylko obojętnie wzruszyła ramionami.

Nigdy więcej nie poruszały tego tematu. Iga starała się w żaden sposób nie oceniać przyjaciółki, jednak czasem, tylko czasem, zwłaszcza kiedy pokłóciły się o jakiś drobiazg i rozstawały w gniewie, myślała o Oli źle, naprawdę źle...

26

- Marcin, czekaj! - Wysiadając z audi, Krzysztof Bugaj zauważył idącego szpitalnym parkingiem znajomego doktora. - Pomyślałem, że do ciebie zajrzę i pogadamy. Wiesz już może, czy jest po sekcji? - zapytał, kiedy uścisnęli sobie dłonie.

- Marioli Zyzik? Tak, dawno. Darek Krawczyk ją kroił. Nie przefaksowali ci wyników? - Stefańczyk podniósł kołnierz zbyt cienkiej sztruksowej kurtki i szybkim krokiem ruszył w stronę bocznego wejścia.

Idący za nim Bugaj zauważył, że patomorfolog znacznie przytył i jakby lekko się przygarbił. Biorąc pod uwagę, że byli z jednego rocznika, jakoś nie napawało go to optymizmem...

W niewielkim kantorku, który Stefańczyk szumnie nazywał swoim gabinetem, jak zawsze panował nieskazitelny porządek, nawet książki poukładane były alfabetycznie według nazwisk autorów. Wszechobecny ład zakłócała jedynie leżąca byle jak na krześle i splamiona ohydnyimi, ciemnobrązowymi plamami chirurgiczna bluza Stefańczyka, który zaraz po wejściu niespodziewanego gościa cisnął ją do stojącego pod oknem plastikowego pojemnika na odpady.

- Sorry, miałem telefon i nie zdążyłem jej wyrzucić - usprawiedliwił się. - Siadaj, Bugi! Napijesz się kawy?

- Nie, dzięki. Już piłem. - Znając obiegową opinię o paskudnej, szpitalnej lurze, Bugaj bez żalu odmówił i zasiadł na obrotowym krześle.

- A ja się napiję. - Stefańczyk włączył czajnik i czekając, aż

zagotuje się woda, zapytał, co z Anną. – Słyszałem, że nałykała się jakichś tabletek. Myślałby kto, plaga jakaś... Dalej trzymają ją na psychiatrycznym?

– Tak, wciąż jest w szpitalu.

– A wasz Arek jak to znosi? Słyszałem, że to on ją znalazł... Dla dzieciaka to musiał być szok. – Zdjął kurtkę, którą zawiesił na oparciu krzesła, i jednym ruchem myszy ożywił uśpiony ekran komputera.

– Nie miałem pojęcia, że takie przestarzałe rzęchy są jeszcze w użyciu – rzucił Bugaj, zerkając patologowi przez ramię.

– Szpital ma poważniejsze wydatki – odparł Stefańczyk, wzruszając ramionami.

– To co z tą Zyzik? Wiesz coś? Gadałeś z Krawczykiem? – przeszedł do rzeczy Bugaj, ignorując pytanie o syna.

– Zginęła od silnego ciosu czymś ciężkim, najprawdopodobniej kamieniem. Daruję ci gadkę o strzaskanych fragmentach czaszki, które wbiły jej się...

– Racja, daruj mi. – Bugaj, który wyjątkowo nie znosił tego typu rozmów, aż się wzdrygnął.

– Wrażliwiec z ciebie, co? – Lekarz uśmiechnął się złośliwie i założył okulary, które niemal od razu zjechały mu na czubek nosa. – Co do przyczyny zgonu, nie ma ponoć nawet cienia wątpliwości. Zabił ją silny cios w głowę. Jest jednak coś jeszcze, i to może być niespodzianka. Zyzik miała raka piersi. Stan raczej marnie rokujący, z przerzutami.

– Zyzik miała raka? – zdziwił się Bugaj. Nie znał jej osobiście, ale widywał ją w miasteczku, tę zadbaną, farbowaną na oberżynę kobietę w średnim wieku, która lubiła nosić zdobione frędzlami kowbojki i żenująco krótkie dżinsowe spódnice. – Nie wyglądała na chorą – dodał.

- Na czole nikt tego nie ma wypisanego - mruknął Stefańczyk, zalewając wrzątkiem garnuszek z rozpuszczalną kawą. - Nie jestem onkologiem, ale myślę, że nie miała dużych szans na przeżycie. Albo dowiedziała się o chorobie za późno, albo w porę poznała diagnozę, ale nie chciała się leczyć. Podzwoniłem, popytałem, i okazuje się, że na żadnym z oddziałów onkologicznych nikt o niej nie słyszał.

- Czyli olała leczenie? - zdziwił się Bugaj.

- Prawdopodobnie. W sumie nie wierzę raczej w teorię, że nie miała pojęcia o chorobie. W jej stanie musiała się już czuć naprawdę marnie.

- Cóż... Pocieszające jest to, że tak czy inaczej, kobita była już na wylocie - rzucił Krzysztof i od razu poczuł się jak idiota. - Sorry. Niewielu jest fanów mojego czarnego humoru...

- Marny żart, ale rozumiem. W twojej pracy jakoś musisz sobie radzić z emocjami - powiedział Stefańczyk. - Macie już jakieś podejrzenia? Najpierw ta koszmarna sprawa z Aleksandrą, teraz to... Kto mógłby coś zyskać na śmierci ciężko chorej pięćdziesięciolatki?

- Wiesz, że nie będę teraz spekulować - mruknął Bugaj. - A, zrób mi jednak tej kawy - dodał.

- Sam sobie zrób. - Stefańczyk rozmasował sobie bark i skinął głową w stronę niewielkiej szafki. - Neskę masz w środku, mleko się skończyło, cukru nie mam.

- Potrafisz człowieka zachęcić - skwitował Krzysztof i zabrał się za szukanie garnuszka.

- Na osuszaczu - powiedział Stefańczyk, bawiąc się trzymanym w rękę długopisem z logo znanej firmy telekomunikacyjnej.

- Znałeś ją? - zapytał Bugaj, włączając czajnik.

- Kogo, tę Zyzik? - zdziwił się Marcin.

- Aleksandrę Fabianowicz - sprecyzował podkomisarz.
- Słabo. Raz tańczyliśmy na dorocznym Balu Medyka, parę razy wpadliśmy na siebie na parkingu... Czasem widywałem ją w szpitalnej kafeterii. Lubiła pierogi, dość często je jadła. Piękna dziewczyna, szkoda jej.
- I tyle?
- A czego więcej byś chciał? Ja całe dni spędzam w tym lodowatym przyziemiu, ona pracowała na chirurgii. Wszyscy znamy się z widzenia, ale niekoniecznie jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.
- A jakieś plotki? Szpitalne romanse, tego typu rzeczy... Wiem, że sypiała z Wiktorem Trębaczem, ale może słyszałeś o kimś jeszcze?
- Naprawdę chcesz, żebym sprzedał ci parę szmatławych plotek na temat kobiety, która niedawno na dobre zamknęła oczy?! - podniósł głos Stefańczyk.
- Strasznie drażliwy jesteś. Chciałem tylko...
- Nic o niej nie wiem, okay?! - Gwałtownie wstał zza biurka, przy okazji niemal strącając garnuszek z niedopitą kawą. - Jeśli to wszystko, to muszę wracać do roboty.
- Co cię ugryzło, chłopie? Zapytałem tylko, czy słyszałeś o niej coś niepokojącego.
- Ponoć zadawała się z połową okolicy, to chciałeś ode mnie usłyszeć?!
- To już wiem - mruknął Bugaj, zakładając kurtkę. - Dzięki, Marcin. I sorry, jeśli w jakiś sposób wytrąciłem cię z równowagi.
- Co? Nie zapytasz, czy miałem z nią romans? Do tego zmierzałeś? - rzucił Stefańczyk ostrym tonem.
- A miałeś?
- Nie, do cholery! Jestem żonaty, chociaż ten argument do

ciebie raczej nie przemawia, co? Zresztą nieważne. Do miłego. -
Odprowadził Bugaja do zamykanych na elektroniczny kod drzwi
i patrzył w ślad za nim, dopóki nie opuścił szpitalnych podziemi.

Starszy sierżant Kiciński nie przepadał za przesłuchaniami. Męczyły go psychicznie, zabijały marną resztkę jego wątlej wiary w ludzkość. Wiedział jednak, że są nieodzowną częścią jego pracy; konieczne tak samo jak gumka na fiucie podczas seksu z poznaną w pubie laską. Nie żeby w ten sposób wrywał kobiety! To akurat była specjalność Krzysztofa. O, ten to mógłby godzinami nękać potencjalnych podejrzanych, zawsze miał do tego smykałkę! – pomyślał Kicius, siadając za pełnym papierów biurkiem.

– To jak było? W piątek wieczorem wyjechał pan z żoną na weekend i tej samej nocy, w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach, została zamordowana pana matka. Trudno o lepsze alibi, prawda? W Świnoujściu na oczach ponad stu weselnych gości jeszcze w sobotę wieczorem wywijał pan hołubce, podczas gdy ledwie kilkanaście godzin wcześniej ktoś wywabił pana matkę z domu i rozwalił jej głowę kamieniem. A może to była cegła? – zapytał siedzącego naprzeciwko młodego chłopaka o rozczulająco dziewczęcej twarzy i jasnych lokach.

Cherubinek, kurwa jego mać! Buźka niewinna jak u ministranta, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby zlecił któremuś z lokalnych meneli stuknięcie kłótlivej mamuśki, pomyślał Kiciński.

Waldemar Zyzik milczał, i to jego milczenie jeszcze bardziej Wojciecha rozeźliło.

– Co?! Nie masz mi nic do powiedzenia?! Przecież wiem, jak

żyliście! Wulgarnie wyzwiska, awantury o byle gównu, ciągle szarpanina! W dodatku mamuśka i tak była chora, więc w sumie co za różnica, no nie? Znam takich, którzy chętnie wysłaliby ją na tamten świat za marnych parę stówek. Z zasiłku ciężko wyżyć, a okoliczni chłopacy zawsze potrzebują drobnych, tak? - rzucił Kiciński.

- O czym pan w ogóle gada?! - Wzburzony chłopak gwałtownie zerwał się z krzesła, niemal je przy tym przewracając. - Nie zabiłem własnej matki, za kogo mnie macie?! I co to znaczy, że była chora?! - krzyknął.

Kiciński kazał mu usiąść i przez chwilę uważnie mu się przyglądał.

- Co to znaczy, że była chora? - łamiącym się głosem powtórzył pytanie i przez moment Wojciechowi zrobiło się go żal.

Wiedział jednak, że nie czas na emocje, poczekał więc, aż Waldemar Zyzik się uspokoi, i zapytał, czy naprawdę nie miał pojęcia o chorobie matki.

- Miała raka, nie wspomniała panu? Rokowania raczej marne, były już przerzuty.

- To niemożliwe, przecież coś by mi powiedziała! Kłóciliśmy się, ale...

- W tej kwestii nie ma nawet cienia wątpliwości. Pana matka była śmiertelnie chora. Dziś rano widziałem raport z sekcji - wszedł mu w słowo Kiciuś.

Siedzący dotąd w milczeniu pucułowaty obrońca w tanim i nieco przyciasnym garniturze mruknął coś o pilnym telefonie i poprosił o przerwę.

- Dziesięć minut i widzę pana z powrotem! - zarządził Kiciński, wymownie zerkając na zegarek.

Przesłuchanie wznowili po kwadransie. Prawnik zjawił się

spóźniony i wyraźnie zdyszany, a jego prążkowany krawat zdobila świeża plama po majonezie.

Przez Kartuzy żeś pan tu szedł?! - pomyślał Wojciech, nie powiedział jednak nawet słowa.

- To jak było? W piątek, przed weselem - zwrócił się do syna ofiary, który skubiąc skórę wokół paznokcia, wyglądał na bliskiego płaczu.

- Nie zabiłem mojej matki! Nigdy nie zrobiłbym jej krzywdy! Czasem wydawało mi się, że jej nienawidzę, ale przecież nie jestem jakimś pierdolonym zwierzęciem! - krzyknął Waldemar Zyzik, z trudem panując nad emocjami.

Siedzący po jego prawej adwokat nachylił się w jego stronę i powiedział mu coś na ucho.

- Dobrze, postaram się - odpowiedział chłopak i posyłając Kicińskiemu złe spojrzenie, zaczął opowiadać o wieczorze, kiedy po raz ostatni widział matkę żywą. - Kiedy wróciłem z pracy, było koło osiemnastej. Matka znowu pokłóciła się z moją Ulką i obie się do mnie nie odzywały. Żona zawsze chciała, żebym brał jej stronę, a mama... - Waldemar Zyzik przerwał w pół zdania, bo załamał mu się głos. - A mama chciała, żebym choć raz powiedział Ulce do słuchu. Tyle że ja miałem już dość ich ciągłych awantur, miałem dość wysłuchiwania wrzasków i tego cholernego domu, w którym utknęliśmy bez szans na szybkie kupno własnego mieszkania. Bo niby za co? W każdym razie tamtego wieczoru obie tak na siebie wrzeszczały, że aż wyszedłem. Wyzywały się od najgorszych, obie tak samo wulgarne, ziejące nienawiścią. Przez jakieś pół godziny siedziałem w szopie przy domu, później znalazła mnie żona.

- I? - wtrącił Kiciuś.

- No i powiedziała, że chce już jechać. Planowaliśmy zjawić się

w Świnoujściu dopiero następnego dnia w południe, bo ślub był o czternastej i nie było pośpiechu. Ale Ulka uparła się, żeby wybrać się tam wcześniej. Powiedziała, że ma dość mojej matki i że spokojnie możemy przenocować u jej kuzynki.

- Czyli to żona namówiła pana na wcześniejszy wyjazd?

- Tak, Ulka chciała jechać - przyznał chłopak. - No to zapakowałem bety do samochodu, zawiesiłem tę cholerną weselną kieckę, o którą Ulka tak się bała, i pojechaliśmy. W drodze wyłączyłem komórkę; nie chciałem, żeby zadzwoniła do mnie matka. A potrafiła wydzwaniać nawet po osiem, dziesięć razy dziennie. Kiedy pożarła się z moją Ulką, musiałem wysłuchiwać lamentów pod adresem żony. Że źle się ożeniłem, że dalej tak nie może być... Może gdybym nie wyłączył telefonu, policja znalazłaby mnie wcześniej, ale...

- To nie ma większego znaczenia. Pana matka zginęła na miejscu, nie byłoby okazji, żeby się pożegnać - powiedział Kiciuś zaskakująco łagodnym tonem i chłopak zaczął płakać.

Zażenowany jego łzami pucułowaty obrońca chrząknął i sięgnął po swój telefon, udając, że szuka czegoś w folderze z wiadomościami.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że kuzyn pana żony ma za sobą kilkuletni wyrok? Gwałt ze szczególnym okrucieństwem i ciężkie pobicie. Bydlak był jednym z tych, którzy kilka lat temu napadli na młodziutką barmankę. Niedawno wyszedł, ledwie parę dni temu. Czas leci zdecydowanie za szybko, jeśli chodzi o takie kanale jak on... Zmierzam w każdym razie do tego, że pewnie potrzebował kasy. A pana żona świetnie ostatnio zarobiła, prawda? Ile czasu była w tej Norwegii? Pół roku?

- Siedem miesięcy - powiedział cicho Waldemar Zyzik.

- No, a tam ponoć świetnie się zarabia. Sortowanie jajek,

skórowanie łososi, można ponoć przywieźć trochę grosza. Kumpel mi mówił, że w przeliczeniu na złotówki płacą nawet trzynaście tysięcy miesięcznie.

- Zbieramy z Ulką na mieszkanie - szepnął syn ofiary tak cicho i niepewnie, jakby ciułanie kasy na własne M było niemal zbrodnią. - Mama mówiła, że też coś nam odkłada, ale pieniądze zniknęły...

- Jakie pieniądze? - zainteresował się Kiciński.

- Kosmetyczka, w której mama trzymała oszczędności. Różowa, pikowana, strasznie zenująca... Mówiłem jej tyle razy, żeby założyła sobie konto, ale nie lubiła banków. W każdym razie nigdzie jej nie ma, a zawsze była w jednym miejscu, w bieliźniarce, pod stertą pościeli.

- Ile zginęło?

- Nie wiem dokładnie, ale jakieś pół roku temu mama wspomniała, że przez ostatnie lata zdołała odłożyć okrągłe pięćdziesiąt tysięcy.

- Pięćdziesiąt tysięcy trzymane w szafie pod prześcieradłami. Marzenie każdego włamywacza - mruknął Kicius, drapiąc się po głowie. - A kuzyn pana żony? Spotkał się pan z nim, gdy wyszedł z więzienia?

- Z Piotrem? Nie, skąd. My ledwo się znaleźliśmy. Widziałem go tylko raz, przelotnie.

- A pana żona? Jakie mieli relacje? Lubili się? - zapytał Wojciech, a pucułowaty obrońca oderwał wzrok od wyświetlacza swojej nokii.

- Nie bardzo podoba mi się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa. Czy są jakieś dowody na...

- Proszę mi pozwolić robić swoje. - Kicius, którego wyjątkowo drażnili nieopierzeni młodzi prawnicy, bezpardonowo wszedł

adwokatowi w słowo i ponownie zwrócił się do Waldemara Zyzika: - Czy pana żona zachowywała się w ostatni weekend jakoś szczególnie? Była podenerwowana, rozdrażniona, czy może wręcz przeciwnie, sprawiała wrażenie kogoś niemal w euforii? - zapytał.

- Była wściekła na moją matkę, ale cieszyła się, że jedziemy na wesele. Ostatnio staramy się nie wydawać zbyt wiele i rzadko gdziekolwiek wychodzimy. Ulka czasem narzeka, że skąpiej jej nawet na...

- Do rzeczy! - Kiciuś, którego rozboleła głowa, niecierpliwie zabębnił palcami o blat biurka.

- Jeśli sugeruje pan, że Ula mogłaby zlecić kuzynowi zabójstwo mojej mamy, to muszę powiedzieć, że to jakiś obłąd - rzucił chłopak cichym głosem.

- Obłąd to drugie imię ludzkości - mruknął Wojciech.

- Jeśli to wszystko, będę wdzięczny za zakończenie tej szopki! Nie macie nic na mojego klienta! - wtrącił prawnik, którego najwyraźniej znudziła przedłużająca się rozmowa.

- Okay, na razie to wszystko - powiedział Kiciński, z ulgą wstając z krzesła. - Chociaż nie, w zasadzie miałbym jeszcze ostatnie pytanie. Czy kiedykolwiek uderzył pan żonę?

- Słucham?! A co to ma do rzeczy? - obruszył się młody prawnik, ale Kiciński uciszył go jednym niecierpliwym gestem dłoni.

- Owszem, ma, i to całkiem sporo. Chcę wiedzieć, czy pan Zyzik wykazuje skłonności do przemocy. Więc?

Chłopak milczał; ze spuszczoną głową i zaciśniętymi w pięści rękoma, siedział na niewygodnym krześle, wpatrując się w czubki swoich podniszczonych sportowych butów.

- Dobrze, więc może odświeżę panu pamięć. Lato dwa tysiące

czternastego, plac przy karuzelach. Szarpał pan żonę za włosy na oczach co najmniej pięciu osób i trójki przerażonych, niespełna pięcioletnich dzieci. Później pchnął ją pan na stoisko z watą cukrową i kopnął. Tak twierdzą świadkowie. To w sumie śmieszna sprawa, bo dowiedziałem się o tym przypadku. Jakiś emerytowany nauczyciel chemii zadzwonił do nas z informacją, że bywa pan brutalny – powiedział Kiciuś. – Bardzo lubię taką obywatelską postawę – dodał kwaśnym tonem. – To jak? Nie skomentuje pan nawet słowem?

– Pokłóciliśmy się wtedy, nic wielkiego... Ulka chciała...

– Jesień dwa tysiące czternastego, trzy miesiące później. Pana żona trafiła na SOR ze złamanym zębem. Wśród sąsiadów ma pan nienaganną opinię. Cichy, spokojny chłopak, prawie ideał. Ale w domu ręka bardziej panu ciąży, co? – warknął Wojciech, wchodząc chłopakowi w słowo.

Waldemar Zyzik milczał. Młody adwokat wymamrotał coś o zupełnie niepotrzebnym nękanii jego klienta, ale Kiciuś nie zwracał na niego uwagi.

– Styczeń dwa tysiące piętnastego. Urszula Zyzik kolejny raz trafia na SOR z podejrzeniem wstrząsu mózgu. Twierdzi, że spadła ze schodów, ale jakoś nie mogę w to uwierzyć. Niedługo potem wyjeżdża do Norwegii i nie ma jej kilka miesięcy, ale kiedy wraca, wszystko zaczyna się od nowa. Pana matka wyzywa ją od najgorszych, ona wyzywa pana matkę, panu pośród tego piekła puszczają nerwy... Ale pojawia się plan. Pozbądźmy się starej i wszystko wróci do normy. W sumie logiczne, co? Wiadomo, że zła atmosfera pod wspólnym dachem romantyzmowi nie sprzyja. Ale gdyby stuknąć mamuszkę...

– Nie zabiłem mojej matki! – Czerwony na twarzy Waldemar Zyzik zerwał się z krzesła i rzucił do drzwi.

- Proszę zostać, jeszcze nie skończyłem! - rzucił w ślad za nim Kiciński, ale nerwowo skubiący poplamiony krawat adwokat był innego zdania.

- Wręcz przeciwnie. Myślę, że na dziś już skończyliśmy. Konkrety albo do widzenia! - rzucił, zapinając opasłą skórzaną teczkę.

- Dobra, można i tak. Ale jeszcze z nim nie skończyłem - rzucił przez zęby Wojciech i bez słowa pożegnania opuścił niewielki pokój przesłuchań.

W korytarzu wpadł na Bugaja.

- Czekaj, Kiciuś, chodź na słówko - poprosił go kumpel.

- Co jest? Nie mam teraz za dużo czasu, bo...

- Na słówko, mówię. - Krzysztof otworzył drzwi od pustej sali konferencyjnej i przepuścił Wojciecha przodem. - Właż, pogadać chcę.

Usiedli po dwóch przeciwległych krańcach stołu i Krzysztof z dziwnym smutkiem pomyślał, że być może to całkiem nieźle obrazuje ich relacje. Ostatnio znacznie się od siebie oddalili, jakby nagle nie potrafili już ze sobą szczerze rozmawiać.

- Czekałem, aż sam podejmiesz temat, ale milczysz... Wiesz, do czego zmierzam, prawda? - zaczął w końcu Bugaj.

- Bugi, posłuchaj...

- Kto cię tak załatwił tamtej nocy, Kiciuś?! Jeśli kiedykolwiek uważałeś mnie za przyjaciela, odpowiesz szczerze i od razu!

Cisza...

- Dobra, rozumiem. Tylko nie dzwoń po mnie, jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebował! - Krzysztof wstał i ruszył w stronę drzwi.

- Krzysiek, czekaj! Dobra, powiem ci, chociaż pewnie będę tego żałować. Wiszę kasę takim kolesiom i trochę się wkurwili.

- Komu?
- Nie znasz, to goście z sąsiedniego miasteczka, prowadzą kasyno.
- Kasyno?
- No będę taką z automatami. Na zapleczu można zagrać w pokera, tego typu klimaty.
- Od kiedy masz problem z hazardem, Kiciuś?
- Nie mam problemu z hazardem! Po prostu trochę przegrałem i nie miałem z czego spłacić, a oni...
- Ile?
- Nieważne, Bugi!
- Pytam, ile potrzebujesz?!
- Jakieś pięćdziesiąt tysięcy, może trochę więcej - powiedział Kiciński, nie patrząc przyjacielowi w oczy.
- Kurwa, chłopie! Przegrałeś tyle kasy?! Ledwo stanęliście z Goską na nogi i odremontowaliście dom, a ty mi mówisz, że masz w plecy pięćdziesiąt kawałków?! - Bugaj nie mógł uwierzyć własnym uszom.
- Takie życie... W każdym razie mam jeszcze trochę czasu na spłatę.
- A procent rośnie, co?
- Kurwa, przestań mnie pouczać! Myślisz, że nie wiem, jak bardzo mam przesrane?!
- Czemu nie przyszedłeś pogadać?
- A co zrobisz? Masz na zbyciu tyle forsy?!
- Nie. Ale zawsze mogę pożyczyć od kuzyna albo brata. Mogę wziąć pożyczkę, popytać przyjaciół, coś się wymyśli.
- I z czego ci oddam? - zapytał cicho Kiciuś.
- Nie wiem. Może zagrasz w pokera? - wbił mu szpilę Bugaj.
- Dupek - mruknął Wojciech, wyglądał jednak na kogoś, komu

wyraźnie ulżyło. – Dzięki, Krzysiek. Może faktycznie powinienem od razu przyjść z tym do ciebie...

– Część kasy załatwię za dwa, trzy dni, nad resztą pomyślimy. A tych koleśi trzeba by jakoś dopaść.

– Niby jak? Obijesz im ryj po godzinach? Między innymi dlatego nic ci nie mówiłem. Bo wiem, że potrafisz się władować w kłopoty.

– A ty nie, co? – zakpił Bugaj, wstając. – Dobra, jutro pogadamy. Trzymaj gębę na kłódkę i nikomu ani słowa. Załatwię większą część kasy i zdecydujemy, co dalej. Teraz idę pogadać z wyrodną synową.

– Urszula Zyzik tu jest? – zdziwił się Wojciech.

– Owszem. Dziewczyna już drugą godzinę czeka na naszą pogawędkę. – Bugaj uśmiechnął się krzywo i ruszył w stronę drzwi.

– Dzięki, Bugi – powtórzył samotnie siedzący za konferencyjnym stołem Kiciński, ale przyjaciel już go nie słyszał.

W drodze od kuzyna, któremu pomagał w malowaniu, Krzysztof przypomniał sobie o mieszkającym jakieś trzydzieści kilometrów od ich miasteczka hydrauliku. Wojciech Wolski był swego czasu podejrzany o nękanie młodej nauczycielki plastyki. Dziewczyna zaginęła jakieś siedem, może osiem lat temu w drodze ze szkoły do domu. Przepytni przez policję świadkowie twierdzili, że Wolski miesiącami ją śledził, wydzwaniał do niej i w niewybredny sposób jej się naprzykrzał. Ciało dwudziestosiedmioletniej nauczycielki nigdy nie odnaleziono, a sprawa nadal była nierozwiązana. Gość mieszkał jednak w pobliżu, dosłownie półtora kilometra od drogi, w którą właśnie skręcał Bugaj – wystarczyło zjechać w prawo i nieco zboczyć z trasy. Krzysztof nigdy nie zajmował się tą sprawą, wiedział jednak od zaprzyjaźnionych gliniarzy, że Wolski był głównym podejrzany. Nie miał pojęcia, jak oskarżany swego czasu o stalking hydraulik mógłby się przyczynić do śmierci którejs z zamordowanych w ich miasteczku kobiet, ale skoro już tu był, to czemu nie przyjrzeć się kolesiovi.

Pod dom Wolskiego zjechał kilka minut później. Zresztą nazwanie tej walącej się rudery domem byłoby sporym eufemizmem. Gość mieszkał w nieotynkowanym, zbudowanym z pustaków parterowym „kurniku”, wokół którego panował niemiłosierny wręcz rozgardiasz. Bugaj zaparkował tuż przy pustej psiej budzie i wyszedł na mżawkę. Dzwonka nie było. Krzysztof załomotał więc pięścią w drzwi przeciągnięte łuszczącą

się zielonkawą farbą.

Cisza.

Zastukał jeszcze raz i w głębi domu rozległo się jakieś szuranie.

- Chwila! - usłyszał zachrypnięty męski głos.

Cofnął się i omiótł wzrokiem okolicę. Ciągące się w nieskończoność pola rzepaku, w oddali jakieś gospodarcze budynki; nic, na czym można by zawiesić oko.

Drzwi uchyliły się w momencie, w którym w kieszeni Bugaja rozdzwoniła się komórka. Zignorował telefon i stanął w progu.

- Wojciech Wolski? - zapytał, chociaż jedno spojrzenie na gospodarza powiedziało mu, że pofatygował się na próżno.

Siedzący na inwalidzkim wózku mężczyzna nie miał obu nóg i z całą pewnością nie byłby w stanie zamordować kobiety. Przynajmniej nie w ostatnim czasie...

- Niech zgadnę, policja? - zapytał Wolski i zwinnie manewrując wózkiem, cofnął się, robiąc Bugajowi przejście. - Słyszałem, że źle się u was dzieje - dodał.

- Co się panu stało? - zapytał Krzysztof, niechętnie wchodząc do środka.

W pełnym puszek po piwie i pustych butelek po winie pomieszczeniu wręcz cuchnęło - służące za popielniczki talerzyki leżały dosłownie wszędzie, a podłogę zaściełały stare, naddarte gazety.

- Proszę wybaczyć, moja gosposia ma dziś wychodne - zarechotał Wolski, zanosząc się kaszlem. - A wracając do pana pytania... Można powiedzieć, że dwa tysiące trzynasty był dla mnie pechowy. Żona odeszła, syn wyjechał i jeszcze ten cholerny wypadek. Z drugiej jednak strony nie każdy ma szczęście przeżyć bliskie spotkanie z pociągiem. Oglądać pornosy i popijać browary nadal mogę, nie? - roześmiał się chrapliwie.

- Przykro mi, paskudna sprawa - mruknął Bugaj.
- Życie - rzucił gospodarz filozoficznym tonem, po czym zaproponował piwo.

- Dziękuję, jestem autem. - Krzysztof skinął Wolskiemu głową i ruszył w stronę drzwi.

- Na pana miejscu przyjrzałbym się temu eksksiężulkowi - poradził mu kaleki hydraulik. - Ludzie gadają, że koleś jest śliski...

- Na pana miejscu pootwieriałbym tu okna - powiedział Bugaj, ruszając w stronę uchylonych drzwi.

- Hej, właśnie zdałem sobie sprawę, skąd cię znam! - zawołał za nim Wolski.

Krzysztof zatrzymał się w progu i niechętnie obrócił.

- Znasz mnie? - zdziwił się.

- Powiedzmy, że parę razy widziałem cię w pewnym miejscu.

- A konkretniej?

- Plaża nudystów, mówi ci to coś? Kręcą cię pomarszczone Niemki z obwisłymi cycami? Widywałem cię tam latem, kiedy jeszcze jeździłem na motorze.

- Musiałeś mnie z kimś pomylić - skłamał Bugaj.

- Może... Nie będę się upierać. Chociaż zawsze uważałem, że mam świetną pamięć do twarzy. Agnieszkę na przykład pamiętam świetnie, każdą maleńką zmarszczkę wokół jej oczu, każdy pieprzyk, wszystko - powiedział cicho Wolski i Krzysztof przypomniał sobie, że tak miała na imię zaginiona nauczycielka.

- Ty parszywy gnoju! Zabiłeś ją, prawda? Zabiłeś i miałeś fart, że dotąd nie znaleziono ciała! Co z nią zrobiłeś, co?! Gadaj! - Bugaj podszedł do niego i jednym mocnym kopniakiem zwałił z wózka.

Upadając, Wolski śmiał się chrapliwie niczym opętany, a Bugaj

tylko z trudem nad sobą zapanował. Najchętniej kopałby go dotąd, aż popękałyby mu wszystkie żebra. Nie wzruszało go jego kalectwo, nie czuł się winny. Dla niego gość był mordercą, który śmiał się w twarz policji i rodzinie nieszczęsnej dziewczyny. Wiedział, że człowiek jest niewinny, dopóki winy mu się nie udowodni. Wiedział też, że leżący na podłodze śmieć ma na sumieniu śmierć młodej niewinnej kobiety. Dobry gliniarz posiada intuicję i on również ją miał. Wolskiemu nigdy niczego nie udowodniono, Krzysztof czuł jednak, że jest winny.

- Pamiętam każdy jej pieprzyk, zapach skóry, włosów... Pamiętam, jak cudownie pachniała, słyszysz? - zanosił się śmiechem szaleńca leżący na podłodze Wolski.

- Jeszcze kiedyś za to bekniesz! - warknął Bugaj, wychodząc.

Idąc do samochodu, wciąż miał w uszach ochrypy, obłąkańczy śmiech kalekiego hydraulika. W aucie wybrał numer Kiciusia, ale kumpel nie odebrał. Wycofał więc z zawalonego śmieciami podjazdu i wyjechał na wąską, pełną kolein drogę.

Mijając spalony pół roku wcześniej motel, zwolnił. Powinienem w końcu odwiedzić Renatę, pomyślał. Ile się nie widzieli? Dwa lata? Dwa i pół? Nie był pewien, czy ma ochotę na tę wizytę, z drugiej jednak strony nagle zatęsknił za dziewczynką. Tak, nawet w myślach zawsze nazywał ją „dziewczynką”, chociaż była przecież jego córką... Krew z jego krwi, owoc kilkumiesięcznego romansu z mieszkającą niedaleko domu kuzyna miejscową urzędniczką. Zjechał na pobocze. Był głodny i chciało mu się pić. Ale skoro już tu był, mógł chociaż na moment zajrzeć do Renaty. W kieszeni jego kurtki odezwała się komórka. Iwona... Nie miał ochoty z nią gadać, nie potrafił się zmusić, żeby odebrać.

Mżawka przeszła w regularną ulewę, a on siedział w aucie, zastanawiając się, czy Renata w ogóle będzie chciała z nim

rozmawiać i czy jest jakikolwiek sposób, żeby tego bydlaka Wolskiego dopadła sprawiedliwość. Chociaż... Może jego podły, niemal psi los, był wystarczającą karą? Bez nóg, rodziny, większej kasy, żyjący z groszowej renty i diabli wiedzieli z czego, gość już na ziemi był skazany na piekło. Kiedy młoda nauczycielka zgłosiła policji, że Wolski ją nęka, zbliżał się do pięćdziesiątki. Teraz, zgorzkniały i przepity, miał prawie sześćdziesiątkę i marne perspektywy na dożycie późnej starości. Pewnie niebawem zdechnie w samotności i tylko przy odrobinie szczęścia jego zwłoki w porę odnajdzie listonosz. Szkoda tylko, że rodzina dziewczyny nadal nie ma pojęcia, gdzie jest ciało, pomyślał, mimowolnie się wzdrygając.

Deszcz bębnił o dach samochodu coraz bardziej zaciekle, aż w końcu Bugaj podjął decyzję: bez względu na jej reakcję odwiedzi Renatę. Włączył silnik i podjechał kilkaset metrów w stronę stacji paliw, obok której mieszkała jego dawna kochanka.

Powitała go w szlafroku, za to w pełnym makijażu. Bordowa szminka, kapiące od tuszu rzęsy. Może właśnie szykowała się na jakieś wyjście. Nadal piękna, chociaż nieco... przywiędła, pomyślał Krzysztof. Zwłaszcza twarz dziwnie jej obwisła, jakby w jej przypadku grawitacja działała z podwójną siłą.

- Czego tu chcesz?! - zapytała ostro.

W jej prawej dłoni tlił się papieros, lewą poprawiła obcięte na pazia ciemnokasztanowe włosy.

- Cześć, ruda - powiedział.

- Masz, kurwa, tupet! Nie zjawiasz się u mnie przez ponad trzy lata, a teraz wpadasz bez zapowiedzi?! Pytałam, czego chcesz?!

- Wpadłem tylko na chwilę zobaczyć małą.

- Ona nie ma pojęcia, kim jesteś, dupku!

- Kto przyszedł? - Pucułowata, ubrana w czerwoną sukienkę dziewczynka ze spiętymi w dwa kucyki ciemnymi włosami, zjawiała się w korytarzu, kiedy Bugaj już miał wyjść.

- Wracaj do siebie! - ofuknęła ją matka.

- Wyrosła - powiedział cicho.

- Cudze dzieci szybko rosną, nie słyszałeś? - zakpiła Renata.

- Posłuchaj, pogadajmy. Myślę o niej często, przecież wiesz.

- Myślisz o niej?! Krzysztof, nie chrzań, okay?! Wstydziliście się jej, odkąd się urodziła! Dziecko z zespołem Downa psuje twój nieskazitelny wizerunek supermacho! Nigdy nawet nie poprosiłeś mnie o jej zdjęcie, nie pokazałeś się z nią w okolicy, nie zabrałeś jej na spacer! Zakończyłeś nasz związek, jak tylko przyszła na świat, a teraz masz czelność się tu zjawiać i żądać odwiedzin?! Kim, kurwa, jesteś, żeby mieszać w życiu mojej córki?! - krzyknęła Renata.

- Nasz romans. Zakończyłem nasz romans - powiedział.

- Romansem można nazwać parę chwil spędzonych na zabawie w podmiejskim motelu! My byliśmy ze sobą na serio, planowałeś dla mnie zostawić żonę! Tyle że ja zaszłam w niechcianą ciążę i urodziłam chore dziecko. To cię otrzeźwiło, pokazałeś, kim naprawdę jesteś! A jesteś dupkiem, który wyparł się własnej córki! - Zaciągnęła się dymem i zgasiła papierosa w leżącej na komodzie przepełnionej popielniczce. - Wynoś się stąd, zaraz przyjdzie moja matka!

Bugaj spuścił głowę i ruszył w stronę drzwi.

W progu przystanął i wyjął z kieszeni portfel.

- Weź, kup jej coś ładnego - wyciągnął dłoń, w której trzymał trzy zmięte stówki.

Renata wyrwała mu je z ręki i rzuciła na podłogę.

- Wsadź sobie tę jałmużnę tam, gdzie słońce nie dochodzi!

- Mamusiu, czemu krzyczysz? - Wyraźnie przestraszona dziewczynka podeszła do matki i złapała ją za rękę.

- Nie mówiłam, żebyś sobie poszła i pobawiła się u siebie?! - huknęła na nią matka, zanim Krzysztof cicho zamknął za sobą frontowe drzwi.

W drodze do samochodu, smagany podmuchami wczesnojesiennej wichury, pomyślał, że Renata ma rację. Tak, wstydził się tego dziecka. Tej pachnącej kokosowym szamponem, pulchnej i skośnookiej istoty, której nigdy, nawet w myślach, nie potrafił nazwać córką. Wstydził się jej i nigdy, przenigdy o niej nie mówił. Nikomu, nawet Kiciusiowi. Nie wiedział nikt, tak było lepiej. I może właśnie dlatego poczuł taką ulgę, kiedy Iwona poroniła. Bał się, że znowu na świat przyjdzie chore dziecko, że los skaze go na kolejną porażkę...

Do mieszkania kochanki dotarł w fatalnym nastroju. Bolała go głowa, łupało w krzyżu i czuł miarowo pulsujące gdzieś pod czaszką wyrzuty sumienia. Czy naprawdę nie potrafi być lepszym człowiekiem? A może jednak nie jest aż taki zły? Może na tle losowo wybranej setki osób nie wyróżniałby się jakimś szczególnym skurwysyństwem? Przez wszystkie te ostatnie lata starał się być dobrym mężem, ale marnie mu szło. Starał się też być dobrym ojcem, ale i tutaj poległ. Starał się żyć najlepiej, jak potrafił, ale skoro ranił dosłownie wszystkich, których los stawiał na jego drodze, coś z nim musiało być nie tak...

Iwona stanęła w łazienkowych drzwiach, kiedy mył zęby.

- Odebrałeś w końcu tę pizamę dla Matyldy? Od dwóch dni cię proszę, tak ciężko to zapamiętać?! Jest odłożona, ale nie będą jej dla mnie trzymać w nieskończoność!

Powiedział, że zapomniał.

- Jasne, dzięki!

- Nie mogłaś sama tam iść?! Wiesz, ile mam na głowie, a zawracasz mi dupę jakimiś drobiazgami! Kiedy ostatnio byłaś we własnym salonie?! Kiedy w ogóle wychodziłaś z tego pierdolonego mieszkania?! - wrzasnął, ciskając trzymaną w rękę szczoteczkę na dno umywalki.

Iwona wyszła bez słowa i cicho zamknęła za sobą drzwi. Bugaj wypłukał usta, przeczesał przed lustrem włosy i wyszedł z łazienki. W przedpokoju założył kurtkę i wyszedł z powrotem na deszcz. Piżamki dla Matyldy już o tej porze nie odbierze, ale przynajmniej się przejdzie. Od jakiegoś czasu siedzenie w niewielkim mieszkaniu Iwony przypominało mu tkwienie w przyciasnej klatce. Obserwowany, ciągle krytykowany, stale oceniany, zagadywany, proszony o jakieś duperele, czuł się tak, jakby otaczające go cztery ściany napierały na niego i pozbawiały oddechu.

Mijał ozdobioną niewielką fontanną skwer, kiedy zaczęła go drobna, zaniedbana kobieta w widocznej ciąży.

- Da pan parę groszy? Dla dziecka, nie dla mnie - powiedziała tak cicho, że dopiero po chwili dotarł do niego sens jej słów.

- Masz! - Wyjął z kieszeni portfel i wsunął jej w dłoń trzy stówki, które chciał zostawić Renacie.

- Dziękuję! Jezu, ile pieniędzy - wymamrotała kobieta, oddalając się od niego szybkim krokiem, jakby się bała, że zmieni zdanie i każe jej oddać jałmużnę.

W parku przystanął u wylotu jednej z alejek i przez dłuższą chwilę przyglądał się kręcącemu się nieopodal kłoszardowi. Gość usiłował lepiej poukładać jakieś manele, które wysypywały mu się z niewielkiego dwukołowego wózka, a Bugaj pomyślał, że być może za pięć czy dziesięć lat jego również czeka taka właśnie przyszłość. Miał żonę, którą zdradził w każdy możliwy sposób,

i syna, który nie chciał nawet z nim gadać. Na koncie niewiele ponad piętnaście tysięcy, własnego mieszkania brak... W przypadku rozwodu podzielił pewnie kasę po sprzedaży domu, ale czy miał sumienie zabierać Annie nawet ten jej wymarzony dach nad głową, który z taką pasją swego czasu urządziła? – zastanawiał się, ryjąc czubkiem buta w mokrej od deszczu ziemi.

29

- Pokrój paprykę, będzie szybciej. - Doktor Marcin Stefańczyk, opasany kraciastym kuchennym fartuchem, wręczył Ninie nóż i podsunął niewielką drewnianą deskę.

- Wiedziałam, że bezdusznie zaprzęgniesz mnie do kuchennych robót - podsumowała rozbawiona.

- Nie ma lekko w życiu. Masz, je też pokrój. - Podsunął przyjaciółce talerz z pieczarkami i wrócił do cebuli.

- Jak to robisz, że nad nią nie płaczesz? - zapytała.

- Trzeba przemyć nóż zimną wodą, ponoć pomaga. Ale ja jakoś nigdy nie lałem rześzystych łez nad cebulą. - Wzruszył ramionami.

- Nieczuły z ciebie drań. - Nina umyła paprykę i zabrała się za krojenie.

- Fajnie, że znalazłaś czas, żeby do mnie wpaść - powiedział z uśmiechem. - To co, nasze zdrowie? - dodał, dolewając czerwonego wina do pustego kieliszka Morawskiej.

- Nasze zdrowie - powtórzyła. - Dzięki. Szkoda tylko, że rozminęłam się z twoją Agnieszką. Wieki się nie widziałyśmy...

- Będą inne okazje - mruknął Stefańczyk, odstawiając na bok butelkę.

- Trzeci kieliszek? - zdziwiła się. - Nie pracujesz jutro?

- Wziąłem wolny dzień. Chcę pojechać z synem na wizytę u specjalisty, który ocenia postępy Igora. Wiesz, jak jest. Autystyczne dziecko wymaga o wiele więcej pracy niż... Nieważne, zmieńmy temat.

- Jesteś fantastycznym ojcem, Marcin! Zawsze byłeś! -

powiedziała Nina z naciskiem.

- Za to marnym mężem - mruknął, wrzucając z deski na patelnię skrojoną w talarki cebulę.

- O, a to nowość. O czymś nie wiem? - zainteresowała się Morawska, sięgając po talerz z pieczarkami.

- Krzysiek Bugaj wypytywał mnie ostatnio o Aleksandrę Fabianowicz i prawie spanikowałem...

- Bo?

- Zgadnij.

Nina odłożyła trzymany w ręku nóż i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Stefańczyka. W końcu zrozumiała - marna reputacja ofiary i skruszony wzrok przyjaciela mówiły same za siebie.

- Czekaj, ty chyba nie...

- Owszem - przyznał, nie patrząc jej w oczy.

- Kiedy?

- Kilka miesięcy temu. Odwoziłem ją do domu, bo strasznie lało, a ona akurat nie miała auta. Kiedy dotarliśmy na miejsce, powiedziała, że syn wyjechał i jest sama. zaproponowała drinka, powiedziała, że nie ma ochoty na samotny wieczór. Zachowywała się kokieteryjnie, więc doskonale wiedziałem, jak to się skończy. Mimo to wszedłem na górę i stało się - wyjawiał, starając się nie myśleć o tamtej chwili, kiedy zenująco wyglądniały nowych wrażeń i napalony niczym nastoletni szczeniak, dosłownie rzucił się na Aleksandrę.

- Chryste! Czy w tym mieście jest ktoś, kto nie przeleciał tej Fabianowicz? - mruknęła Nina.

- Ty - powiedział Stefańczyk i oboje wybuchli śmiechem.

- Powiedziałeś Agnieszce? - zapytała. - Przyznałeś się czy siedzisz cicho?

- Żartujesz sobie?! W życiu by mi tego nie wybaczyła! W dodatku do tego stopnia straciłem głowę, że zapomniałem nawet o gumce. A później jeździłem do Szczecina zrobić testy na HIV i kuląc się ze wstydu w poczekalni, myślałem tylko o tym, jakim żalonym jestem dupkiem. Nigdy wcześniej, przez tyle wspólnych lat nie zdradziłem Agi! Nigdy! Były różne okazje, ale nie korzystałem. Tymczasem ona lekkim tonem rzuciła zaproszenie na drinka, a ja z miejsca poszedłem na całość...

- Widać miała w sobie coś, bo z tego, co słyszę, mało kto potrafił jej odmówić. Może to jakiś wirus? - rzuciła Nina złośliwym tonem.

- Nie lubiłaś jej?

- Zacznijmy od tego, że ledwo ją znałam. Widywałyśmy się w mieście, czasem wpadała na siłownię...

- Nigdy nie rozmawiałyście?

- Niby o czym? - Morawska wzruszyła ramionami.

- Słuchaj, Mora, a może jednak powinienem jej powiedzieć?

- Żonie? Oszalałeś? Siedź cicho, zwłaszcza teraz! Dziewczyna nie żyje, a my nadal nie wiemy, kto za tym stoi. Nie chcesz chyba przyznać się do czegoś, co również na ciebie spowodzi podejrzenia? Siedź cicho i nie wychylaj się! - poradziła Nina.

- Idiota ze mnie, co?

- Po prostu facet. - Uśmiechnęła się krzywo. - Czasem tak się zastanawiam, czy „mężczyzna” i „duppek” to przypadkiem nie synonimy...

- Przestań, bo zacznę żałować, że w ogóle ci powiedziałem.

- Żartuję, Marcin. Wiesz, że zawsze miałam cię za świetnego gościa i nic, nawet twój erotyczny incydent z Fabianowicz w roli głównej, tego nie zmieni. Jesteś świetnym mężem i świetnym ojcem. Koniec, kropka!

- Tak, mężem jestem wyśmienitym - powtórzył z ironią.

- Jesteś, Marcin! Jesteście razem prawie osiemnaście lat i nigdy nie widziałam, żebyś zachował się nie w porządku wobec Agnieszki.

- Pewnie dlatego, że nie wiesz o mnie wszystkiego - odparł kpiąco. - Żebyś tylko widziała minę Krzyśka Bugaja! Zapytał mnie ostatnio, czy coś mnie łączyło z Aleksandrą, a ja prawie wpadłem w panikę...

- To, że raz się z nią przespałeś, nie czyni z ciebie mordercy! Chyba że o czymś nie wiem? - zażartowała Morawska.

- Nie stać mnie na terenówkę, kotku.

- Co za ulga - roześmiała się.

- Zastanawiasz się czasem, kim jest morderca? Lato było koszmarne, a teraz te dwie sprawy. Myślisz, że ten sam człowiek zabił Olę i Mariolę Zyzik? Że przechadza się ulicami, zagląda w te same miejsca co my... Może zdarzyło mu się kupować gofra w tym samym momencie, kiedy ja stałem obok z synem? Może oboje go znamy, widzujemy na co dzień, mijamy... Nie przeraża cię, że nadal nie macie pojęcia, kim on jest?

- Staram się nie dopuszczać do głosu emocji. - Nina wzruszyła ramionami. - Problem polega na tym, że podejrzanych jest od groma, ale nikomu nie potrafimy niczego udowodnić. Przypuszczamy, że Mariolę Zyzik zabił inny sprawca niż Aleksandrę Fabianowicz, ale pewności jeszcze nie mamy. I proszę, dajmy już sobie spokój z tą rozmową. Wpadłam do ciebie, żeby się napić, posłuchać muzyki i powspominać stare czasy. Jestem kurewsko zmęczona i rozpaczliwie żądna relaksu. Myślę, że nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś włączył starą płytę Madonny i kazał mi śpiewać *Like a Virgin* - roześmiała się.

- Nie, nie. Wolałbym nie być świadkiem tego typu scen -

zawtórował jej Stefańczyk. – A pamiętasz, jak wypiliśmy półtorej butelki wina i poszliśmy się wykąpać? – zmienił temat. – Był późny i wietrzny październik, a my nadzy i pijani wskoczyliśmy do Bałtyku. Kiedy to było? W dwa tysiące drugim? Trzecim?

– Nie wiem, ale zwłoki takich idiotów znajdują później na brzegu tacy jak Bugaj. Cud, że się nie potopiliśmy...

– Agnieszka dostała szału, kiedy jej o tym opowiedziałem. Dała mi w twarz, wpadła w skrajną histerię. Wrzeszczała: „Myślisz, że już kilka lat po ślubie mam ochotę zostać wdową?!”. Co najdziwniejsze, gładko przełknęła wieść, że kąpałem się nago w twoim towarzystwie. Bardziej zabolął ją fakt, że ryzykowałem życie.

– To jest właśnie miłość. – Nina mrugnęła do przyjaciela, zerknęła na patelnię i oznajmiła: – Cebula się przypała.

– Kurwa! – rzucił Stefańczyk.

Roześmiała się.

– Przecież ty nigdy nie klniesz... Co się z tobą dzieje?

– Tak zwany kryzys wieku? – skwitował autoironicznie.

Godzinę później byli już całkiem nieźle wstawieni.

– Masz kogoś? – zapytał Marcin, kiedy siedząc przy kominku, podjadali krakersy.

– Na stałe? Nie. Przespałam się ostatnio z Igą Melke, ale...

– Ona jest lesbijką? – zdziwił się Stefańczyk.

– Powiedzmy, że ma pewne inklinacje.

– Nieźle. Zapytałbym o szczegóły, ale podobno jestem gentlemanem.

– Podobno. – Nina uśmiechnęła się, sięgając po kolejnego krakersa. – Weź je ode mnie, zanim pęknę. Dawno się tak nie najadłam.

– To może spacer?

- Żartujesz? Leje i wieje - zaprotestowała.

- I tak będzie pewnie do kwietnia. Zamierzasz przez najbliższe miesiące w ogóle nie wychodzić z domu? Chodź, nie daj się prosić! Moglibyśmy skoczyć do Kapitana.

- Marcin, daj spokój...

- Chodź! - Wstał, złapał przyjaciółkę za rękę i poderwał z kanapy. - Założ. W tym podszytym wiatrem płaszczu przemarzniesz na kość. - Byli w przedpokoju, kiedy Stefańczyk podał jej należący do Agnieszki sztormiak, i dodał, że znowu zaczęło lać.

Pomyślała, że w połączeniu z jej eleganckimi czarnymi spodniami i żakietem, wściekło żółty płaszcz przeciwdeszczowy będzie wyglądać co najmniej śmiesznie, ale nagle zdała sobie sprawę, że właściwie wszystko jej jedno.

- Nie wierzę, że się zgodziłam - mruknęła, kiedy wyszli przed dom.

Ulewa znacznie się wzmogła, w dodatku coraz silniej wiało.

- Biegiem! - Marcin zamknął furtkę i pociągnął przyjaciółkę za rękę.

- Mam obcasy! - zaprotestowała, ale chyba nie dosłyszał.

Kilka minut później w dziwnie pustawym Kapitanie zajęli jeden ze stolików w głębi lokalu i sięgnęli po leżące na blacie zostawione przez kogoś orzeszki.

- Nie mogę przestać jeść - roześmiała się Nina.

- Z twoją figurą nie musisz sobie żałować. - Stefańczyk pogłaskał się po znacznie zaokrąglonym w ostatnich czasach brzuchu i puścił do przyjaciółki oczko. - O, zapowiada się ciekawy wieczór. Właśnie wszedł eksksiądz dobrodziej - dodał złośliwym tonem.

Nina, która siedziała tyłem do drzwi, obróciła się zaciekawiona,

lustrując wzrokiem otrzepującego mokrą kurtkę Filipa Czaplickiego.

- Jak na byłego duchownego, gość dość często bywa w knajpach - mruknął Marcin, wybierając z pełnej łupin miski kolejnego orzeszka.

- To akurat nie zbrodnia - skwitowała Nina, zerkając na barmankę.

Dziewczyna zazwyczaj podchodziła do stolików, zwłaszcza jeśli nie było dużego ruchu, jednak tym razem zdawała się nie zwracać na nich uwagi, jakby polerowanie świeżo umytych kuflów było znacznie ważniejsze od zadowolenia klientów.

- Podejdę tam - zdecydował w końcu Stefańczyk. - Co ci wziąć? Wino?

Poprosiła o colę.

- Rano mam rozprawę...

- I co z tego? Prokurator na kacu to byłby ciekawy widok. - Rozbawiony Stefańczyk ruszył w stronę baru.

Zamawiał, kiedy dwóch grających dotąd w bilard młodych mężczyzn podeszło do siedzącego samotnie Filipa Czaplickiego. Stefańczyk nie słyszał poszczególnych słów, ale nietrudno było się zorientować, że mocno podpite kmioty zwyczajnie szukają zaczepki. Początkowo tylko stali nad siedzącym Czaplickim, przekrzykując się nawzajem. W końcu wyższy i masywniejszy złapał byłego księdza za fantazyjnie wywinięte klapy od modnego wełnianego swetra, i kazał mu wypierdalać z miasteczka.

Barmanka ściszyła muzykę i wyszła z za kontuaru.

- Panowie, bez awantur, okay? - zaczęła, ale mężczyźni nawet na nią nie spojrzeli.

Marcin podszedł do stolika i położył rękę na ramieniu dziewczyny.

- Odsuń się, załatwię to - powiedział.

Wzruszyła ramionami i wróciła za bar.

- Nie masz tu czego szukać, cwaniaczku! Chcesz skubać stare krowy z kasy, to znajdź sobie inną parafię - warknął niższy, a później sprawy potoczyły się lawinowo.

Zanim Marcin zdołał w jakikolwiek sposób zareagować, ten, który trzymał Czaplickiego za klapy, pchnął go na krzesło i wyrznął pięścią w nos.

- Wypierdalać stąd, ale już! - Ostry głos Niny Morawskiej rozległ się w momencie, w którym uzbrojona w drewnianą pałkę barmanka zaczęła grozić wezwaniem policji.

- I co się tak ciskasz, lalka? Wracaj do stolika, słońce - mruknął niższy, wyraźnie ubawiony rozwojem sytuacji.

Gość zamknął japę, dopiero kiedy jego kumpel warknął, żeby nie zadzierał z prokuratorką.

Kiedy wyszli, Nina podała Czaplickiemu wyjęte z torebki chusteczki.

- Jak na kogoś, kto organizuje modlitewne spotkania, ma pan w okolicy sporo wrogów - zauważyła.

- Nie wszyscy lubią ludzi, którzy potrafią powiedzieć prawdę prosto w oczy.

- A jaka to prawda? - zainteresowała się Nina.

- Zapraszam na spotkanie, może się pani dowie - odpowiedział, przechylając w tył głowę.

- Chyba nie złamał panu nosa? - W Stefańczyku, choć tylko na moment, przebudził się lekarz.

- Chyba nie - mruknął Czaplicki, nie patrząc mu w oczy.

- Czego sobie państwo życzą? Dziś oczywiście na koszt firmy. - Młoda barmanka podeszła do nich, kiedy siadali przy swoim stoliku.

- Colę i piwo - zamówił Stefańczyk.
- Coś do jedzenia?
- Dzięki, jesteśmy po kolacji.
- Często tu przychodzi? - zapytała Nina, przyglądając się siedzącemu samotnie Czaplickiemu.
- Nie częściej niż inni.
- Był już kiedyś zaczepiany?
- Nie przypominam sobie.
- Czego mogli chcieć? Zna ich pani?
- Z widzenia.
- I nie potrafi pani powiedzieć, czego mogli...
- Przykro mi, ale nie. Ja tu tylko leję piwo - weszła Ninie w słowo i obróciła się na pięcie.
- Chyba cię nie lubi - ze śmiechem rzucił Stefańczyk. - Słyszałem, że czasem bywa sympatyczniejsza...
- Chrzanić ją. I tę colę też! Podwójną wódkę, proszę! - krzyknęła Morawska.

Przed północą była już tak pijana, że ledwo szła.

Marcin odprowadził ją przed dom. Objęci i smagani podmuchami szalejącej wichury, szli środkiem ulicy, zaśmiewając się do łez z opowiadanych przez Stefańczyka żenująco marnych dowcipów.

Byli przy furtce, kiedy przypomniała sobie o dokumentach.

- Zostawiłam u ciebie teczkę z aktami. - Parsknęła pijackim śmiechem i prawie się przewróciła. - Pamiętasz tę sprawę zaginionej laski z Tarnowa? Tej, która piła do późna w klubie, a później przepadła... Na zapisie z ulicznego monitoringu zataczała się, a komentujący w Internecie ludzie pisali, że skoro tyle chlała, to się doigrała.

- Sugerujesz, że gdybym teraz cię zabił, internauci wylaliby na

twoją głowę wiadro pomyj? – spytał rozbawiony Stefańczyk. – Bez obaw, skarbie, w naszej dziurze nie ma ulicznego monitoringu.

– To kamień z serca, ulga taka, że... hik! – Nina czknęła i oparła się o płot. – Nie wiem, czy nie będę rzygać...

– Daj spokój, ty nigdy nie rzygasz. – Marcin przyciągnął ją do siebie i pocałował w szyję. – Ładnie pachniesz – mruknął.

– Chryste! Jesteś bardziej, hik, pijany ode mnie.

– No pewnie. Inaczej nie miałbym czelności, żeby cię obwąchać.

– Dobranoc, stary wariacie. – Wyjęła z torebki klucz od furtki.

Kilka minut później, czekając, aż zagotuje się woda, usłyszała sygnał przychodzącego SMS-a, a po chwili przeczytała:

A jednak się z nim rzniesz!

Z niedowierzaniem wpatrywała się w widniejące na wyświetlaczu nazwisko. Iga Melke? Kiedy ich widziała? Czatowała przed jej domem? A może przyuważyła ich w centrum, kiedy zataczając się, objęci i roześmiani szli w stronę jej ulicy?

Odpisała krótko i ostro.

Uważaj, na to są już paragrafy!

Odpowiedź nie nadeszła, ale incydent zwarzył jej dobry nastrój. Skąd brali się ludzie, którzy nie potrafili zrozumieć, że ich towarzystwo przestało być pożądane? Przespały się ze sobą, było miło, wielka mi rzecz... Przecież już na samym początku jasno postawiła sprawę, że nie jest zainteresowana stałym związkiem! Czego więc Iga nie rozumiała? – zastanawiała się, zalewając wrzątkiem kawę. Wypiła tylko kilka łyków, w przeciwnym wypadku do rana nie zmrużyłaby oka.

Kładąc się, pomyślała, że powinna definitywnie się z Melke rozmówić. Miała swego czasu do czynienia z ofiarą stalkingu i wiedziała jedno – w takich sytuacjach od samego początku jasno i wyraźnie trzeba wyznaczyć granicę. Nie życzyła sobie dalszych

kontaktów z Igą i chciała, żeby to było bezdyskusyjne. A już SMS-y, w których zwyczajnie ją obrażano, wydały jej się co najmniej niesmaczne.

30

Mnąc w ustach przekleństwo, Krzysztof wyjął zza wycieraczki zostawioną przez kogoś i rozłazącą się w dłoniach ulotkę, która przez kilka długich godzin mokła na siąpiącym od rana deszczu.

- Ciule nawet tutaj zajrzą, żeby te śmieci podrzucić - mruknął pod nosem, ciskając zmięty kawałek wilgotnego papieru do przepelnionego po brzegi kosza.

Otwierał samochód, kiedy zawołał go Kiciuś:

- Bugi, czekaj! - Pomimo deszczu i porywistego wiatru, kumpel wybiegł na parking w samej koszuli. - Jeszcze raz dzięki za pożyczkę! Powiedz kuzynowi, że oddam mu wszystko, jak tylko...

- Daj spokój, mówiłem ci już, nie pali się. Dla Tomasza taka suma to pikuś - wszedł mu w słowo Bugaj. - Co jest? Masz coś dla mnie?

- Tak, w sumie tak. Byłem wczoraj w kasynie.

- Zagrać?

- Nie, no coś ty. - Kiciński podrapał się po głowie i przestępując z nogi na nogę, dodał, że zajechał do lokalnej świątyni hazardu, żeby oddać kasę. - I zgadnij na kogo wpadłem, bo do tego zmierzam.

- Nie mam zielonego pojęcia. Gadaj, bo się spieszę! - ponaglił go Bugaj, niecierpliwie bębniąc palcami o maskę swojego audi.

- Nic? Nawet jednego strzału? - Wojciech wyglądał na rozczarowanego brakiem zainteresowania kumpla.

- Dobra, na kogoś od nas?

- Nie. Znacznie lepiej. Przydybałem przy automatach Filipa

Czaplickiego! Czujesz, jakie klimaty? Gość wyciąga ostatnie grosze od zapatrzonych w niego moherowych babć, żeby radośnie przepieprzać kasę w kasynie! Oczywiście od razu zapytałem, czy często u nich bywa, i chłopacy z ochrony zdradzili, że przynajmniej raz w tygodniu.

- Nieźle - gwizdnął Bugaj.

- Ponoć już kilkakrotnie przegrał u nich grubszą kasę, ale zawsze wraca. Myślę, że powinniśmy się mu lepiej przyjrzeć, nie ma co zwlekać. Syn tej całej Zyzik powiedział przecież, że matce zginęła okrągła sumka, pamiętasz? Trzeba by chyba w końcu przycisnąć byłego księżula, bo coś mi mówi, że koleś ma co nieco na sumieniu...

- Nie no, Kiciuś, zwolnij! Myślisz, że Czaplicki zabił Mariolę Zyzik, żeby jej ukraść kasę? Nie wydaje ci się to nieco naciągane?

- Czemu? Nie o takich rzeczach się w końcu słyszy... Ofiara bywała na tych jego, pożał się Boże, modlitewnych spotkaniach. On wielokrotnie odwiedzał ją ponoć w jej domu, orientował się w rozkładzie pomieszczeń, niewątpliwie wzbudzał zaufanie. Musiał zjawić się przed jej furtką w nocy i wyciągnąć ją z łóżka, ale otworzyła mu drzwi, zaprosiła do środka... Cholera wie, co między nimi zaszło, skoro wybiegła na ziąb i deszcz w samej nocnej koszuli. Wcześniej pewnie poszła do furtki w kurtce, śledczy znaleźli ją rzuconą na fotel przy wejściu. Jednak kiedy zaczęli się kłócić, wybiegła jak stała. Miała nadzieję dotrzeć do przejścia łączącego jej ogród z ogrodem sąsiada - bramki od dawna nie używano, ale nie była zamknięta na klucz. Jednak on był szybszy. Młody, sprawny mężczyzna dopadł ją bez trudu, zabił, zabrał kasę i się ulotnił. Być może nawet świetnie znał zwyczaje sąsiadów, wiedział, że w okolicy mieszkają głównie starsze, schorowane osoby. Staruszka z przeciwka kładzie się

spać koło dwudziestej drugiej, sąsiadka z lewej jest przygłucha i jak sama powiedziała, niewiele ją obchodzi, co się wieczorami dzieje w uliczce, bo ogląda telewizor.

- Nie kupuję tego, Kiciuś! Koleś jest dupkiem, ale żeby od razu mordercą?

- Pojeździć za nim nie zaszkodzi. Przyjrzeć się, gdzie bywa, uważniej przyglądając się jego znajomym - zasugerował Wojciech.

Krzysztof naciągnął na głowę kaptur i spojrzał na zaciętą minę kumpla.

- Widzę, że cholernie się na niego zawzięłeś... Ale w sumie może masz rację? - po chwili wahania Bugaj zgodził się z przyjacielem i wsiadł do samochodu. - Muszę jechać z Matyldą do lekarza. Pogadamy kiedy indziej.

- Iwona dalej nie wychodzi z domu? - zapytał Wojciech.

- Długo by o tym gadać. Opowiem ci przy jakimś piwie, okay?

- Jasne, trzymaj się! - Kiciuś szybkim krokiem ruszył w stronę komendy.

Wyjeżdżając z niewielkiego parkingu, Bugaj pomyślał o Aleksandrze Fabianowicz. Czy to możliwe, że były ksiądz miał na sumieniu coś więcej niż bezczelne wyłudzenie kasy od naiwnych dewotek? I czy za śmiercią pielęgniarki może stać Czaplicki? Była rozrywkowa, lubiła się zabawić. Czy mogło się zdarzyć, że Czaplicki uwikłał się w namiętny romans z nią, ale po jakimś czasie zaczął tego żałować? Szantażowała go? Groziła, że pochwali się koleżankom? Nie musiał już żyć w celibacie, ale czy posuwanie największej puszczańskiej w okolicy nie zszargałoby jego opinii w oczach zdewociałych staruszek, które tak hojnie wspomagały go finansowo?

A może się w niej zakochał? Może chciał czegoś więcej niż kilku numerków, a ona nadal spotykała się z okolicznymi smarkaczami?

Może tamtej nocy śledził ją od samego początku? Jej spotkanie z kochankiem, seks w samochodzie, burzliwą kłótnię, samotny spacer szosą. Terenówkę mógł pożyczyć od kogokolwiek. Może sposób, w jaki obnosił się z uszkodzoną przez potrącenie sarny furgonetką, był jedynie czymś w rodzaju gry? Naigrawał się z nich? Grał im na nosie?

Bugaj sam co prawda sprawdził wszystkie okoliczne warsztaty samochodowe, wiedział jednak, że nie ma człowieka, którego nie dałoby się kupić. Dwa tysiące? Cztery? Sześć? Jedni z wdzięcznością przyjęliby pewnie pierwszą sumę, innych zadowoliliby ostatnia. Ludziom się nie przelewało, szukali każdego możliwego sposobu na zarobek. Wyklepanie biorącego udział w śmiertelnym potrąceniu samochodu dla niektórych mogło być sposobem takim, jak wszystkie inne. W starciu z mamoną sumienie przegrywało zaskakująco wiele razy – to, jako doświadczony policjant, Krzysztof świetnie przecież wiedział.

Do mieszkania Iwony dotarł głodny i przemarznięty. Rano wybiegł z domu w samej bluzie, czego szybko pożałował. Dłubiąc kluczem w zamku, zerknął na zegarek. Cholera! Jeśli zaraz nie wyjadą, spóźnią się do lekarza! W dodatku przekłete drzwi za nic nie chciały się otworzyć. Bugaj wyjął klucz z zamka i uważnie mu się przyjrzał. W końcu wcisnął dzwonek, ale nikt mu nie odpowiedział.

- Iwona! - Załomotał w drzwi.

Cisza...

Wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer kochanki.

- Co jest? Nie mogę otworzyć drzwi - rzucił, kiedy odebrała.

- Pewnie dlatego, że zmieniłam zamki...

- Co? O czym ty...

- Klaudia. Mówi ci to coś? - syknęła.

Kurwa mać! – skrzywił się Krzysztof. Więc ta mała cichodajka jednak opowiedziała o wszystkim Iwonie...

- Kotku, ona kłamie. Owszem, kiedyś ze sobą byliśmy, ale...
- Pozwoliłam sobie spakować twoje manele, są u pani Róży.
- Iwona, nie wygłupiaj się! Kocie, przecież...

Rozłączyła się! W przypływie bezsilnej złości Bugaj rąbnął pięścią we frontowe drzwi i ponownie wybrał numer Iwony. Tym razem nie odpowiedziała; wyraźnie słyszał dzwoniący w głębi jej mieszkania telefon, który nagle ucichł. Jego była już kochanka musiała odrzucić połączenie. Szlag by to! – pomyślał, dzwoniąc do drzwi naprzeciwko. Szczęściem pani Róża nie była jedną z tych wścibskich staruch, które chcą wiedzieć wszystko na każdy z możliwych tematów. Kiedy mu otworzyła, powiedziała jedynie, że bardzo jej przykro z powodu ich rozstania, po czym wskazała walizki z jego ciuchami. Na wierzchu, byle jak rzucone, leżały kurtki. Obok olbrzymia reklamówka z butami i laptop. Żenująco mizerny dobytek kawalera z odzysku, pomyślał Bugaj, znosząc do samochodu pierwszą część naprędce spakowanego przez Iwonę bagażu.

- Dziękuję za wszystko, pani Rózo – chwilę później pożegnał życzliwą sąsiadkę szarmanckim pocałunkiem w wątlą, pokrytą starczymi plamami dłoń, i nawet nie patrząc w stronę drzwi od mieszkania Iwony, zbiegł po schodach.

Układając w bagażniku swoje rzeczy, zastanawiał się, dokąd powinien pojechać. Annę przywiózł ze szpitala ledwie dzień wcześniej, wiedział jednak, że ostatniego wybryku nawet ona łatwo mu nie wybaczy. Latami znosiła wszelkie upokorzenia, jakie jej fundował, ale to... Nie, o domu mógł zapomnieć.

Kiciuś? Wiedział, że zarówno Wojciech, jak i Gosia nie mieliby nic przeciwko jego kilkudniowemu pobytowi na ich sofie, nie

chciał się jednak narzucać. Po namyśle zdecydował, że przekima na komendzie, a rano zdecyduje co dalej. Mógł wynająć jakąś dziuplę, mógł trochę czasu spędzić w jednym z okolicznych pensjonatów. Większość właścicieli znał od lat i czuł, że teraz, po sezonie, dostałby korzystną zniżkę.

Na komisariat dotarł tuż po szesnastej i nie trując się, żeby wyjąć rzeczy z bagażnika, ruszył w stronę swojego gabinetu.

- Bugi? Byłem pewny, że już wyszedłeś - zdziwiła się na jego widok Ewa, jedna z najmłodszych stażem policjantek. - Słuchaj, w sumie i tak miałam do ciebie dzwonić. Wybieramy się na piwo, idziesz z nami?

- Nie dzisiaj, mam już inne plany - skłamał.

Nie miał co prawda pojęcia, jak spędzi nadchodzący wieczór, ale ostra popijawa w towarzystwie kolegów, którzy lubili zadawać wścibskie pytania, jakoś mu się nie uśmiechała.

- Randka? - zapytała Ewa, posyłając mu kokieterijny uśmiech.

- Powiedzmy - mruknął, nie wdając się w szczegóły.

- Szkoda. Liczyłam na to, że w końcu się z nami wybierzesz.

- Innym razem, obiecuję. - Mrugnął do niej i zaszył się u siebie.

Do dwudziestej pierwszej pracował, przeglądając notatki, zdjęcia i sporządzone przez kolegów raporty. Później zjadł resztkę znalezionych w biurku Kiciusia zbożowych ciastek, zrobił sobie kawę i zapatrzył się w zalaną deszczem szybę. Niekończące się ulewy doprowadzały go do szału! Od ładnych paru lat nie było aż tak deszczowej jesieni, a ponura aura za oknem dziwnie go dołowała. Nigdy nie podejrzewał, że pogoda może mieć jakikolwiek wpływ na jego samopoczucie, ale ta jesień wydawała mu się szczególnie przygnębiająca...

Po dwudziestej drugiej wybrał numer Iwony. Nie odebrała, więc spróbował jeszcze raz. Tym razem po prostu odrzuciła połączenie

i chwilę później wyłączyła telefon. Suka! – skrzywił się na myśl o Klaudii. Okay, on również nie był bez winy. Nie trzeba się było z nią zadawać, to jasne. Ale szczere pogawędki z Iwoną mogła sobie jednak darować, pomyślał.

31

Tuż po północy Bugaj zdecydował, że pokreśli się wokół domu Czaplickiego. Spać i tak nie mógł, a popołudniowa rozmowa z Kiciusiem nieco dała mu do myślenia. Mijając dyżurkę, skinął głową młodemu policjantowi, którego imienia jak dotąd nie udało mu się zapamiętać, i wyszedł na mżawkę. Przy samochodzie utworzyła się głęboka kałuża, którą przeskoczył, brudząc sobie buty błotem. Kilka minut później był już na szosie.

W pobliżu budynków należących do wujka byłego księdza zwolnił i mrużąc oczy, uważnie zlustrował ciemne pobocze. Przy drodze nie było jednak nikogo i zdecydował, że zostawi auto u wylotu polnej szosy, a resztę drogi pokona pieszo. Latarkę miał w bagażniku, pomiędzy niemiłosiernie zmiętymi kurtkami, siatką z butami i wciśniętymi na siłę walizkami. Przyświecał sobie niemal do końca, starając się kierować snop światła w dół; dopiero będąc przy samym domu, zgasił latarkę i ostrożnie, niemal po omacku wszedł na wylany nierównym betonem podjazd. W budynku mieszkalnym było ciemno, Bugaj obszedł dom dookoła, ale nigdzie nie zauważył palącego się światła. Dopiero kiedy zerknął w stronę stodoły, dostrzegł migoczącą pomiędzy jej deskami bursztynową poświatę, jakby ten, kto był w środku, siedział w blasku świec. Ciekawe, co tam robi? – zastanawiał się Krzysztof, ruszając w stronę drewnianego budynku. Leży krzyżem na zimnym klepisku, modląc się o odpuszczenie grzechów? Samobiczuje się na wzór dawnych flagelantów, którzy półnaczy smagali się biczami aż do krwi?

Pieprzy się z kimś? Ta myśl sprawiła, że Krzysztof uśmiechnął się pod nosem. Nie, to nie może być aż tak banalne...

Gdzieś z oddali dochodziło ujadanie psa i Bugaj pomyślał, że w życiu nie potrafiłby mieszkać na takim odludziu. Przy stodole przystanął i ruszył na jej tył. W ten sposób, jeśli nagle ktoś z niej wyjdzie, nie wpadnie prosto na niego. Szpary pomiędzy deskami były na tyle szerokie, żeby mógł dostrzec siedzącego na środku mężczyznę. Czaplicki, bo co do jego tożsamości Krzysztof nie miał nawet cienia wątpliwości, siedział na jednym z grubych pniaków i dłubał w trzymanym na kolanach pudle, które wyglądało na stare radio. W świetle palących się wokół grubych świec, ubrany w grubą kurtkę, ze śrubokrętem w zębach, najzwyczajniej w świecie reperował zepsuty radioodbiornik. Widok tak rozbawił Bugaję, że niemal parsknął śmiechem. Skradając się wokół stodoły, spodziewał się przecież wszystkiego, ale nie tego.

Wycofał się i szybkim krokiem ruszył w stronę samochodu. W aucie posiedział jeszcze prawie godzinę, mając nadzieję, że słynący z nocnego trybu życia Filip Czaplicki wybierze się jeszcze na jakąś przejażdżkę, ale wyglądało na to, że nie dopisało mu szczęście. Zawrócił więc w stronę komendy i pogwizdując pod nosem, wrzucił dwójkę.

Migający światłami awaryjnymi samochód zobaczył tuż przed zjazdem do miasteczka. Obok auta, paląc papierosa, stała wysoka brunetka w ciemnym płaszczu. Zjechał na pobocze. Zanim wyłączył silnik, zerknął we wsteczne lustro, ale sytuacja wydała mu się jasna i klarowna – babce musiało się zepsuć auto.

- Problemy?! - krzyknął, wysiadając.

Spojrzała w jego stronę, czubkiem eleganckiego czarnego buta wgniatając niedopałek w asfalt. Chwilę później powiedziała, że złapała gumę.

- Usiłowałam się dodzwonić do brata, ale ma wyłączony telefon
- wyjaśniła, bawiąc się trzymaną w ręku zapalniczką.

Bugaj zauważył, że jest lekko zdenerwowana, jakby właśnie zdała sobie sprawę, że znalazła się z nim sam na sam przy pustej o tej porze szosie.

- Potrafi pan zmienić koło? Zapłacę - dodała.

- Nie ma takiej potrzeby - mruknął Krzysztof, zdejmując kurtkę.

Podwijając rękawy bluzy, poprosił o lewarek. Bezradnie rozłożyła ręce, a on nie mógł się nie uśmiechnąć. Kobiety... Przyniósł więc swój i czubkiem buta dotknął sflaczałej opony.

- Zaczynam się zastanawiać, czy nie sprzedać tego rzęcha. Miesiąc temu rozkraczył mi się na autostradzie, a teraz to... Gdyby nie pan, diabli wiedzą, ile czasu bym tu sterczała - powiedziała brunetka.

- Zawsze do usług - mruknął Bugaj, luzując śruby.

Uwinął się raz-dwa.

Nieznajoma wyglądała na rozanieloną; on mocno ubrudził sobie ręce, ale za to do granic możliwości napompował swoje lekko sflaczałe męskie ego.

- Mieszka pani w okolicy? - zapytał, wycierając dłonie w pachnącą smarem flanelową szmatę, którą znalazła w bagażniku.

- Od jakichś trzech lat, a ty? - gładko przeszła na ty.

- Niestety od urodzenia.

Roześmiała się, zakładając za ucho niesforny kosmyk kręconych ciemnych włosów.

- Zabrzmiało to niemal jak wyrok - zauważyła.

- Bo poniekąd tak właśnie jest. Urodziłem się na tym zadupiu i tu pewnie umrę...

- Są gorsze miejsca.

- Na przykład? - zainteresował się.

- Czy ja wiem? Slumsy Bangladeszu - powiedziała lekkim tonem i oboje wybuchli śmiechem. - Zapalisz? - zapytała po chwili.

- Nie palę. Ale właściwie mam ochotę. - Wziął od niej papierosa, zdając sobie sprawę, że zaczyna mu się podobać ta niespodziewana nocna pogawędka. - Czym się zajmujesz? - zapytał.

Powiedziała, że jest artystką.

- A konkretniej?

- Czy ja wiem... Wszystkiego po trochu. Maluję zarówno ckliwe, pełne jeleni landszafty, jak i odważne męskie akty. Robię na zamówienie szmaciane lalki i drewniane domki dla nich. Maluję na szkle, trochę rzeźbię, czasem robię ręcznie wykonane choinkowe ozdoby. A kiedy brakuje mi kasy, sprzedaję na nadmorskich deptakach podkoszulki ze śmiesznymi napisami.

- No proszę, kobieta renesansu - uśmiechnął się.

- A ty?

- Co ja? - odpowiedział pytaniem.

- Czym się zajmujesz? Albo czekaj, sama zgadnę! Jesteś trenerem!

- Ciekawa teoria... I kogo twoim zdaniem trenuję? - zapytał, przyglądając się jej tańczącym na wietrze, ciemnym włosom.

- Piękne nastoletnie siatkarki.

- Cóż... Muszę cię rozczarować, nie zgadłaś.

- Weterynarz? Wracasz właśnie od chorej krowy i... - nie dokończyła, bo rozdzwoniła się jej komórka. - Przepraszam. - Posłała Bugajowi uśmiech, po czym odebrała telefon.

Rozmawiała krótko, minutę, może półtorej. Powiedziała jedynie, że już wszystko okay, i przeprosiła za kłopot.

- Więc? Wracasz właśnie od chorej krowy? - zapytała

rozbawionym głosem.

- Pudło - powiedział Bugaj, ostatni raz zaciągając się dymem.

- Mam jeszcze jedno podejście?

- Skoro nalegasz...

- Strażak! Ściągasz z drzew kotki, gasisz płonące magazyny i...

- Wydobywam zmasakrowane zwłoki z nadpalonych wraków?

Nie, dzięki. Mam kumpla w straży. To, co czasem opowiada po paru głębszych, mrozi krew w żyłach - wszedł jej w słowo Krzysztof.

- Chryste, nie musisz od razu tak na poważnie. - Aż się wzdrygnęła.

- Przepraszam. Czasem zapominam, że nie wszyscy widują tyle koszmarów, co ja - mruknął.

- Jesteś lekarzem?

- Gliniarzem.

- Hmm, o tym nie pomyślałam, ale faktycznie, nawet wyglądasz!

- Pokażesz mi kiedyś swoje obrazy?

- Mogę cię nawet namalować - odparła z uśmiechem.

- Pozuję wyśmienicie! Zwłaszcza bez ubrania.

- Zobaczymy, ocenimy...

Zapytał, czy da mu swój numer.

- Na wypadek, gdybym znowu złapała gumę? - droczyła się.

- Na wypadek, gdybym chciał zaprosić cię na drinka.

- A chcesz?

- A pójdziesz?

- Zaproś, to się przekonasz - rzuciła kokieteryjnym tonem, chwilę później podając mu rząd cyfr.

Miała na imię Dominika. Bugaj przypomniał sobie romans, jaki niecałe pięć lat wcześniej miał z jej pracującą na poczcie

imienniczką, i uśmiechnął się pod nosem. Rozstali się przed drugą nad ranem i chociaż upierała się, że to niekonieczne, jechał za nią aż pod jej dom. Odjechał, dopiero kiedy wysiadła i pomachała w jego stronę. Dojeżdżając na komendę, wyobraził sobie, co by było, gdyby otwarcie zaproponował nocne spotkanie u niej. Instynkt podszeptował mu jednak, że to nie tego typu dziewczyna. Tylko bym ją spłoszył, pomyślał, kładąc się na wąskiej niewygodnej sofie.

Wstał połamany, z nadwreżonym barkiem i piekącymi z niewyspania oczyma. Jednak wspomnienie nocnego flirtu na szosie zdecydowanie poprawiło mu nastrój. Robiąc sobie kawę, znalazł numer Dominiki w pamięci telefonu i zapisał go w notesie. Na wszelki wypadek.

Zaczęło mżyć, kiedy młodszy aspirant Krzysztof Bugaj wysiadł z zaparkowanego na poboczu samochodu i szybkim krokiem ruszył w stronę pobliskiego przejazdu. Porywisty wiatr jednym podmuchem zerwał mu z głowy kaptur; teraz, tuż po drugiej nad ranem, szalejąca po wybrzeżu wichura zdawała się osiągać swoje apogeum. Wysunął dłonie z kieszeni kurtki i z powrotem nasunął na czoło kaptur. Migające na niebiesko światła stojącego tuż przy kolejowym przejeździe policyjnego wozu dodawały ponurej nocnej scenerii nieco realności. Wiedział, że kręcący się zazwyczaj wokół takich miejsc przypadkowi gapie traktowali je niemal niczym filmowe plenery, ale on świetnie sobie zdawał sprawę z powagi sytuacji. Cokolwiek stało się na przejeździe, dotyczyło kogoś, kogo być może znał. O żadnej reżyserskiej fantazji nie mogło być mowy tam, gdzie los rzucał pod nogi kłody prawdziwym ludziom z krwi i kości.

- Co jest? Dostałem info, że ktoś się władował pod pociąg - zagadnął stojącego obok radiowozu młodego gliniarza.

- A no władował. Mówią, że jakiś gość na wózku.

- A konkretnie kto mówi?

- Konkretnie to wiem tylko tyle, że mam dość tego cholernego wypizdowa - mruknął chłopak, podnosząc kołnierz od kurtki.

Bugaj nie odpowiedział. Przeszedł przez wciąż opuszczony szlaban i przyjrzał się majaczącej w ciemności sylwetce pociągu. Maszynistę znalazł chwilę później. Był to zwalisty, zbliżający się do pięćdziesiątki mężczyzna o siwiejących, kędzierzawych

włosach i mocnym podbródku.

- Nie miałem żadnych szans, żeby zahamować! Przecież pociąg nie zatrzyma się w miejscu, wiedzą panowie, jak jest. Ja... - Na widok zbliżającego się Bugaja maszynista przerwał swoją chaotyczną wypowiedź i wyjął z kieszeni papierosa. - Kiedy wyjechałem z zakrętu, jego wózek stał na środku przejazdu. Hamowałem, Bóg mi świadkiem, że próbowałem, ale rozpędzony pociąg za nic nie zatrzyma się na zawołanie. Krzyczałem, żeby uciekał, błagałem go w duchu, ale on tkwił pośrodku przejazdu, a ja mogłem tylko liczyć sekundy do nieuniknionego. Wiedzą panowie, to nie pierwszy raz, kiedy ktoś wpada mi pod skład. Tyle że tamten, lata temu, wjechał na przejazd samochodem, a ten tutaj...

- Hej, Bugi. - Jeden ze stojących obok maszynisty policjantów skinął głową Krzysztofowi. - Nie mamy pewności, ale to chyba ten hydraulik, który parę lat temu wjechał rowerem pod pociąg. Ten koleś bez nóg, którego swego czasu podejrzewali o...

- Wiem, o kim mówisz - wszedł chłopakowi w słowo i roztarł przemarznięte dłonie. - Niny jeszcze nie ma?

- Nie mogliśmy się do niej dodzwonić. Prokurator jedzie aż ze Szczecina - powiedział młody policjant.

- Który?

- Leszek Szczupak.

- Przecież on niedawno miał wypadek - zdziwił się Bugaj.

- Ja tam nic nie wiem - mruknął policjant, podnosząc kołnierz. - Kurewski ziąb! - dodał.

Krzysztof rozejrzał się dookoła, starając się omijać wzrokiem miejsce, w którym skład potracił wózek z kalekim hydraulikiem. Zresztą nie było na co patrzeć - tony żelastwa zgmiotły przeszkodę tak samo skutecznie, jak poradziłyby sobie z puszką

sardynek w pomidorowej zalewie. Pociąg - ciemna sylwetka pośród wietrznej nocy, stał blokując przejazd, a nieliczni nocni podróżni byli kierowani na objazd.

- Są jacyś świadkowie? - zwrócił się Bugaj do wyraźnie roztrzęsionego maszynisty.

- Żadnych, głucha noc przecież jest.

- Czyli mówi pan, że po prostu wjechał wózkiem na środek przejazdu, jakby umyślnie czekał na torach?

- Ironia losu, co? Gość przeżył spotkanie z pociągiem, żeby teraz z własnej woli się pod niego rzucić - mruknął jeden z gliniarzy.

- Życ mu się nie chciało, bo i po co? Bez kulasów, samotny, z nędzną rentą... Każdy by się pewnie załamał - dodał drugi z policjantów, rudawy chłopak z wyraźną wadą wymowy.

- Tyle wiem, co widziałem. Wyjechałem z za zakrętu, a on był na torach. Przed przejazdem ostrzegawczo zatrąbiłem, a dosłownie chwilę później zauważyłem jakąś sylwetkę. Dopiero w ostatnich sekundach zdałem sobie sprawę, że to gość na wózku - powiedział maszynista łamiącym się głosem i Bugaj miał ochotę jakoś go pocieszyć.

„Ten człowiek najprawdopodobniej był zwykłym ścierwem”, miał na końcu języka, wiedział jednak, że nie mógł powiedzieć czegoś takiego. Klepnął więc tylko maszynistę w plecy, dodał jakiś banał o kilkusetmetrowej drodze hamowania pociągu i ruszył w stronę swojego samochodu. O wypadku na przejeździe dowiedział się przypadkiem; nie była to jego sprawa i nie zamierzał dłużej tu sterczeć. Prokurator Szczupak zjawi się pewnie nie wcześniej niż za czterdzieści minut i Krzysztof zdecydował, że woli się przespać niż tkwić pośród smaganych wiatrem pól przy kolejowym przejeździe.

Wsiadając do samochodu, zdał sobie sprawę, że samobójstwo Wolskiego (o ile pod pociągami znajdowały się jego zmasakrowane zwłoki) musiało mieć związek z jego niedawną wizytą u kalekiego hydraulika. Nie czuł jednak wyrzutów, wręcz przeciwnie – ścierwa takie jak Wolski nie zasługiwały na nic lepszego. „Pamiętam każdy jej pieprzyk; zapach jej skóry, włosów...” – przypomniał sobie obłąkańczy śmiech leżącego na podłodze kaleki i zacisnął ręce w pięści. Nie miał wątpliwości, że Wolski był mordercą. Szkoda tylko, że postanowił ze sobą skończyć, nie wyjawiając miejsca ukrycia ciała. Jeśli będą mieli szczęście, za miesiąc, może rok albo dwa, przypadkowy spacerowicz natknie się w końcu na ukryte gdzieś zwłoki. Jeśli szczęście im nie dopisze, nie znajdą jej nigdy...

W samochodzie było przenikliwie zimno. Zapinając pasy, Bugaj pomyślał o synu. Odchodząc od Anny, wiedział, że rozłąka z Arkiem będzie trudna. Nie podejrzewał jednak, że będzie za nim tęsknił aż tak rozpaczliwie, jakby każda komórka jego ciała dosłownie wyła z tęsknoty... Zerknął na zegarek. Dochodziła druga czterdzieści nad ranem i z trudem się powstrzymał przed wybraniem numeru Arkadiusza. Nie miał co prawda pojęcia, co powiedziała by wyrwanemu ze snu chłopcu, ale chęć usłyszenia jego głosu była tak przemożna, że niemal to zrobił. W końcu jednak schował komórkę do schowka i wykręcił na wąskiej drodze. Nocne telefony z pewnością nie zaskarbią mu sympatii syna, który i tak nie bardzo chciał z nim rozmawiać...

Z samochodu wysiadł śmiertelnie wręcz zmęczony, marząc jedynie o przyłożeniu głowy do poduszki. Spał jednak marnie, raz za razem zapadając w płytką, pełną koszmarów drzemkę.

Pomimo że dzień wcześniej przeniósł się do pensjonatu Mewa i dostał pokój z całkiem wygodnym łóżkiem, do bladego świtu

jedynie przysypiał. Przed siódmą wstał, zrobił kilka pompek i zszedł na dół w poszukiwaniu kawy.

Właścicielka Mewy, korpulentna kobieta koło sześćdziesiątki, była już na nogach i jak przystało na miejscową plotkarę, wiedziała już o nocnym dramacie na torach.

- Ja tam jestem pewna, że to on zabił tę nieszczęsną dziewczynę! Policja niby niczego mu nie udowodniła, ale przecież to niemal oczywiste. Nękał ją miesiącami, łąził za nią, wydzwaniał! Później zniknęła i nikt mi nie powie, że nie maczał w tym palców! Ale wyrzuty mu żyć nie dały i skończył tak, jak na to zasłużył - rzuciła na widok Bugaja.

- Nie ma jeszcze nawet pewności, że ofiarą jest Wojciech Wolski - powiedział.

- A niby kto? Na wózku to tu tylko on jeździł! Jest jeszcze młoda dziewczyna ze stwardnieniem rozsianym i ten chemik, ale...

- Pani Alino, nie spekulujmy, okay? - Krzysztof wszedł jej w słowo i zapytał o kawę.

- Automat jest w korytarzu, korzystać trzeba - mruknęła gospodyni, najwyraźniej niezbyt zachwycona zmianą tematu. - Ta jej matka to do dziś oczy wypłakuje, biedula! Ciało dalej nie znaleziono, nikt nic nie wie, jak żyć? - dodała, uparcie wracając do interesującego ją wątku.

- A na śniadanie mogę liczyć? Dopłacę - mruknął Bugaj.

- Śniadania dla gości serwuję tylko w sezonie. Teraz to ja odpoczywam - oznajmiła gospodyni, znikając w kuchennych drzwiach.

Świetnie, skrzywił się Krzysztof, wracając na górę. Pysznic wziął niemal ekspresowy, bo ledwo letnia woda nie zachęcała do dłuższych ablucji. Po wyjściu z pensjonatu, kiedy smagany deszczem biegł w stronę audi, pomyślał o matce zaginionej

nauczycielki. Nie znał jej zbyt dobrze. Kobieta mieszkała w drugiej części miasteczka i rzadko pokazywała się w centrum. Domyślał się jednak, że nadal przeżywała dramat – ciała jej córki nigdy nie znaleziono, nie udało się również wskazać winnego. Powinienem do niej wpaść, pomyślał Bugaj. Powiedzieć, że ten skurwiel Wolski właściwie przyznał się do zabójstwa Agnieszki, podnieść ją jakoś na duchu.

Nie znalazł w sobie jednak na tyle odwagi, żeby odbyć rozmowę z matką zaginionej lata temu dziewczyny, więc zjechał w stronę komendy i zaszył się u siebie, przez całe przedpołudnie przeglądając notatki dotyczące sprawy Aleksandry Fabianowicz. Nie znalazł jednak niczego, czego już wcześniej by nie wiedział, i zniechęcony wyszedł z pokoju, decydując, że rozmówi się w końcu z ordynatorem Rózańskim. Co prawda kilka dni wcześniej dwukrotnie rozmawiał już z nim Kiciuś, ale Bugaj świetnie wiedział, że niezapowiedziana wizyta policji niejednemu dość skutecznie podniosła ciśnienie.

Idąc wybrukowanym kolorową kostką podjazdem, Krzysztof układał sobie w głowie listę pytań, które powinien zadać. Otoczona wysokimi iglakami, nowoczesna willa z przeszkloną frontową ścianą, z pewnością była jedną z najdroższych nieruchomości w okolicy – na podjeździe cicho szemrała fontanna; czujne oko zainstalowanej nad wejściem kamery śledziło każdy jego krok. Mijając zaparkowane przed garażową bramą czarne bugatti Veyron, Bugaj samymi opuszkami palców musnął maskę sportowego wozu i zerknął w stronę masywnych, dębowych drzwi, przy których czekał już na niego wyraźnie zaniepokojony gospodarz posesji, elegancki szpakowaty mężczyzna z krótko przyciętą siwą bródką i zaczesanymi do tyłu gęstymi włosami.

- To pana wóz? - Wchodząc na mokre od mżawki marmurowe schody, Krzysztof skinął głową w stronę bugatti.

- Od niedawna - powiedział właściciel z wyraźną dumą w głosie.

Bugaj zauważył, że facet jest mocno opalony, co czyniło z niego miłośnika jesiennych wypraw pod palmy, względnie bywalca jednego z okolicznych solariów.

- Raczej marny wybór na nasze polskie drogi. - Krzysztof nie mógł się powstrzymać od drobnej złośliwości, ale Różański tylko wzruszył ramionami.

- Jeżdżę nim okazjonalnie - mruknął, nie podejmując tematu.

- Przepraszam za najście - powiedział Bugaj, chociaż wcale nie czuł skruchy.

Stojący przed nim ordynator Rózański sprawiał wrażenie rozdrażnionego nagłą wizytą i Krzysztof pomyślał, że dzięki temu może zyskać nad nim przewagę.

- Proszę, niech pan wejdzie - rzucił profesor pozornie lekkim tonem, młodszy aspirant widział jednak, że jego zjawienie się nie było mu na rękę. - Jeśli chce pan zapytać o mojego syna, od razu mówię, że nadal nie mam pojęcia, gdzie w tym momencie przebywa.

- I nie niepokoi to pana, profesorze? - zapytał Bugaj, wchodząc za gospodarzem do olbrzymiego, pełnego książek gabinetu.

- Owszem. Wynająłem nawet detektywa, ale póki co niewiele wiemy...

- Niewiele, czyli ile? - zainteresował się Krzysztof, siadając w jednym z eleganckich skórzanych foteli stojących tuż przy olbrzymim, kamiennym kominku, w którym pomimo panującego na zewnątrz chłodu nie palił się ogień.

- Dowiedzieliśmy się, że nasz syn planował wyjechać do Szwecji, najprawdopodobniej jednak tam nie dotarł... Wiemy też, że w jego życiu musiało się wydarzyć coś traumatycznego, skoro rzucił uczelnię i z dnia na dzień wyprowadził się ze swojego studenckiego mieszkania - powiedział profesor cicho.

- A z tego, że znaleziono jego samochód, zdaje sobie pan sprawę? Biegli właśnie ustalili, że pojazd brał udział w potrąceniu pieszego.

- To o niczym nie świadczy! Ktoś mógł auto ukraść, ktoś...

- Panie profesorze, nie jest pan chyba aż tak naiwny? - parsknął Bugaj.

- To są czyste insynuacje, nic więcej! Być może mój syn nie ma nic wspólnego z wypadkiem Aleksandry!

- A pan? Może to pan tamtej nocy wsiadł za kierownicę?

- Przykro mi, ale muszę pana rozczarować. Tamtej nocy byłem w szpitalu i mam na to przynajmniej kilku wiarygodnych świadków.

- Ze szpitala można zniknąć na jakiś czas. Być może wymknął się pan z nocnego dyżuru, wsiadł w pozostawiony w pobliżu samochód, którego od dawna używał pana syn i...

- To auto od dawna było w Szczecinie! Używał go tylko i wyłącznie Konrad! Ja od miesiący jeżdżę nowym vanem, czasem wybieram się na przejażdżkę bugatti. Żona lubi sportowe wozy - powiedział Różański cierpkim tonem.

- Panie profesorze, pan wybaczy, ale nie czuję się przekonany. Do Szczecina nie jest aż tak daleko. Mógł pan pożyczyć auto od syna, mógł pan ukradkiem podjechać po nie nocą i...

- A pana zdaniem po co miałbym to robić?! Żeby wrobić w coś tak potwornego własnego syna?! - Ordynator, na którego twarzy pojawiły się brzydkie czerwone plamy, wyraźnie stracił panowanie nad sobą i podniósł głos.

- Miał pan romans z Aleksandrą Fabianowicz? - zapytał Bugaj, zmieniając temat.

- Chryste, ile jeszcze razy będę musiał odpowiadać na to nedorzeczne pytanie?! Pytał mnie już o to pana kolega, pytali na komendzie!

- Więc ja pytam jeszcze raz. Miał pan romans z Aleksandrą?

- Nie, do cholery! - Różański rąbnął pięścią w blat masywnego biurka i oskarżycielsko wyciągnął palec. - Mam dość tego waszego idiotycznego śledztwa i dość bezczelnych pytań, które nigdy nie powinny mi zostać zadane!

- Przykro mi, ale za to właśnie mi płacą. Za zadawanie ludziom pytań. I czemu to aż tak nedorzeczne? Z tego, co wiem, Aleksandra Fabianowicz była niezwykle atrakcyjną kobietą, która

w dodatku dość szczerze szafowała swoimi wdziękami - powiedział Bugaj złośliwym tonem.

- Więc może to pan miał z nią romans? - wypalił czerwony na twarzy Różański.

- Żałuję, ale nie. Słyszałem natomiast, że miał pan z nią jakieś zatargi. Personel twierdzi, że jej pan nie lubił...

- To w końcu ją posuwałem czy się z nią kłóciłem? - warknął lekarz.

- Jedno nie wyklucza drugiego - skwitował Bugaj, wygodniej moszcząc się w fotelu.

Chciał jeszcze coś dodać, kiedy w drzwiach gabinetu pojawiła się wysoka, szczupła blondynka z ciężką drewnianą tacą w dłoniach.

- Zaparzyłam kawę, są też orzechowe ciastka i piernik - powiedziała cicho.

- A prosiłem cię o kawę?! - ofuknął ją Różański.

Przerażona niespodziewanym wybuchem złości pracodawcy dziewczyna skuliła się w ramionach i wymamrotała przeprosiny.

- Myślałam, że pan profesor życzy sobie...

- To nie myśl! - huknął na nią Różański. - Postaw to na ławie i zabieraj się stąd! - dodał ostrym tonem.

- Kim pani jest? - zainteresował się Krzysztof, starając się zbyt otwarcie nie gapić w dekolt dość mocno opiętej granatowej sukienki.

- To Beata, nasza gosposia - mruknął Różański z wyraźną pogardą w głosie, a blondynka lekko się skrzywiła.

Najwyraźniej tytuł „gosposi” nie bardzo przypadł jej do gustu.

- A pani domu? Mógłbym porozmawiać z pana żoną? - zapytał Bugaj, śledząc wzrokiem zmierzającą w stronę drzwi Beatę.

- Maria źle się dziś czuje i w tym układzie...

- Przyzna pan, że sytuacja jest raczej poważna - wszedł mu w słowo Krzysztof.

Profesor niechętnie złapał za komórkę.

- Zejdź do mojego gabinetu - poprosił żonę, sięgając po ciastko.

Maria Różańska pojawiła się na dole jakieś pięć minut później i Krzysztof momentalnie zrozumiał, że nowo przybyła nie miała w sobie nic z gracji i powabu swojej gosposi. Była ciężka, wręcz masywna, z podpuchniętymi oczyma i brzydką, szarą cerą. Śledczy pomyślał, że kobieta ma coś z hipopotama, i z trudem powstrzymał cisnący się na usta złośliwy uśmieszek.

- Policja pyta, czy wiemy coś o Konradzie - powiedział profesor, kiedy pani domu usiadła na stojącej przy regale z książkami sofie.

- Nie, skąd. Przecież wiesz, że nie odzywał się od ponad dwóch tygodni...

- I nie dzwonił do pani, nie szukał kontaktu? - zapytał Bugaj, bezpardonowo wchodząc jej w słowo.

- Nie - odparła, nerwowo wyłamując palce.

Bugaj zauważył, że ma plaster na kciuku i brzydką bliznę po oparzeniu na prawej dłoni.

- Gorący olej? - zapytał.

- Słucham? - zdziwiła się, zanim dotarło do niej, o co policjant tak właściwie ją pyta.

- Tak. Będąc studentką, pracowałam w smażalni wujka - zreflektowałam się po chwili. - Oparzyłam się olejem i została mi blizna, ale dzięki temu poznałam przyszłego męża. Był wtedy ledwie stażystą, zaczynał akurat dyżur. Opatrzył mi rękę, a ja zaprosiłam go na kawę. - Zerknęła na siedzącego nieopodal profesora, ale na jej nalanej twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

Bardziej coś, co przypominało Bugajowi brzydki grymas

rozgoryczenia...

- Ma pani jakieś własne teorie? Co się mogło stać? Czy państwa synowi zdarzały się wcześniej takie ucieczki? - zmienił temat.

- Nie, skąd. Konrad to spokojny chłopak, cichy... Nigdy nie mieliśmy z nim żadnych problemów - powiedziała Maria Różańska, skubiąc lekko odklejony plaster na palcu.

- Potrafi pani powiedzieć, co łączyło państwa syna z Aleksandrą Fabianowicz? Czy kiedykolwiek był z nią związany? - zapytał.

- Związany? Z Aleksandrą? Przecież ta kobieta była od niego sporo starsza, na miłość boską! Mój syn ma dwadzieścia lat i nie musi sypiać z jakimiś podstarzałymi rozwódkami! Ona się puszczała z połową miasteczka, ale Konrad nigdy by nie...

- Przestaje mi się podobać ta rozmowa - wszedł żonie w słowo Różański i wstał zza biurka. - Pan wybaczy, ale nie zamierzam kontynuować tej dyskusji. Proszę wyjść i nie nękać nas więcej w podobnym stylu! Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, podam panu numer naszego prawnika - dodał lodowatym tonem.

- Rozumiem. - Bugaj również wstał i ruszył w stronę drzwi. - Jeśli nie mają państwo nic przeciwko, napiłbym się wody - dodał, mając nadzieję, że w kuchni uda mu się zamienić parę słów z atrakcyjną gosposią.

Niestety, profesor nie zamierzał się bawić w gościnnego gospodarza. Powiedział jedynie, że nie życzy sobie dalszego węszenia i nie zatrzymując się nawet na chwilę przy prowadzących najpewniej do kuchni schodach, odprowadził niezapowiedzianego gościa prosto do frontowych drzwi.

- I proszę tu więcej nie wracać! Nie w taki sposób, nie z tymi wszystkimi insynuacjami, które pan snuje! Mój syn nie zabił tej kobiety, słyszy pan?!

- Samochód pana syna...

- To tylko samochód! Ktoś mógł go ukraść, ktoś mógł go pożyczyć, ktoś...

- Gdzie w takim razie jest pana syn? Skoro niczego nie ma na sumieniu, czemu się ukrywa? - zapytał Bugaj.

Różański nie odpowiedział. Otworzył jedynie furtkę i bez słowa pożegnania wypuścił intruza za bramę.

- Będziemy w kontakcie - rzucił Krzysztof, wyjmując z kieszeni kluczyki.

Wsiadał do auta, kiedy kątem oka zauważył przyglądającą mu się gospozię. Z narzuconą na ramiona kurtką, dziewczyna stała na jednym z balkonów i paląc papierosa, obserwowała ich pożegnanie. Gdy skinął jej głową, spieszyła się i czmychnęła do środka. Zastanawiał się, jakim cudem nigdy nie widział jej w miasteczku, kiedy odezwała się jego komórka.

- Arek, cześć, chłopie! - Na widok numeru syna wyraźnie się ożywił.

Chłopak nie miał mu jednak do powiedzenia niczego osobistego. Zapytał jedynie, czy przyjedzie do szpitala po Annę, która miała kolejną wizytę u lekarza, i dodał, że jeśli nie da rady, matka zawsze może wziąć taryfę.

- Będę za jakiś kwadrans - obiecał Krzysztof.

Okazało się jednak, że jego żona miała inne plany.

- Czekaaj, tato... Nie, mama mówi, że jednak woli jechać taksówką - powiedział Arek i nie żegnając się z ojcem, przerwał połączenie.

- Nie to nie - mruknął Bugaj, chowając telefon do kieszeni.

I chociaż wmawiał sobie, że krótka rozmowa z synem zupełnie go nie obeszła, jeszcze przez kilka dobrych chwil czuł się dziwnie wytrącony z równowagi. Dawniej Anna nawet kroku bez niego nie zrobiła. Teraz już go nie potrzebowała... I chociaż wiedział, że

między nimi nie ma już mowy o jakimkolwiek porozumieniu, czuł się fatalnie. Odszedł od niej, rozwalił własną rodzinę. Ale mógł ją chyba podrzucić do domu? Czemu robiła wszystko, żeby na dobre odciąć go od syna? Z zemsty? Z czystej złości? Bo niespodziewanie zrobiła się taka cholernie samodzielna?

Nagle zdecydował, że i tak tam pojedzie. Miał chyba prawo pogadać z Arkiem?! Niestety zabrakło mu dosłownie kilku chwil. Gdy podjeżdżał pod szpital, zza ciężkiej metalowej bramy kliniki wyjechała beżowa taksówka z jego żoną i synem w środku. Przez chwilę jechał tuż za taryfą, jakby sama bliskość rodziny w jakiś sposób go pocieszała. W końcu skręcił w stronę portu i zaparkował w pobliżu Kapitana. Skoro nie było nikogo, komu jest potrzebny, znajdzie kogoś, z kim przynajmniej się napije, zdecydował, wysiadając na deszcz.

34

Dochodziła piętnasta. Na zewnątrz, za oknem, prószył pierwszy w tym roku, drobny śnieg. Krzysztof siedział nagi, oparty plecami o chropowatą, ceglana ścianę - jedna noga zgięta w kolanie, druga prosta. Głowa lekko odchyłona w tył, oczy półprzymknięte. Szorstki mur nieprzyjemnie ocierał jego plecy, ciągnący od podłogi chłód przyprawiał o dreszcze. Rozmasował ramiona, mając nadzieję, że odrobinę się rozgrzeje.

- Nie ruszaj się! - upomniała go Dominika.

Otworzył oczy i spojrzał na kochankę. Siedziała na wpół osłonięta ustawionym na drewnianej sztaludze obrazem, ze spiętymi byle jak włosami, w śmiesznych wełnianych skarpetach w renifery, z wsuniętymi w bambosze stopami. Kaptcie miały pompony; lewy był naderwany i zwisał niczym sponiewierane przez niesforenego dzieciaka ucho starego pluszowego miśka.

- Zamarzam - mruknął.

Nie odpowiedziała. Włożyła do ust pędzel i wyraźnie rozbawiona, potrząsnęła głową.

- Kiedy wspomniałaś, że mnie namalujesz, nie sądziłem, że będę musiał przez tyle czasu tkwić pod tą lodowatą ścianą - dodał.

- Poczujesz się przyparty do muru? - Wyjęła z ust pędzel i naprędce domalowała coś czerwoną farbą.

Obserwując ją, zauważył, że kiedy maluje, leciutko wysuwa sam koniuszek języka. To samo robił kiedyś jego syn, ale chyba dawno z tego wyrósł.

- Siedź bez ruchu, do cholery! - syknęła, kiedy zmienił pozycję.

Zdrętwiała mu noga, ale bał się ponownie poruszyć. I tak został już okrzyknięty najgorszym modelem stulecia. Przez kolejny kwadrans dziewczyna wciąż go malowała, w milczeniu nanosząc na płótno brakujące detale, w końcu wstała z taboretu i mrużąc oczy, przyjrzała się swojemu dziełu.

- Mogę już zobaczyć? - zapytał Bugaj, wstając.

Mrowienie w łydce ustało, było mu za to coraz zimniej.

- Pozwoliłam ci się ruszyć? - zażartowała, rzuciła mu jednak pled. - Otul się, chłodno tu...

Z pachnącym kwiatowo kocem na ramionach podszedł do niej i przyciągnął do siebie.

- Pieprzyć cię, to dopiero jest zabawa, ale pozować ci... - powiedział, wdychając zapach jej długich, ciemnych włosów.

Roześmiała się.

- Zdejmij ten koszmarny sweter - mruknął, rozpinając nieprzyjemnie szorstki stary kardigan, który narzuciła na kusą satynową koszulkę w maki.

Zrzuciła sweter na upaćkaną tysiącem kolorowych plam po farbie drewnianą podłogę i obróciła się twarzą do niego.

- Byłam pewna, że już nie zadzwonisz - powiedziała. - Tak długo dojrzywałeś do tej decyzji, czy po prostu byłeś zajęty?

- Może lubię poczekać na to, co dobre? - odpowiedział pytaniem.

- Droczysz się ze mną? W takim razie najpierw obiad, później zabawa. - Roześmiała się, zakładając za ucho niesforny ciemny kosmyk.

Jej lekko kręcone, lśniące włosy przypominały mu loki poznanej kiedyś w Bolonii stewardesy, z którą kochał się w lotniskowej toalecie. Tyle że tamta była Hiszpanką z Malagi i chyba

przekroczyła już czterdziestkę.

- O czym myślisz? - zapytała Dominika, wyjmując z szafki patelnię.

- Raczej o kim - sprecyzował.

Powiedziała, że to marna odpowiedź, ale nie drążyła tematu.

- Ugotuj makaron - poprosiła jedynie, podając mu napoczętą paczkę grubych nitek.

Spaghetti upichcili z tego, co znaleźli w niemal pustej lodówce. Czerwona papryka, tuńczyk, resztkę przecieru i koszmarne podeschnięty żółty ser, którego resztkę Krzysztof utarł na tarce - tyle im wystarczyło, żeby zaspokoić pierwszy głód. Nieco cierpkie czerwone wino Dominika rozlała do wysokich szklanek; kieliszków nie miała.

Dojadali, kiedy za olbrzymim, sięgającym podłogi oknem całkowicie zapadł zmierzch.

- Lubię, kiedy sypie - powiedziała, przyglądając się wirującym w świetle ulicznej latarni płatkom.

- Lubię, kiedy jesteś naga. - Zsunął z jej ramion cieniutkie ramiączka satynowej koszulki w maki.

Kochali się na szerokim łóżku ze zmiętą lawendową pościelą; później, nadzy i spoceni, jeszcze przez dłuższy czas leżeli w ciszy i ciemności, ciesząc się niespodziewaną bliskością.

- Pomyślałabyś, że władujemy się w romans? Tamtej nocy, na szosie, kiedy się spotkaliśmy... - powiedział, pisząc palcem esy-floresy na jej nagich plecach.

- To akurat było dla mnie oczywiste. Sposób, w jaki na mnie patrzyłeś, jakbyś dosłownie pożerał mnie wzrokiem...

- Może patrzę tak na wszystkie piękne kobiety? - mruknął, całując ją w ramię.

- Może... - Uśmiechnęła się leciutko.

Odgarnął włosy z jej policzka i wsunął w nie dłoń.

- Jesteś piękna - powiedział.

- Bardzo wyszukany komplement - roześmiała się.

- Wybacz, z czasem robię się coraz mniej oryginalny.

- Zmęczenie materiału - skwitowała.

- Skąd ta blizna? - zapytał, gładząc jej łokieć.

- Spadłam z roweru prosto na potłuczone szkło. Był koniec maja, powietrze dosłownie buchało zapachem bzów... Matka wysłała mnie, żebym poszukała ojca, i wylądowałam w dość nieciekawej okolicy. W podwórzu, w którym się przewróciłam, pili jego kumple, ale taty z nimi nie było. Ten, którego od dziecka nazywałam „wujkiem”, zaprowadził mnie do piwnicy, gdzie mój pijany jak bela ojciec odsypiał kilka godzin chłania. Pamiętam, że przeraźliwie cuchnął wymiocinami i miał paskudnie rozcięty policzek. Krew na jego jasnej koszuli strasznie mnie przerażyła. Zaczęłam płakać i nie mogłam się uspokoić. Miałam niecałe sześć lat i nie byłam gotowa na taki widok, ale wujek powiedział, żebym się przyzwyczajała. „To właśnie robi z człowiekiem wódka, cukiereczku”, powtórzył kilka razy, zanim zabrał mnie z powrotem na górę. Trzy miesiące później ojciec trafił na kolejny odwyk, z którego już nie wrócił. Powiesił się w przyszpitalnym baraku, a oni nie potrafili nawet powiedzieć, że jest im przykro! Takie były czasy, taka znieczulica. Dziś mama pewnie pozwałaby pieprzony szpital i doczekała się przeprosin. Wtedy tacy jak on byli jedynie nikomu niepotrzebnymi śmieciami, bez żadnych praw, nawet bez prawa do życia - powiedziała cicho.

- Przykro mi, naprawdę. - Krzysztof przysunął się bliżej i wtulił w jej plecy.

W pokoju nadal było chłodno, ale nie czuł już zimna. Leżeli jeszcze przez dłuższą chwilę, w końcu powiedział, że powinien się

zbierać.

- Myślałam, że zabierzesz mnie dziś na tańce - powiedziała z uśmiechem, siadając na łóżku.

Chwilkę później zapaliła niewielką lampkę i pokój zalało przyjemne, bursztynowe światło. Bugaj zerknął w stronę odsłoniętego okna.

- Co, boisz się, że ktoś nas podejrzy? - zażartowała.

Pocałował ją w kark i leciutko klepnął w pośladek.

- Muszę lecieć, kotku.

- Szkoda - powiedziała, nie zrobiła jednak nic, żeby go zatrzymać.

Kiedy się ubierał, zapaliła papierosa.

- Zobaczymy się jutro? - zapytał, zakładając dzinsy.

- Nie wiem, zależy... Mam sporo pracy.

- Malujesz na zamówienie?

- Mówiłam ci już, robię wszystko, żeby zarobić.

- Wszystko, to dość szerokie pojęcie - powiedział Bugaj, zapinając pasek od swoich znoszonych, nieco zbyt luźnych spodni.

- Prawie wszystko. Lepiej brzmi?

- Zdecydowanie - mruknął, sięgając po kluczyki.

- Piłeś - przypomniała mu.

- Niecałe pół szklanki wina. Gdybyś miała kieliszki, wypiłbym jeszcze mniej. - Mrugnął do niej.

- Wytlukły się w Sylwestra. - Wzruszyła ramionami, strząsając popiół z papierosa do szklanki po winie.

- Robiłaś domówkę?

- Owszem, spontaniczną imprezę dla poznanych niedawno w klubie nieznajomych.

- Niech zgadnę. Wśród nich był postawny wysoki facet, z którym gdzieś tak nad ranem wylądowałaś w łóżku?

- A co? Jesteś zazdrosny? - zapytała, unosząc się na łokciu.
 - Niespecjalnie - mruknął, zakładając skarpetki.
 - To kamień z serca. A już bijąc się w piersi, miałam ci wyznać, że jestem mężatką - roześmiała się.
 - A jesteś? Czy tylko się ze mną droczysz?
 - Jestem. Ale mój mąż zawsze wolał towarzystwo pańienek, które poznawał podczas swoich biznesowych wycieczek. - Wzruszyła ramionami.
 - Czeka, czeka. Ale chyba nie powiesz, że gość tu z tobą mieszka?
 - Nie, już nie. Wyniósł się końcem sierpnia i raczej nie wróci...
 - Raczej?
 - Co mogę powiedzieć? Życie nauczyło mnie, że nic nie jest pewne.
 - Oprócz śmierci i podatków - mruknął Bugaj, zapinając koszulę.
 - Wyglądasz na zszokowanego - zauważyła, sięgając po zapalniczkę.
 - Bardziej zaskoczonego.
 - Zazdrosnego?
 - Może odrobinę - przyznał.
 - A ty? Masz kogoś na stałe? Żona? Narzeczona? Dziewczyna?
 - Z żoną niedawno się rozstałem, kochanka właśnie mnie wykopała, a dziewczyna... Cóż, na dziewczyny poluję jedynie w sezonie - zażartował.
 - Amator wakacyjnych romansów?
 - Wielbiciel opalonych pośladków.
- Roześmiała się, rzucając w niego ozdobną poduszką. Podszedł do łóżka, nachylił się nad nią i pocałował w czubek głowy.
- Zadzwoń - obiecał.

- Zadzwoń. - Sięgnęła po papierosy.

- Za dużo palisz - powiedział jeszcze, zanim ruszył w stronę wysokiego, wyciętego w ceglany murze łuku, który łączył pokój z przestronnym korytarzem.

Dominika nie odpowiedziała. Zapaliła papierosa i bawiąc się trzymaną w dłoni zapalniczką, zaciągnęła się dymem.

Kiedy wychodził z pokoju, nie wstała, żeby odprowadzić go do holu i zamknąć za nim drzwi. Spodobało mu się to, nawet bardzo. Może dlatego, że miał ostatnio dość nachalnych, zaborczych kobiet?

Był w drodze do samochodu, kiedy rozdzwoniła się jego komórka. Na widok numeru syna poczuł niepokój. Czyżby coś niedobrego działo się z Anną? - wystraszył się. Okazało się jednak, że Arek chciał od niego pożyczyć pięć stówek i mamrocząc coś o tym, że nie wie, kiedy odda, poprosił o jak najszybsze spotkanie. Jeśli chodzi o kasę, zawsze jestem mu potrzebny, pomyślał Krzysztof. Obiecał jednak synowi, że podrzuci mu te pięć setek następnego dnia rano, i poczuł się niemal świetnie. Młody mógł się na niego boczyć, ale wciąż go potrzebował. A on zrobi wszystko, żeby pokazać mu, jak dobrym i oddanym potrafi być ojcem... Uśmiechnął się pod nosem, zmiatając śnieg z przedniej szyby audi.

W niewielkim wąskim pokoju, szumnie zwanym garderobą, było niemal całkiem ciemno. Jedyne wpadająca z korytarza bursztynowa poświata zapalonej tam lampy dawała odrobinę światła. Anna zmieniła przepaloną żarówkę, przy okazji niemal spadając z taboretu. Od powrotu ze szpitala stale kręciło jej się w głowie. Podejrzewała, że to przez leki, którymi ją faszerowano... Pudełko z bożonarodzeniowymi lampkami znalazła pod starymi zmechaconymi swetrami Krzysztofa, które mąż po prostu zostawił. Do świąt brakowało ponad dwóch miesięcy, mimo to Anna wyjęła światełka i ozdobiła nimi złoconą ramę olbrzymiego lustra w salonie.

- Mamo? Co ty robisz? - Arek zszedł na dół, kiedy niemal z dziecięcą radością przyglądała się swojemu migoczącemu na niebiesko dziełu.

- Tak jest o wiele przytulniej, nie sądzisz? - zapytała.

- To są lampki na choinkę - wymamrotał zaskoczony niecodziennym widokiem chłopak.

- I co? Nie mogę ich zawiesić na lustrze?! - nagle wytrącona z równowagi, podniosła głos.

- Możesz, jasne - ugodowy jak rzadko kiedy, Arkadiusz zgodził się z matką i zapytał, czy ma ochotę na kolację.

Powiedziała, że nie jest głodna.

- Słuchaj, mógłbym dziś wyjść? - zapytał.

Obiecał co prawda ojcu, że będzie pilnował matki, z drugiej jednak strony nie może z nią przesiedzieć całego życia...

Uśmiechnęła się, poprawiając przekrzywiony kabel od lampek.

- Idź, jasne. Tkwisz tu ze mną któryś wieczór z rzędu - powiedziała lekkim tonem.

- Jesteś pewna? Czy sobie poradzisz i w ogóle? Czy...

- Synku, idź! Obejrzę coś w telewizji, napiję się kakao - weszła mu w słowo.

Zanim wyszedł, sprawdził apteczkę i wszystkie szuflady w dawnej małżeńskiej sypialni rodziców, ale nie znalazł niczego, nawet opakowania z aspiryną. Podczas pobytu matki w klinice na Klonowej ojciec wyrzucił albo wyniósł z domu wszystkie leki.

- Weź grubszą kurtkę! - krzyknęła jeszcze matka, zanim wyszedł na zadymkę.

Śnieg sypał któryś dzień z rzędu. Arek co rano starannie odśnieżał chodnik, starając się pokazać ojcu, że potrafi zadbać o dom.

Anna obserwowała go przez kuchenne okno, dopóki nie zniknął jej z oczu za zakrętem.

Wtedy wyjęła schowaną w spizarce butelkę wiśniówki i zrobiła sobie drinka. Wiedziała, że nie powinna łączyć alkoholu z lekami, ale miała to gdzieś. Na myśl o tabletkach skrzywiła się. Pigułki podawał jej syn, jakby nawet on już jej nie ufał...

Do północy oglądała stare filmy i nieco sportu. Później zasnęła przed telewizorem okryta starym, wełnianym pledem, który lata temu przywieźli z Krzyśkiem ze Szwecji. Obudził ją dźwięk przychodzącego SMS-a. Sięgnęła po telefon pewna, że to syn. Chce mi dać znać, że zostanie u kolegi, pomyślała. Jednak wiadomość nie była od Arka. Pisał Filip, chciał wiedzieć, czy wyszła już ze szpitala i może wyjść na zewnątrz.

Jestem przed Twoim domem - przeczytała.

Wsunęła stopy w kaptcie i zarzuciła na ramiona znaną

w przedpokoju kurtkę Krzysztofa.

Czaplicki czekał na nią przy furtce, niespokojnie rozglądając się dookoła. Wyglądał na przemarzniętego i dziwnie podenerwowanego.

- Wejź, strasznie zimno! - ponagliła go, kiedy wyszła przed dom.

- Jesteś sama? - upewnił się, mimowolnie zerkając w stronę okien należącego do Arkadiusza pokoju.

- Tak.

- To dobrze - powiedział z wyraźną ulgą w głosie.

Chwilę później poślizgnął się i niemal runął, w ostatnim momencie łapiąc się płotu.

- Piłeś? - zdziwiła się Anna, kiedy weszli do środka.

Nigdy nie widziała go pijanego, ale teraz wyraźnie się zataczał. Nie odpowiedział, wzruszył tylko ramionami i strzepał z kurtki śnieg. Wzięła ją od niego i powiesiła w przedpokoju na drewnianym wieszaku, który po odejściu Krzysztofa wydawał jej się upiornie pusty.

W kuchni, czując się zaskakująco swobodnie, były duchowny zaparzył dzbanek kawy i sięgnął po garnuszki.

- Martwiłem się o ciebie - powiedział. - Nawet mi nie napisałaś, że już cię wypuścili...

- Nie mam już cukru - zmieniła temat.

- To nic, wypiję bez... Jak się czujesz?

- Normalnie.

- Chcesz kawy?

- Nie.

- Myślałaś o mnie czasem? - zapytał nagle Czaplicki zaskakująco miękkim, niemal aksamitnym głosem.

Poczuła przyływ dziwnej tęsknoty za bliskością, której tak

bardzo jej brakowało, i zrobiła niepewne trzy kroki w jego stronę.

- Filip, myślisz, że moglibyśmy...

Nie dokończyła. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku. Był gładko ogolony i przeszło jej przez myśl, że zrobił to dla niej. Chwilę później, pod wpływem nagłego impulsu, pocałowała go w usta. Nie oddał jej pocałunku, wręcz przeciwnie. Stęzał, jakby jej dotyk był dla niego czymś wręcz ohydny, po czym delikatnie ją odsunął.

- To marny pomysł. Wiesz o tym, prawda? - powiedział.

Z niedowierzaniem potrząsnęła głową, jakby chciała strącić z siebie resztki koszmarnego snu. Bo tak właśnie się czuła, jakby śniła koszmar...

- Przyłazisz tu w środku nocy, jesteś podпиты i skamlesz o moją uwagę, a kiedy chcę czegoś więcej, odtrącasz mnie?! - krzyknęła.

Powiedział, że jest zbyt krucha emocjonalnie, żeby mógł zaryzykować.

- Krucha emocjonalnie?! Co ty pierdolisz?! Marioli Zyzik jakoś nie odmówiłeś, co?! A może ta stara krowa nie była zbyt krucha emocjonalnie?! - wrzasnęła.

Czaplicki pobladł, wyraźnie zszokowany jej wulgarnością.

- Tak, widziałam was! Z nią poszedłeś na całość, chociaż to ze mną łączy cię ponoć coś szczególnego! Wynoś się stąd i więcej nie wracaj! Jesteś zwykłym manipulantem, cwaniakiem i dupkiem! - Oskarżycielsko wyciągnęła w jego stronę palec, z trudem powstrzymując się, by nie walnąć go w twarz.

Cofnął się, patrząc na nią z jawną wrogością.

- Co?! Nic nie powiesz?! Nie wytłumaczysz mi, jakie to czyste i piękne uczucie połączyło cię z kobietą, która kilka dni później została zamordowana?!

- Trzymaj język za zębami, słyszysz? - syknął.

- Grozisz mi?!

Nie odpowiedział, tylko minął ją bez słowa i po chwili usłyszała cichy odgłos zatrzasnkujących się frontowych drzwi.

Oparła się o ścianę, starając się uspokoić rozszalałe serce. Przez chwilę zdawało jej się nawet, że wszystko to sobie wyobraziła. Jednak stojący na kuchennym blacie garnuszek z niedopitą kawą i mokre ślady pośniegowego błota na płytkach mówiły same za siebie. Ten popapwany skurwiel naprawdę przyszedł do niej w środku nocy, chyba tylko po to, żeby kolejny raz ją upokorzyć! Na nogach jak z waty ruszyła w stronę gościnnej łazienki. Żyletka musi wciąż być za doniczką z kaktusem, Krzysztof nigdy tam nie zagląda, pomyślała. Kiedy jednak po nią sięgnęła, nic nie znalazła.

Zaczęła krzyczeć:

- Szlag by to wszystko trafił! Kurwa mać! - Kopnęła wiklinowy kosz, z którego wypadł komplet przygotowanej do prania pościeli.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała na obramowaniu wanny, zalewając się łzami. Dopiero kiedy usłyszała wchodzącego do domu Arka, otarła oczy i jakoś się uspokoiła. Syn przez dłuższą chwilę kręcił się po kuchni, w końcu poszedł na górę i w domu zapadła cisza. Anna na palcach wróciła do salonu i zrobiła sobie kolejnego drinka.

Zasnęła dopiero nad ranem, jednak leżąc bezsennie, podjęła pewną decyzję. Nie będzie dłużej go usprawiedliwiać, a już na pewno nie będzie trzymać języka za zębami, obiecała sobie.

Do Krzysztofa zadzwoniła tuż po siódmej rano. Obudził ją, ale nie miał jej za złe. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie wyraźnie zaniepokojonego jej telefonem.

- Spokojnie, nie nałykałam się prochów, jeśli o to chciałeś zapytać - rzuciła zjadliwym tonem.

- Czemu rozmawiamy w ten sposób? - zapytał cicho.
- Pracowałeś na to przez długie lata - odparła nieprzyjaźnie.
- Anka, proszę cię...
- Nieważne. Muszę z tobą pogadać. Wpadnij do mnie do sklepu, najlepiej po piętnastej - poprosiła.

W słuchawce zapadła niezręczna cisza.

- Chodzi o Arka? Ma jakieś problemy? - zapytał w końcu Bugaj.
- Nie - ucięła dyskusję.
- Okay, rozumiem. Nie chcesz gadać przez telefon. Będę u ciebie koło szesnastej.
- Do zobaczenia w takim razie - pożegnała się z nim oschłym tonem i nie czekając, aż mąż jej odpowie, przerwała połączenie.

36

Kiedy parkował w centrum, zbliżała się szesnasta czterdzieści. Bugaj świetnie wiedział, że Annę zawsze wyjątkowo drażniły jego spóźnienia, ale ciężko mu było wyrwać się wcześniej z komendy. Mijając należący do Igi Melke salon foto, przelotnie pomyślał o prokurator Ninie Morawskiej. Nadal nie miał pewności, jednak im dłużej o tym myślał, tym bardziej skłaniał się ku teorii, że obie panie zafundowały sobie coś więcej niż zwyczajową babską przyjaźń.

Sklep Zwierzaki Anki nadal był otwarty. Krzysztof pchnął ciężkie, oszklone drzwi i wszedł do żoninego królestwa.

- Cześć! Daj mi chwilkę, okay? - Pochylona przed monitorem Anna pomachała mu, dodając, że na zapleczu jest świeżo zaparzona kawa.

Ściągnął kurtkę i rzucił ją na stojące przy biurku Anny plastikowe krzesło. Charakterystyczny odór zwierząt zawsze mu przeszkadzał, a tego dnia niemal przyprawił go o mdłości. Zerknął w stronę terrariów i mimowolnie się wzdrygnął. Nienawidził węży! Sam ich widok przyprawił go o ciarki. *Ahaetulla prasina*, *Ahaetulla nasuta*, *Epicrates angulifer*... łacińskie nazwy z pozawieszanych przy terrariach opisów migwały mu przed oczyma. Na gady starał się nie patrzeć, nie mógł znieść widoku ich śliskich, opasyłych tułowi. Pośród wijących się za oszklonymi szybami cielsk, niewinnie wyglądający pomarańczowo-biały wąż w paski wydał mu się niemal ładny.

- *Lampropeltis ruthveni* - *Albino* - przeczytał, z ciekawością

przyglądając się zwierzęciu.

- Zamówiony na szesnaste urodziny najmłodszego syna Kasprzyckich - mruknęła Anna, zapisując coś w wyświechtanym notesie.

- Czasem wyobrażam sobie, że wszystkie te przez lata przez ciebie zamawiane gady wypełzną z terrariów i zaleją to przekłete miasteczko...

- Za dużo horrorów oglądasz - mruknęła Anna, zbierając włosy w kitkę.

Krzysztof chciał coś dodać, kiedy do sklepu weszła matka z na oko pięcioletnią córką. Obie miały na sobie króciutkie czerwone płaszcze i wyglądały niczym żywcem wyjęte z jakiegoś ekskluzywnego katalogu z odzieżą.

- Chomiczek! - Dziewczynka wyrwała się trzymającej ją za rękę matce i z piskiem radości rzuciła się w stronę klatek.

Bugaj uśmiechnął się do młodej kobiety, która posłała mu zalotne spojrzenie.

- Jeśli się pani zdecyduje, będziemy na zapleczu - powiedziała Anna bez cienia uśmiechu.

Zawsze była o mnie zazdrosna, pomyślał Bugaj, zaraz jednak poczuł się fatalnie. W ciągu tych wszystkich lat ich małżeństwa zrobił już żonie wystarczająco dużo świństw...

- Możemy też sprowadzić królika albo świnkę morską.

- Nie, nie. Tylko oglądamy - powiedziała klientka, łapiąc córkę za rączkę. - O chomiczku porozmawiamy przed świętami, dobrze?

- zwróciła się do dziecka.

Mała nie wyglądała na zachwyconą obrotem spraw, jednak skuszona wizją wizyty w McDonalddie bez dalszych protestów dała się wyprowadzić ze sklepu.

- To o czym chciałaś ze mną pogadać? - zapytał Krzysztof, kiedy

usiedli na zapleczu.

- Wiedziałaś, że Filip Czaplicki miał romans z Mariolą Zyzik? - zapytała prosto z mostu.

- Co? - Bugaj niemal oblał się kawą.

- To co słyszałaś. Przyłapałam ich którejs nocy, składając mu niezapowiedzianą wizytę. Różnęła się z nim w stodole, dokładnie w miejscu, gdzie zazwyczaj zasiada, prowadząc te swoje, pozał się Boże, modlitewne spotkania - dodała Anna.

- Żartujesz? Anka, jesteś pewna?

- A jak myślisz?! Mam wiele problemów, ale wzrok zawsze mi dopisywał. Widziałam ich, Krzysiek, i to tak wyraźnie, jak teraz widzę ciebie! Nie wiem, czy to był jednorazowy numer, czy coś łączyło ich od dawna, ale tamtej nocy Filip uprawiał ostry seks z kobietą, którą niedługo potem znaleźliście martwą!

- Myślałem, że się z nim przyjaźnisz... Byłem pewien, że wolałabyś odciąć sobie rękę niż powiedzieć pod jego adresem cokolwiek złego.

- To nie była przyjaźń, Krzysiek. I wybacz, ale nie potrafię ukrywać czegoś tak istotnego. Nie miałam pojęcia, czy o tym wiecie, ale...

- Dzięki, doceniam gest. Od początku był jednym z naszych podejrzanych, ale teraz... Kurwa, co za typ! - zaklął Bugaj, w pośpiechu dopijając kawę.

- Aresztujesz go? - zapytała cicho.

Drżał jej głos, ale Bugaj wolał się nie zastanawiać, czemu...

- Nie wiem. Póki co niczego na niego nie mam - powiedział tylko, w pośpiechu zakładając kurtkę.

Wychodząc na zewnątrz, postanowił, że od razu złoży Czaplickiemu wizytę. Tego wieczoru miało być u niego spotkanie modlitewne, więc eksklecha powinien się szykować do wizyty

bożych owieczek.

Na miejsce dotarł kilka minut później, tym razem jednak nie zostawił samochodu na poboczu, ale podjechał niemal przed same drzwi. W budynku mieszkalnym było ciemno. Jedyne słabe światło dochodziło zza uchylonych drzwi modlitewnej stodoły, jak w myślach Bugaj nazywał skleconą z desek samotnię Czaplickiego. Wszedł do środka, zaciskając wilgotne od potu palce na kolbie służbowej broni.

- Kurwa! - Na widok leżącego w kałuży krwi byłego duchownego, Bugaj rzucił się na kolana, sprawdzając puls ofiary.

Nic... Nie żył albo oddychał tak płytko, że nie potrafił tego wyczuć. Rozejrzał się, penetrując wzrokiem ciemne kąty słabo oświetlonej stodoły. Sprawca mógł zbiec wcześniej, ale równie dobrze mógł się czaić w pobliżu. Śliskimi od krwi palcami sięgnął po telefon, szybko zdając sobie sprawę, że łatwo nie złapie zasięgu.

Beżowy sweter leżącego bez ruchu Czaplickiego był przesiąknięty posoką, krew krzepła na betonowym klepisku, gromadząc się w nierównościach spękanej podłogi.

Bugaj wstał i wyciągnął w górę rękę z telefonem, ale zasięgu nadal nie było. W końcu wybiegł na zewnątrz i znalazł miejsce, z którego udało mu się dodzwonić do dyspozytora.

- Potrafi pan ocenić, czy ofiara żyje? - zachrypniętym głosem zapytała pełniąca dyżur dyspozytorka pogotowia.

- Nie wiem, nie potrafię ocenić... Jest sporo krwi, on chyba nie oddycha, ale nie mam pewności. - Bugaj starał się mówić składnie, ale przychodziło mu to z trudem.

Zdziwiła go ta jego nazbyt emocjonalna reakcja. Widywał już przecież o wiele brutalniejsze scenerie i o wiele bardziej koszmarnie zmasakrowane ofiary. Czemu więc stał tu całkowicie

bezradnie, nie potrafiąc nawet zatamować krwi? A może nie było już kogo ratować? – myślał. Czekał na karetkę, obszedł dookoła stodołę i sprawdził dom, w którym nikogo nie znalazł. Przez cały ten czas usiłował przypomnieć sobie cokolwiek, czego nauczył się na kursie pierwszej pomocy, ale w głowie miał totalną pustkę. Zresztą, na jego oko, było już za późno...

Karetkę przyjechała dość szybko, ale dla Czaplickiego było już za późno.

- Nie żyje. Nóż przeciął tętnicę szyjną, najprawdopodobniej gość wykrwawił się, zanim pan go znalazł – stwierdził młody szatyn w kurtce z napisem „lekarz” i nie zwracając uwagi na stojącego obok Bugaja, ruszył w stronę ambulansu.

Policja zjawiała się chwilę później. Był to miejscowy patrol złożony z dwóch młodych chłopaków, których Bugaj widywał czasem w pubie Kapitan.

- Pan go znalazł? – zapytał niższy z nich bardzo oficjalnym tonem, chociaż kiedy razem pili, zwracał się do niego zazwyczaj per chłopie bądź Krzychu.

- Tak, jakiś kwadrans temu – przyznał Bugaj.

Zaraz potem zjawiała się Nina Morawska, a jej ciemnoczerwona terenówka wyraźnie odcinała się od wszechobecnej bieli świeżo spadłego śniegu.

- Czaplicki? – zapytała tylko, a kiedy Krzysztof potaknął skinieniem głowy, wyjęła z torebki telefon i zaczęła pisać SMS-a.

Wieczór spędzili w zajmowanym przez denata domu, gdzie Bugaj w nieskończoność odpowiadał na pytania ambitnej pani prokurator. W końcu tuż po dwudziestej pierwszej pozwoliła mu jechać, dając jednak do zrozumienia, że być może jeszcze będą musieli pogadać. Szedł w stronę samochodu, zastanawiając się, czy nie jechać do Dominiki, kiedy zadzwonił Kicius.

- Słuchaj, Bugi. Mamy u nas chłopaka, który twierdzi, że zaatakował byłego księżula. Złapał go kierowca busa, który przyuważył, że dzieciak zachowuje się dziwnie i dostrzegł krew na jego kurtce - powiedział Wojciech, kiedy Bugaj odebrał.

- Dzieciaka? O kim mówisz?

- To syn tej rozwódki, która prowadzi z bratem masarnię.

- Grzesiek Zięba? Przecież to straszny szczył, nie ma chyba nawet piętnastu lat - zdziwił się Bugaj.

- No, ale jak widać nożem już potrafi dziabnąć - mruknął Kiciński. - Wpadaj tu, to sam zobaczysz.

- Dobra, jadę. Daj mi parę minut. - Krzysztof wyjął z kieszeni kluczyki i szybkim krokiem ruszył w stronę auta.

Otwierał drzwi, kiedy zawołała go Nina:

- Słyszałam, że być może macie sprawcę - zagaiła, chuchając w przemarzniete dłonie. - Jedziesz prosto na komendę?

- Tak, od razu.

- Czekaj, pojedę za tobą.

Zauważył, że nieco zapuściła włosy. Zamiast charakterystycznego dla niej jeża, którego nosiła od lat, miała na głowie całkiem atrakcyjne cięcie „na chłopaka”. Pomyślał, że trochę przypomina młodą Mię Farrow w *Dziecku Rosemary*, i niemal parsknął śmiechem. Dosłownie przed momentem był świadkiem nieodwracalnego ludzkiego dramatu, a myśli o kinematografii?

Zaczęło sypać. Nina wyjęła kluczyki z eleganckiej lakierowanej torebki i powiedziała, żeby nawet nie myślał o rozpoczęciu przesłuchania bez niej.

- W takim razie do zobaczenia na dołku - rzucił, zostawiając prokuratorkę na wąskiej, pełnej podmarzniętych kolein drodze.

Kiedy dotarł na komendę, Kicius czekał na niego przy dyżurce.

- Gdzie ten dzieciak? - zapytał Bugaj, strzepując z włosów śnieg.

- Szczył jest nieletni, czekamy na opiekuna.

- Na ojca?

- Na brata matki. Ojciec ewakuował się z miasteczka dawno, dawno temu - powiedział Kiciński, a Krzysztof z trudem przypomniał sobie drobnego rudawego mężczyznę, który urządził w Kapitanie dzikie awantury i przepijał niemal wszystko, co zarobiła na prowadzeniu masarni jego żona.

- Gnojek zabrał ponoć z domu całe oszczędności i czmychnął do Niemiec - dodał Kiciuś.

Bugaj chciał coś powiedzieć, ale przed komendę podjechała Nina, więc ruszyli w stronę pokoju przesłuchań.

Grzegorz Zięba, niespełna piętnastoletni dzieciak, który przyznał się do zabójstwa Filipa Czaplickiego, siedział za stołem w pokoju przesłuchań i otwarcie płakał.

- To jak było, synu? - Bugaj położył mu rękę na ramieniu i poprosił o pełną wersję wydarzeń. - Nagrywamy to, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Jak na filmach - szepnął chłopak, wierzchem dłoni wycierając oczy.

- Potrafisz powiedzieć, czemu to zrobiłeś? - zapytała Nina Morawska, naprędce coś notując.

Bugaj obszedł stół, usiadł naprzeciwko nieletniego sprawcy i z rosnącym współczuciem przyjrzał się jego twarzy. Łzy na pucułowatych policzkach już obeschły, ale duże, jasne oczy chłopaka nadal były podejrzenie zaszkłone. O co poszło, do cholery? Czaplicki go molestował? Szantażował? Ale kto przy zdrowych zmysłach szantażuje piętnastolatka? - zastanawiał się Krzysztof.

- On chciał mnie zabić - szepnął Grzegorz Zięba.

- Filip Czaplicki chciał cię zabić? - powtórzył Wojciech Kiciński, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Tak. Zabił panią Zyzik, a później... Musicie mi uwierzyć, on chciał mnie zabić! - krzyknął chłopak, zrywając się z stołu.

- Siadaj! - Bugaj z powrotem podsunął mu krzesło i zerknął na Ninę, która przysłuchiwała się zeznaniu Zięby z takim samym zaskoczeniem.

- Teraz motyw, synku - rzucił Kiciński, bawiąc się długopisem.

- Pani Mariola nie chciała dłużej żyć. Była ciężko chora, skłócona z rodziną, a on jej powiedział, że Bóg się pomylił, że nie musi tak cierpieć.

- Kto, Czaplicki?

- Tak. Mówił, że to łaska. Że eutanazja powinna być legalna, że każdy ma prawo decydować o sobie. Nienawidziła swojej synowej, nie chciała zostawiać jej ani grosza. Powiedziała mu, że ma pięćdziesiąt tysięcy, a on obiecał, że zabije ją tak, że nawet nie zdąży się przestraszyć. Później zmieniła zdanie, ale on nie chciał się już wycofać.

- Zaraz, o czym ty mówisz? - przerwał chłopakowi jego siedzący dotąd w milczeniu wujek. - Czy ty też chciałeś...

- Tak. Filip obiecał, że nie będę już musiał znosić kolejnej operacji, że wszystko się niebawem skończy.

- Jesteś chory? - zapytała Nina Morawska z rzadkim jak na nią współczuciem w głosie.

- Tak. Guz mózgu, ponoć marnie umiejscowiony - powiedział chłopak. - Filip chciał zrobić zbiórkę na moje leczenie, a później... Wiem, że zabiłby mnie, jak tylko zebrałby kasę... Poszedłem do niego dzisiaj, żeby powiedzieć, że już tego nie chcę. Że chcę się cieszyć każdym dniem, jaki mi został, nawet jeśli czuję się fatalnie i nie mam już nadziei. Powiedział, że to niemożliwe. Że słowo się rzekło i nie mogę stchórzyć. Powiedział, że wycofując się, zdradziłbym panią Zyzik. Że ona się odważyła i ja też muszę. Zacząłem krzyczeć, że nie ma prawa o tym decydować, a on nazwał mnie mięczakiem. „Podjąłem decyzję!” - krzyknął, a wtedy ja wyjąłem nóż. Nie wiem, czemu go zabrałem, nie planowałem go użyć. Ale kiedy tak stał, bryzgając mi w twarz śliną, zobaczyłem w jego oczach szaleństwo. Mówił, że chce

pomóc, ale był po prostu chory. Zabił kobietę i ukradł jej oszczędności! Sam widziałem tę różową kosmetyczkę, w której trzymała kasę. A później chciał zabić mnie. O tamtym chłopcu też mi opowiadał...

- O jakim chłopcu? - zainteresował się Wojciech.

- O tym siedmiolatkę z Gdyni. Tym, którego ktoś zrzucił z klifu.

- Tym dzieciaku z rzadkim nowotworem krwi, którego zwłoki znaleziono na plaży w Orłowie? - upewnił się Kiciuś.

- Tak. Czaplicki go zabił. Dogadał się z jego ojcem. Facet miał już nową rodzinę i nie chciał płacić na leczenie chorego dziecka. Filip wziął od niego dwadzieścia tysięcy i obiecał, że nikt nigdy się nie dowie, co tak naprawdę zaszło.

- I faktycznie. Tamtejsza policja do tej pory podejrzewa, że chodziło o nieudane porwanie dla okupu. Byli pewni, że coś poszło nie tak i porywacz spanikował, zabijając dziecko - przypomniawszy obecnym Nina.

- Wiem, czytałem. Ale to Czaplicki zamordował tego chłopca - powiedział Grzegorz Zięba, przygryzając usta.

- Jak długo o tym wiesz?

- O dzieciaku z Gdyni? Kilka dni. Ale o pani Zyzik wiedziałem od początku. Najpierw nawet mi się to podobało, miałem Filipa za prawdziwego bohatera. Dopiero kiedy zginęła pani Zyzik, zrozumiałem, że to się dzieje naprawdę. Że on naprawdę tych ludzi zabija i że nie ma już odwrotu... Błagałem go, żeby o mnie zapomniał, ale nie chciał nawet słyszeć o zmianie planów. Mówił, że tam, gdzie pójdę, będzie mi lepiej, ale według mnie po prostu się bał, że za dużo wiem... - rozplakał się chłopak. - Ja wiem, że niedługo umrę, wujku - zwrócił się do siedzącego naprzeciwko brata matki. - Wiem to, ale chciałbym jeszcze chociaż przeżyć święta - dodał łamiącym się głosem.

Nina odwróciła głowę, zrobiła to jednak na tyle późno, że Bugaj zdążył zauważyć w jej oczach łzy. Przesłuchanie skończyło się przed północą – chłopak po raz kolejny przyznał się do zabójstwa i zdradził, w którym miejscu wyrzucił zakrwawiony nóż.

- Kurwa, Bugi, gdyby mi ktoś tę historię opowiedział, w życiu bym w to nie uwierzył – rzucił Kiciuś, kiedy wyszli na korytarz.

- Życie potrafi pisać naprawdę pochrzanione scenariusze – przyznał Krzysztof.

- Prawie jak z Almodóvara – mruknęła Nina.

- Wiele już w życiu widziałem, ale w to jakoś nie mogę uwierzyć. Koleś, który kiedyś był księdzem, z zimną krwią zrzucił z klifu siedmiolatka?! Dobrze, że chociaż skurwysyńskim tatuśkiem zajmie się prokurator! Gnój wydał wyrok na własnego syna! – wyrzucił z siebie Kiciński, zakładając kurtkę.

- Będą mu jeszcze musieli cokolwiek udowodnić – powiedziała Morawska.

Na zewnątrz wyszli ramię w ramię, a wyjeżdżając z parkingu, Nina zatrąbiła na pożegnanie i Bugaj skinął jej głową.

- Nasza Smoczyca chyba mięknie. Widziałeś łzy w jej oczach? – zadrwił Wojciech.

Bugaj nie odpowiedział. Rzucił tylko coś o tym, że pada z nóg, i ruszył w stronę swojego audi.

Do pensjonatu dotarł śmiertelnie zmęczony, ale zdołał przespać tylko trzy godziny. Przed szóstą, pomimo panujących na zewnątrz ciemności, wyszedł pobiegać. Zimne powietrze wdzierało mu się do płuc, kłując tysiącem lodowatych igieł, ale biegł, dopóki nie osunął się na zasypaną śniegiem ławkę. Zorientował się, że płacze, dopiero kiedy jedna z łez skapnęła na jego stare, szare spodnie.

- Kurwa, teraz będę się mazać? – mruknął pod nosem,

z zażenowaniem wycierając oczy.

Świadków jego kompromitacji nie było, ale i tak poczuł się idiotycznie. Ostatnio płakał chyba na pogrzebie kumpla, jakieś cztery, nie, zaraz, pięć lat wcześniej...

Do Mewy wrócił przemarznięty na kość i dziwnie zniechęcony. Czuł się tak, jakby nagle cały otaczający go świat zamienił się w przeraźliwie cuchnące szambo. Ludzkie dramaty, których od lat bywał świadkiem, osaczały go, zacieśniając uścisk, i pomyślał, że niedługo być może w ogóle nie będzie mógł swobodnie oddychać.

Wchodził na górę, kiedy zagadnęła go właścicielka pensjonatu. Otulona zbyt dużym frotowym szlafrokiem, w przydeptanych kapciach i wściekle zielonych wałkach na głowie, pani Alina prezentowała się tak samo marnie, jak on sam się czuł...

- Księdza ponoć ktoś zabił? - mruknęła, robiąc niedbały, pospieszny znak krzyża.

- Byłego księdza - sprecyzował Bugaj, przystając na półpiętrze.

- Ale kto? Wiedzą już coś u was, złapali drania? Boga nie ma na tym świecie przeklętym, czy jak? - lamentowała.

- Bóg czasem się myli - burknął Krzysztof, nie oglądając się za siebie.

Gospodyni coś tam jeszcze do niego mówiła, ale nie słuchał. Zastanawiało go jedynie, skąd ta stara plotkara już wie, co się stało wieczorem, ale nie miał zamiaru jej o to pytać. W pokoju zdjął kurtkę, padł na rozbebeszone po nieprzespanej nocy łóżko i niemal od razu zasnął w przepoconym dresie, z wilgotnymi od wysiłku włosami, śmiertelnie zmęczony i jednocześnie znacznie spokojniejszy.

Obudziła go dzwoniąca na podniszczonym nocnym stoliku komórka. Syn pytał, czy wpadnie do nich na obiad. Zdziwił się, z pewnością nie spodziewał się zaproszenia. Przyjął je jednak

z wdzięcznością, dawno nie miał w ustach domowego jedzenia.

Kilka godzin później zadzwoniła Anna i powiedziała, żeby się nie fatygował, bo wizyta jest nieaktualna.

- Arek chciał podstępem zebrać nas przy jednym stole, ale nie mam ochoty na żadne rodzinne pogawędki - powiedziała lodowatym tonem.

- Jasne, rozumiem. Zaraz do niego zadzwonię i pogadamy - powiedział Krzysztof, udając przed samym sobą, że decyzja żony w żaden sposób go nie rozczarowała.

Telewizor śnieżył. Bugaj, który koniecznie chciał obejrzeć mecz, rąbnął otwartą dłonią w obudowę starego odbiornika. Obraz zamigotał i rozmył się zupełnie. Po chwili powrócił, żeby znowu zniknąć, w końcu pojawiły się jakieś pasy i poirytowany Krzysztof wyłączył bezużyteczne pudło. Zawieszony nad drzwiami zegar wskazywał dwudziestą pierwszą i pomyślał, że mógłby wyskoczyć obejrzeć mecz w Kapitanie, ale nie chciało mu się ruszać z pensjonatu. W Mewie było co prawda chłodno, ale z zapasem whisky i kupionym w porcie sportowym magazynem był niemal gotowy na długi, samotny wieczór we wciąż obco wyglądającym pokoju.

Wychodził z niewielkiej sali rekreacyjnej, szumnie nazywanej przez panią Alinę salonikiem dla gości, kiedy w progu stanęła szczupła drobna kobieta w ciemnoszarej, wełnianej sukience.

- Dobry wieczór - powiedziała, otwarcie mierząc Bugaja wzrokiem.

Skinął głową, zastanawiając się, czy wracać na górę, czy zostać...

- Myślałam, że mieszkam tu sama - dodała z uśmiechem.

- Niespodzianka. Chociaż gdyby się tak zastanowić, nie jestem chyba idealnym towarzyszem na długie jesienne wieczory - odparł Krzysztof.

- A to czemu? - zapytała, zapadając się w jeden ze starych foteli ze sztucznej skóry.

Bugaj zauważył, że ma ładnie wykrojone usta i piękną śniadą

cerę, która nawet pośród tej przeklętej deszczowej jesieni nadawała jej skórze lekko bursztynowy koloryt.

Usiadł w fotelu obok i nie odpowiadając na jej pytanie, zapytał, czym się zajmuje. Powiedziała, że pracuje w Telewizji Szczecin i od razu wzmógł czujność. Dziennikarka! Nie miał pojęcia, czego mogła szukać w miasteczku, ale z całą pewnością nie chciał być tym, który cokolwiek jej zdradzi.

- Rozwodzisz się? - zapytała.

Roześmiał się, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

- Skąd taki wniosek? - zapytał.

- W przeciwnym wypadku nie mieszkałbyś tutaj... Samotny, z samochodem wyładowanym betami...

- Zaglądałaś do mojego auta?

- Wybacz, ale trudno nie zauważyć samotnie stojącego audi. - Uśmiechnęła się nieco złośliwie. - Klara.

Podawała mu rękę, którą chyba zbyt gwałtownie potrząsnęła.

- Krzysztof.

- Więc jak? Rozwodzisz się czy po prostu jesteś nietutejszy?

- Rozwodzę się - przyznał. - A ty? Panna? Mężatka?

- Panna. Nawet bardzo stara. - Mrugnęła do niego.

- Napijesz się czegoś? Mam na górze whisky - zaproponował.

- Chcesz mnie zwabić do swojego pokoju? - roześmiała się.

- Wygląda na to, że wszystko ku temu zmierza.

Powiedziała, że lubi whisky.

Na schodach wpadli na otuloną frotowym szlafrokiem właścicielkę, która zlustrowała ich wzrokiem, ale nie powiedziała nawet słowa.

- Zaczynam podejrzewać, że ona nigdy nie ściąga z grzbietu tego szlafroka - szepnął Krzysztof, kiedy otwierał drzwi.

Klara roześmiała się cicho, niemal konspiracyjnie, i weszła za

nim do środka.

- Masz nocną lampkę! - zachwyciła się. - U mnie nie ma...

- Jeśli będziesz grzeczna, to ci ją sprezentuję - powiedział Krzysztof, zapalając boczne światło.

Whisky pili prosto z butelki, bo nie miał kieliszków ani nawet szklanek. Myśląc o szklankach, przypomniał sobie pite z Dominiką cierpkie czerwone wino. Kiedy jednak Klara pocałowała go w usta, nie miał wyrzutów. W trakcie bolesnego rozwodu z Anną, tuż po rozstaniu z zaborczą Iwoną i perypetiach z Klaudią, nie miał ochoty na stały związek, miłosne deklaracje i inne bzdety.

- Smakujesz whisky - wymruczał, wsuwając palce w jej gęste kasztanowe włosy.

- Ciekawe czemu? - uśmiechnęła się, ściągając wełnianą sukienkę.

Dla kontrastu z ciemnoszarą wełną, jej bielizna była krwistoczerwona. Krzysztof wstał i pociągnął ją w stronę łóżka, ciesząc się w duchu, że rano je pościelił. Całowali się, kotłując po zmiętej narzucie. Zsuwając z jej ud koronkowe stringi, przelotnie pomyślał o Iwonie. Chociaż nie przyznawał się do tego nawet przed samym sobą, czasem zaskakująco mocno za nią tęsknił...

Na plecach poczuł paznokcie Klary. Nie zadrapała go, ale i tak wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu przyjemny dreszcz. Wchodząc w nią, zastanawiał się, czemu znowu to robi. Czemu, do kurwy nędzy, znowu jest w łóżku z przygodnie poznaną kobietą? Ale czy w takiej sytuacji można w ogóle rozważyć inne opcje? Czy stuprocentowy samiec przepuszcza taką okazję?

Klara ciasno oplotła nogami jego plecy; długie kasztanoworude włosy rozsypały się po poduszce. Klara... Imię kojarzyło mu się z lekturą *Ślubów panińskich* i atrakcyjną nauczycielką polskiego.

Polizał jej szyję. Duszący, zbyt mocny zapach perfum rozpraszał go i podniecał jednocześnie. Cicho krzyknęła. Przyspieszył, ciężko oddychając, skupiony na tej jednej czynności, jakby od każdego kolejnego pchnięcia niemal zależało ich życie. Ich oddechy nakładały się na siebie, falowały, drżały z rozkoszy. Za drzwiami cicho zaskrzypiała drewniana podłoga, ale tego nie usłyszeli. Właścicielka nie pierwszy raz podsłuchiwała kochającą się parę, ale nie zdawali sobie sprawy z obecności nieproszonego gościa.

Po szaleńczym finale jeszcze przez dłuższą chwilę leżeli wtuleni w siebie, bez słowa delektując się coraz lotniejszym wspomnieniem minionej rozkoszy. W końcu wysunął się z Klary i opadł na zmięte prześcieradło.

- Zdecydowanie tego było mi trzeba - powiedziała, przeciągając się w pościeli.

- Zawsze do usług.

- Jednak pensjonat po sezonie to zawsze lepsza opcja od jakiegoś nudnego Hiltona - rzuciła z uśmiechem.

- W Hiltonie nikt cię dobrze nie przeleciał? - zażartował Bugaj.

- Niestety...

- Powinnaś ich pozwać.

- Chyba tak zrobię - roześmiała się. - Nie palisz, prawda?

- Nie. Ale powinienem jeszcze mieć fajki. Czasem zdarza mi się popalać.

- Ale trzymasz je głównie dla gości? - droczyła się z nim.

- Wabię nimi młodziutkie, naiwne Litwinki - powiedział, chwilę później przypominając sobie martwą twarz zamarznętej nastolatki z leśnego bunkra.

- Posmutniałeś... Złamane serce?

- Życie - mruknął, wyjmując z nocnej szafki napoczętą paczkę marlboro. - Cholera, ale chyba gdzieś posiałem zapalniczkę...

- Nie ma sprawy, skoczę po moją.

Kiedy kręciła się po niewielkim pokoju, szukając porozrzucanej po dywanie garderoby, przyglądał się jej nagiemu, szczupłemu ciału. Drobne piersi, płaski brzuch, może nieco zbyt obfita pupa. Ładna, zgrabna kobieta, miły wieczór... Czego więcej trzeba człowiekowi do szczęścia? - zastanawiał się. Gdy założyła stanik, schylił się i podniósł z dywanu jej koronkowe stringi.

- Dzięki - powiedziała.

Miał ochotę zapytać, czego chce się dowiedzieć w ich okolicy, ale darował sobie. Im mniej takich dyskusji, tym lepiej dla nich obojga.

- Zaraz wracam - powiedziała, uchylając drzwi.

Bugaj wsunął pod głowę drugą poduszkę, przymknął oczy ... i błyskawicznie zasnął. Obudził się po drugiej nad ranem, gwałtownie wyrwany ze snu przez jakiś hałas za oknem. Klara spała tuż obok - najwyraźniej po powrocie do pokoju nie chciała go budzić. Brzęk tłuczonej szyby usłyszał niewyraźnie i nie mógł ustalić, czy niepokojący odgłos dochodził z ulicy, czy gdzieś z budynku. Wstał i uchylił okno. Cisza... Klara wymamrotała coś przez sen i obróciła się na drugi bok. Przez chwilę przyglądał się zarysowi jej sylwetki, w końcu wrócił do łóżka. Dym poczuł chwilę później. Był to wyraźny, ostry swąd spalenizny.

- Klara! - Szarpiąc ją za ramię, po omacku szukał komórki. - Kurwa! - syknął.

Obudziła się i wciąż rozespana, posłała mu pytające spojrzenie.

- Czujesz? Coś się pali. Zostań tutaj, sprawdzę! - powiedział, wciągając dzinsy.

Bluzę narzucił w biegu. Na korytarzu swąd spalenizny znacznie się nasilił i Bugaj nie miał już cienia wątpliwości. Coś się paliło. Mewa bądź przylegający do niej niewielki budynek gospodarczy

na tyłach ogrodu.

- Klara! Ubieraj się! - Załomotał w drzwi, ruszając w stronę położonego na samym końcu korytarza pokoju właścicielki.

Na wieść o pożarze pani Alina wpadła w histerię.

- Zabierz ją na dół, cholera! - polecił Klarze Bugaj.

Telefon znalazł pod łóżkiem, ale padła bateria. Przypomniawszy sobie, że w holu jest stacjonarny, i wybrał numer straży.

Krztusząc się od gęstniejącego dymu, podał adres Mewy i wybiegł na zewnątrz. Tak jak przypuszczał, płonęło pomieszczenie gospodarcze na tyłach budynku. Krzysztof przypomniał sobie dźwięk tłuczonego szkła i nie miał już cienia wątpliwości, że doszło do podpalenia. Ktoś dostał się do budynku przez okno i podpalił służącą właścicielce za składzik graciarnię. Stare plażowe leżaki, parasolki, ręczniki, połamane ogrodowe meble - pani Alina musiała latami gromadzić niepotrzebne kłamoty, które najpewniej polane benzyną, błyskawicznie zajęły się ogniem.

Dzięki bliskości remizy straż przyjechała szybko i zdołała ugasić źródło ognia, zanim zajęła się reszta budynku.

- I już po strachu - Krzysztof pocieszył roztrzęsioną panią Alinę, która z gołymi nogami, w przydeptanych kapciach, drżąc z zimna i emocji, płakała oparta na ramieniu Klary.

- To dopiero początek, nie rozumie pan? Oni nie przestaną, dopóki...

Nie dokończyła, bo podszedł do nich jeden ze strażaków i zapytał, czy ma klucze od piwnicy.

- Zostały w środku - powiedziała pani Alina, ciasniej otulając się swoim nieśmiertelnym szlafrokiem.

Noc spędzili w sąsiednim pensjonacie, którego właściciel wspaniałomyślnie zaprosił ich do siebie, a rano wymięty

i niewyspany Bugaj pojechał prosto na komendę.

Kiedy wieczorem wrócił do Mewy, Klary nie było.

- Wyprowadziła się przed południem. Narzekała na swąd spalenizny, ponoć rozboleła ją głowa - powiedziała siedząca w recepcji właścicielka.

- Wyjechała? - zdziwił się Bugaj, nie potrafiąc sobie wyobrazić, że Klara tak po prostu zniknęła.

Bez pożegnania, bez słowa, bez klasy, pomyślał. Chwilę później przypomniał sobie, że sam wiele razy robił dokładnie to samo, i zachciało mu się śmiać. Czyżby trafiła kosa na kamień? W pokoju włączył laptop i przejrzał oficjalną stronę Telewizji Szczecin, jednak wśród zdjęć roześmianych pracowników nie znalazł fotografii Klary. Kłamała? A może po prostu nie pracuje w TVP3 Szczecin tylko w jednej z tych niewielkich, lokalnych stacji, o których istnieniu nie miał nawet pojęcia? Stojącą na nocnej szafce whisky dopił samotnie, po czym wybrał numer Dominiki.

- Pracujesz? - zapytał, kiedy odebrała.

- Spałam - powiedziała.

- Żartujesz? Nie ma jeszcze dwudziestej pierwszej.

- W nocy malowałam...

- Mogę wpaść? Zostałbym na noc.

- Nie dzisiaj, Krzysztof...

W jej głosie usłyszał lekkie zniecierpliwienie i coś, co zabrzmiało jak niepokój.

- Coś się stało?

- Nie, daj spokój. Po prostu nie jestem w nastroju na randkę - wyjaśniła i w słuchawce zapadła cisza.

- Okay, jak chcesz - powiedział w końcu.

- Nie gniewaj się. Ja po prostu...

- Jasne, rozumiem.

Rozłączył się i cisnął telefon na łóżko.

Chwilę później włożył stary dres i wyszedł pobiegać. Ostatnio nieco nabrał kondycji i zaczęło mu się to podobać. Mijając betonowe nabrzeże, pomyślał o Annie. Powinien w tych dniach zajrzeć do domu, czy może jeszcze poczekać? Anna wciąż była na niego wściekła i w sumie nawet jej się nie dziwił. Tęsknił jednak za synem, a krótkie spotkania na mieście i jeszcze krótsze rozmowy telefoniczne nie wносиły zbyt wiele do ich napiętych ostatnio relacji. W końcu zdecydował, że za dzień czy dwa wpadnie do domu i od razu poprawił mu się nastrój.

Przed północą Dominika przysłała mu SMS-a, pytając, czy jednak może wpaść, ale nie odpisał. Miał dość rozchwianych emocjonalnie kobiet, pochrzanionych damsko-męskich relacji i narastających w ekspresowym tempie oczekiwań, którym w żaden sposób nie potrafił sprostać...

39

- Orgia?! I dopiero teraz pani o tym mówi?! - starszy sierżant Wojciech Kiciński siedział naprzeciwko czerwonej na twarzy Igi Melke, z niedowierzaniem się w nią wpatrując.

- Wstydziałam się... Musi pan zrozumieć, w jakiej niezręcznej jestem sytuacji - wykrztusiła Melke, jeszcze bardziej pąsowiejąc.

- Przyjaźniłyśmy się z Olką, nie chciałam wywlekać jej brudów. Z tego, że w ogóle tam z nią pojechałam, też nie jestem jakoś szczególnie dumna - dodała ledwie słyszalnym szeptem.

- Mniejsza o pani rozterki moralne! Mnie interesuje ten Szwab! Nachodził Aleksandrę, to już wiemy, jednak nie znamy jego nazwiska. Przepytaliśmy właścicieli pensjonatów, ale to jak szukanie igły w stogu siana. W pełni sezonu zjeżdża tutaj mnóstwo Niemców. - Kiciuś nachylił się w stronę Igi Melke i zapytał, co jeszcze potrafi powiedzieć o mężczyźnie, który swego czasu nachalnie adorował jej zamordowaną przyjaciółkę.

Słowa „zamordowaną” użył celowo. Chciał Igą wstrząsnąć, przypomnieć jej, jak istotny jest każdy szczegół w sprawie, która dotyczyła tragicznej śmierci młodej kobiety.

- Miał na imię Helmut, to pamiętam na pewno - zaczęła cicho.

- Helmut na Helmucie - mruknął Kiciuś, przypominając sobie byłego faceta miejscowej kobiety podejrzanej swego czasu o porwanie dwulatki. - Nazwiska pani oczywiście nie zna?

- Żartuje pan? Gość zorganizował wyuzdaną orgię! Nie przedstawił nam się z nazwiska, do cholery! Zresztą pewnie i tak bym go nie zapamiętała. - Wzruszyła ramionami. - Ale dom na

pewno bym poznała.

- Jego dom? - zdziwił się Kiciński. - Chce pani powiedzieć, że koleś urządził tę orgietkę pod własnym dachem?

- Tak, chyba tak. W każdym razie wyglądało to tak, jakby tam mieszkał. Jeden z pokoiów na dole był zamknięty na klucz, pewnie mieścił się tam jego gabinet. Dobijałam się tam przez dłuższy czas, myśląc, że to łazienka, dopiero jedna z obecnych tam Polek skierowała mnie do właściwych drzwi.

- Gdzie to było dokładnie? Gdzieś przy granicy?

- W Greifswaldzie. Pamiętam dokładnie, w której części miasta mieszkał. Gdybyśmy wybrali się...

- Chyba nie proponuje mi pani wycieczki do Niemiec? - wszedł jej w słowo Kiciuś, bębniąc palcami o blat biurka.

- A ma pan lepszy pomysł? - zapytała ostro. - Przyszłam, żeby pomóc! Ale jeśli policja nie chce...

- Dobrze, zaraz. Niech pani siada. - Wojciech jednym zdaniem usadził Ięgę, która zerwała się z krzesła z zamiarem opuszczenia niewielkiego i pełnego teczek z dokumentami pokoju. - W sumie możemy się przejechać, jeśli ma pani czas...

- Owszem, mam.

- Dzisiaj, zaraz?

- Czemu nie? - Znów wzruszyła ramionami.

Wojciech wahał się tylko przez chwilę. W końcu wyłączył komputer, dopił herbatę i sięgnął po kurtkę.

Szli w stronę samochodu, kiedy zapytał, czemu zdecydowała się mówić dopiero teraz.

- Wiem, wstydziła się pani, ale...

- Mówmy sobie po imieniu, będzie sympatyczniej - zaproponowała.

- Chętnie. Wojtek. - Kiciuś podał jej rękę i wyjął z kieszeni

kluczyki. - Więc czemu dopiero teraz?

- Wyjeżdżam stąd, wracam do rodzinnego Wrocławia. Akurat kończy mi się okres najmu studia, późnojesienne wichury nad Bałtykiem doprowadzają mnie do szału, a dochody drastycznie spadły... Kiedy odziedziczyłam dom w tej okolicy, prawie oszalałam ze szczęścia. Wprowadziłam się niemal od razu, wydałam kupę kasy na remont, ale teraz... No cóż, nie jestem tu szczęśliwa. Pogmatwało mi się życie, tęsknię za dawnymi przyjaciółmi. Myślałam, że lepiej zniosę rozłąkę, ale nie... I jeszcze te wszystkie wścibskie stare baby! Nie spuszczają człowieka z oczu, jakby żyły tylko po to, żeby plotkować... - Wzdrygnęła się.

- Fakt, klaustrofobiczna atmosfera małych miasteczek nie służy każdemu - powiedział Kiciuś, otwierając jej drzwi od strony pasażera.

- Dzięki. - Uśmiechnęła się blado. - A ty? Jesteś stąd?

- Tak. Mieszkam tu od zawsze.

Wyjeżdżali z miasteczka, kiedy zaczęło kropić.

- Jak nie śnieg, to deszcz... - mruknął Wojciech, włączając wycieraczki.

Po niemieckiej stronie zwolnił. Nie znosił tamtejszej policji, a jego wgnieciona z boku stara toyota rzucała się w oczy mundurowym służbistom z drogówki.

- Zawsze robiłaś zdjęcia czy zajmowałaś się jeszcze czymś innym? - zapytał, sięgając po papierosy. - Przeszkodzi ci, jeśli zapalę?

- Nie.

- Nie przeszkodzi ci dym czy nie zawsze robiłaś zdjęcia?

- Jedno i drugie - odparła z uśmiechem. - Kiedyś byłam modelką. Później przez dwa lata prowadziłam własną kafejkę.

- Dwa lata i?

- I skończył się ZUS preferencyjny.

- No jasne, graniczna data! Moja Gośka też kiedyś po dwóch latach zrezygnowała z własnej działalności - przypomniał sobie Kiciuś. - Szczyściem teraz jakoś jej idzie, chociaż kokosów nie zarabia... A zmieniając temat, jak wygląda życie modelki?

- Cóż... Chodziłam stale głodna, ale nieźle zarabiałam. Dzięki tej pracy zwiedziłam Chiny, Tajlandię, Florydę, Włochy, Francję i Grecję, więc myślę, że mimo wszystko bilans wyszedł na plus. Później łapałam, co się dało. Opiekunka do dzieci w Lizbonie, sprzedawczyni na stoisku rybnym, hostessa. Fotografiami zaraził mnie mój były. Zrobiliśmy album o największych europejskich portach i zjechaliśmy szmat drogi autostopem.

- I który europejski port jest największy? - zainteresował się Kiciuś.

- Zgadnij.

- Nie mam pojęcia.

- Rotterdam. Największy europejski port morski.

- Skoro tak mówisz... A jak album? Sprzedał się?

- Nie do końca. Biorąc pod uwagę, ile wydaliśmy na podróże, ledwo, ledwo wyszliśmy na zero. Ale przygoda była warta przeżycia.

- Wow! Nieźle. Ja już chyba nie pamiętam, kiedy wybrałem się gdzieś dalej niż do Chorwacji. - Kiciuś gwizdnął z uznaniem i nie odrywając oczu od szosy, zapalił papierosa. - Pamiętasz, spotkaliśmy się już kiedyś na weselu - dodał po chwili.

- Pamiętam. Byłeś w dupę pijany i chociaż twoja dziewczyna dosłownie się na tobie uwiesiła, podrywałeś mnie na jej oczach, nazywając „kicią”.

- Ja wspominał to nieco inaczej - mruknął Wojciech, ale Iga

nie podjęła tematu.

Do Greifswaldu dotarli tuż przed zmrokiem. W Niemczech również nie było już śniegu, ale porywisty lodowaty wiatr przenikał do szpiku kości.

- Zawsze sobie obiecuję, że zwiedzę w końcu tę cudną gotycką katedrę, ale jakoś nigdy się nie udaje - powiedziała Iga.

- Często tu bywasz?

- To mój czwarty raz. Lubię to miasto, ma świetny klimat. Skręć tutaj! Gość mieszkał w jednej z kamienic zaraz przy porcie. Pamiętam, że z okna widać było jachty.

Zanim odnaleźli właściwy dom, trochę błędzili, ale w końcu Iga wskazała kamienicę z elegancką, zdobioną cegłami fasadą.

- To ten!

- Jesteś pewna?

- Tak, do cholery! To tutaj! Pamiętam drzwi i tę charakterystyczną mosiężną kołatkę.

- Dobra, wchodzimy. - Kicius wcisnął dzwonek i przytupując z zimna, czekał, aż ktoś otworzy. - Myślisz, że gość cię pozna? I co właściwie mu powiemy? - zreflektował się nagle, zdając sobie sprawę, że w żaden sposób nie przygotował się do tej rozmowy.

Stojąca obok Iga mruknęła, że nie ma bladego pojęcia, i nasunęła na głowę obrębiony sztucznym futrem kaptur.

- Chyba nikogo nie zastaliśmy - mruknął Wojciech, kolejny raz wciskając dzwonek.

Zdobne w mosiężną kołatkę drzwi otworzyły się, kiedy już byli pewni, że w domu nikogo nie ma.

Ruda kobieta z dzieckiem na ręku wyglądała na zaskoczoną widokiem dwójki nieznajomych, może nawet się wystraszyła.

Łamanym niemieckim Wojciech zapytał ją o siwego mężczyznę, który ma na imię Helmut.

- Wiem, o kim pan mówi, ale on nie żyje - powiedziała młoda matka, osłaniając trzymane w ramionach dziecko przed zimnym powiewem z zewnątrz. - Przykro mi - dodała, chociaż było jasne, że powiedziała to jedynie z grzeczności.

Po chwili wahania i niezręcznej ciszy, zaprosiła ich jednak do środka.

- My tylko na moment - uspokoiła ją Iga, a ona trochę się odprężyła.

Weszli do pełnego dziecięcych zabawek salonu i usiedli na sofie.

- Mężczyzna, o którego pan pyta, zmarł niecałe pół roku temu. Zawał, z tego co wiem. Kupiliśmy ten dom od jego syna, z którym studiował mój mąż - wyjaśniła.

Wojciech rozumiał piąte przez dziesiąte z tego, co mówiła Niemka, ale ku jego zaskoczeniu Iga znacznie lepiej znała niemiecki.

- Spotykałam się kiedyś z pewnym kolesiem z Berlina, stare dzieje - powiedziała cicho, kiedy gospodyni szukała swojej komórki.

- Mam zamiary na jego syna, gdybyście potrzebowali...

- Tak, poprosimy - niecierpliwie rzuciła Iga, wyjmując z torebki swój telefon.

Chwilę później wstali i wylewnie podziękowali gospodyni. Na zewnątrz, kuląc się z zimna, ruszyli w stronę samochodu.

- Skoro koleś nie żyje od kilku miesięcy, to nie mógł jej potrącić - mruknął Kiciuś.

- Serio? Jak na to wpadłeś? - docięła mu Iga.

- Chodź, napijemy się herbaty i zjemy coś. - Pociągnął ją w stronę rześńście oświetlonego pubu.

Choć od Bożego Narodzenia dzieliło ich jeszcze kilka długich

tygodni, lokal zdobiły świąteczne dekoracje, w tym poupinane nad oknami choinkowe lampki. Usiedli przy oknie. Iga, rozcierając przemarznięte dłonie, wyglądała przez okno, Kiciuś zabrał się za przeglądanie menu. Przy stoliku obok grupka wglądających na studentów Szwedów wznosiła toasty, przekrzykując się nawzajem, i Wojciech przez chwilę pozazdrościł im młodzieńczej bez troski.

- Powieszysz? - Za jego plecami był wieszak, dlatego Iga podała mu swoją kurtkę.

Wziął od niej wierzchnie okrycie i z trudem znalazł miejsce na przepelnionym wieszaku.

- Dzięki, Iga, że zebrałaś się na odwagę i do nas przyszałaś. No i za tę naszą spontaniczną wycieczkę również - powiedział, kiedy czekali na kanapki.

- Zrobiłam to dla Oli - odparła cicho.

- Byłyście bliskimi przyjaciółkami czy tylko znajomymi?

- Dobre pytanie... Czasem sama się nad tym zastanawiam. Lubiłam Aleksandrę, ale nie zawsze ją rozumiałam. Uważałam, że często przekracza pewne granice, prowokuje, sama szuka kłopotów. Może gdyby żyła inaczej, spokojniej, nie skończyłaby przy tamtej pustej szosie? - Iga zadumała się na moment. - Chociaż nie, to głupie... Przecież to mogło spotkać każdego. Szaleńców nie brakuje.

- Nie sądzę, żeby zabił ją szaleniec. Myślę, że zrobił to ktoś, kto od dawna planował odebranie jej życia. A przynajmniej zamierzał ją skrzywdzić.

- Ale czemu, na miłość boską?! Jak można w tak bezduszny sposób odebrać matkę nastoletniemu dzieciakowi?! - Podniosła głos, a jeden z młodych Szwedów posłał jej zaciekawione spojrzenie. - Spadaj - mruknęła pod jego adresem.

- Nie bądź naiwna, dziewczyno. Ludzie od zarania dziejów wyrządzają sobie niewyobrażalne wręcz krzywdy.

- Tak. Tyle że ja jestem z tych, którzy wierzą, że takie okropieństwa zawsze dzieją się gdzieś indziej, daleko ode mnie i moich bliskich - wyznała cicho.

Wojciech chciał jeszcze coś dodać, ale przy ich stoliku zjawiała się kelnerka z zamówionymi przez nich kanapkami z wołowiną. Zjedli w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. Wychodząc z pubu, wpadli na grupę roześmianych młodych Polaków, którzy przepychając się i grubo przeklinając, opowiadali sobie o suto zakrapianej imprezie u jakiegoś Zielarza. Przy samochodzie Kiciuś wypalił ostatniego papierosa, a skulona z zimna Iga wysłała komuś SMS-a.

Byli mniej więcej w połowie drogi do domu, kiedy poprosiła, żeby się zatrzymał.

- Muszę do toalety - powiedziała.

Zjechał na stację paliw i wyłączył silnik. Kiedy wysiadła, śledził wzrokiem jej sylwetkę, zastanawiając się, czy aby na pewno powiedziała mu całą prawdę. Nie był tego stuprocentowo pewien, ale kiedy mówiła o Aleksandrze, wyczuł w jej głosie dziwną gorycz. Jakby śmierć przyjaciółki była dla niej jednocześnie szokiem i... ulgą.

Niedługo potem odwiózł ją pod sam dom.

- Nie miałem pojęcia, że tu mieszkasz. Pamiętam ten budynek przed remontem, istna rudera...

- Faktycznie, udało mi się znaleźć ekipę, która zdziałała cuda - powiedziała Iga.

- Nie żal ci tego wszystkiego zostawiać?

- Szczerze? Już nie. Myślami jestem z powrotem we Wrocławiu. Dawny przyjaciel ma dla mnie mieszkanie po okazyjnej cenie,

powinnam szybko się tam odnaleźć.

- W takim razie powodzenia. I jeszcze raz dzięki za dzisiejszą wycieczkę.

- Trzymaj się, szeryfie. - Zanim wysiadła, puściła do niego oczko.

Flirciara, pomyślał, obserwując, jak otwiera zamkniętą na klucz furtkę i wchodzi do niewielkiego ogrodu.

Jednak wysiadając z samochodu przed domem, myślał już tylko o swojej Gosi. Obiecał jej wycieczkę promem, ale wciąż nie miał na to kasy. Dzięki dosłownie wyżebranej od brata ojca pożyczce spłacił już co prawda część długu kuzynowi Bugaja, wołał jednak nie szaleć... Nie w tej sytuacji. Obecnie za całkiem spory sukces uznawał fakt, że jego noga nie postąpiła więcej w salonie gier. Czasem naprawdę cholernie korciło go, żeby zagrać. Pokusa była silna, pulsowała gdzieś z tyłu głowy. Kochał tę adrenalinę, jaką czuł, zasiadając do gry. Wiedział jednak, że kolejnej szansy nie dostanie. Jeśli teraz coś spierdoli, straci szacunek Krzysztofa, może nawet Małgośkę. Nie podejrzewała co prawda, że ma problem z hazardem, ale w końcu by się domyśliła. Dlatego musi się trzymać z dala od tej cholernej budy szumnie nazywanej kasynem, zanim rozwali kolejną okrągłą sumkę i zarwie po ryju od smutnych panów czekających na zwrot bogatszej o odsetki należności, postanowił w duchu.

Był niemal przy furtce, kiedy ktoś zaszedł go od tyłu i pchnął na ogrodzenie. Uderzył twarzą w metalowe sztachety płotu i rozciął sobie wargę.

- Co jest, kurwa?! - zaklął, gwałtownie się obracając.

Kolejny cios zwałił go z nóg, bo napastnik kopnął go w tylne zagłębienie kolana. Wojciech podniósł się z trudem, zdezorientowany niespodziewaną napaścią. W ustach czuł

żelazisty smak krwi, którego nie znosił od dzieciństwa. W głowie mu pulsowało, gdy usłyszał:

- I co?! Głupio ci?! Oskarżyłeś mnie o zabójstwo własnej matki, gnoju!

Waldemar Zyzik był wściekły, dosłownie ział nienawiścią.

- Sorry, chłopie. Taką kurewsko wredną robotę mam. - Kiciński splunął na chodnik i klepnął chłopaka w ramię. - Bez urazy, okay?

- Mógłbym obić ci ryja tak, że...

- Mógłbyś też solidnie za to beknąć! Spierdalaj stąd, zanim się wkurwię! - warknął Wojciech.

- Kochałem ją, człowieku! Szarpaliśmy się, wyzywaliśmy, ale nigdy bym jej nie skrzywdził! - Zyzikowi załamał się głos.

- Wracaj do domu, synku! Wracaj, zanim zmienię zdanie i zgarnę cię za napaść na policjanta. Ochłoń, napij się piwa, obejrzyj mecz. Zejdź mi, kurwa, z oczu!

- Przepraszam. - Osierocony syn Marioli Zyzik podniósł ręce w niemym geście poddania, wymamrotał kolejne przeprosiny i zniknął w ciemnościach jesiennej nocy.

- Durny szczył! - Kiciuś pchnął furtkę i starając się nie myśleć o krwawiącej wardze, wszedł na werandę.

Gośka nie pytała, co mu się stało, chyba zdołała już pojąć, że i tak zazwyczaj nie mówi jej całej prawdy. Odgrzała mu za to pomidorówkę i zrobiła kanapki. Obserwując ją krzątającą się po kuchni, pomyślał, że właściwie nie miałby nic przeciwko temu, żeby się z nią ożenić. Dotąd oboje żartowali, że są raczej fanami wolnych związków, ale im dłużej o tym myślał... Przyciągnął ją do siebie i posadził sobie na kolanach.

- Co powiesz na zostanie panią Kiciusiową? - zapytał.

- Wolałabym chyba Kicińską - mruknęła.

- Czy to znaczy tak?

- To mają być oświadczenia? Nie wysiliłeś się, co?
- Powiedzmy, że robię wstępne rozeznanie...
- Powiedzmy, że chyba jednak wolę być twoją konkubina - zripostowała ze śmiechem.

- Mówiłem serio, Gośka. Może jednak pomyślmy o ślubie?
- Po co? - Wzruszyła ramionami, wstając z jego kolan.
- Myślałem, że się ucieszysz...
- Wojtek, co cię napadło?
- Nic, po prostu pomyślałem, że po tylu latach moglibyśmy się pobrać...

- Po co? Żeby wywalić okrągłą sumkę na wesele? Nie lepiej gdzieś wyjechać, zobaczyć kawałek świata, zaszaleć?

- Okay, nie było tematu - wycofał się.

- Co? Będziesz się teraz boczyć? Wolałbyś pewnie, żebym zalana łzami radości rzuciła ci się w ramiona i szlochając ze szczęścia, wykrzyczała „tak”? Wojtek, nie potrzebuję papierka, żeby z tobą być. Nigdy nie chciałam tej szopki, nigdy nie...

- Powiedziałem, nie było tematu! - przerwał jej gwałtownie.

Nie odpowiedziała, tylko wyszła z kuchni, zostawiając go samego.

- Baby! - mruknął i skrzywił się, opuszką palca dotykając brzydko rozciętej wargi. Chciał dobrze, próbował coś zmienić, i co? Obraziła się!

Pościelił sobie na sofie, bo żeby wyjść z tego wszystkiego z twarzą, musiał przynajmniej przez chwilę wypiąć się na Gośkę.

Nie pospał jednak długo. Ledwo zasnął, kiedy Gośka położyła się obok i wsunęła dłoń pod jego kraciaste bokserki.

- Pocudzołóżmy trochę, okay? - szepnęła.

Zdjął z niej nocną koszulę i kotłowali się na sofie, dopóki z niej nie spadli. Rozcięta warga Wojciecha znowu zaczęła krwawić,

a Gosia nabiła sobie siniaka. Kochali się na dywanie, pośród okruchów po paluszkach i chipsach, które obiecał odkurzyć już wczoraj. Wchodząc w nią, przelotnie pomyślał o Idze, ale szybko skupił się na swojej dziewczynie. Nie chciała ślubu, trudno. Po co psuć coś, co jest idealne? - pomyślał.

40

Beata zapaliła papierosa i wyszła na balkon. Noc była wilgotna i przenikliwie zimna, ale dziewczyna nie czuła chłodu. W narzuconym na ramiona wełnianym kocu, oparta o barierkę, z błogością zaciągała się dymem. Kiedy dopaliła, z trudem powstrzymała się przed zrzuconiem niedopałka prosto na brukowany podjazd.

Różańscy... Dwoje snobów, których widok doprowadzał ją do szału, choć kiedy zaczynała u nich pracę, czuła się niemal wniebowzięta. On wydawał jej się szarmancki, ona sympatyczna. Teraz, jedenaście miesięcy później, miała ochotę spakować walizkę i wymknąć się stąd w środku nocy, nie oglądając się za siebie. Czasem zastanawiała się, czy bardziej nie znosi jej, czy jego. Ordynator ostro pił, wciąż jednak był w stanie ukrywać nałóg przed współpracownikami. Jego żona była wścibska, zazdrosna o każde spojrzenie męża i wiecznie skwaszona. W dodatku marnie sypiała, a jej ciężkie kroki można było usłyszeć o każdej porze. Beata pomyślała, że to w sumie smutne. Para, która już dawno powinna się rozstać, wciąż tkwi w jakimś dziwnym, chorym układzie. Czy to duże pieniądze są aż tak skutecznym spoiwem, czy może trzymają się razem z zupełnie innych powodów? Bo chyba nie dla syna, który od dawna żył swoim życiem.

Na dole trzasnęły drzwi.

Otulona kocem gospościa wzdrygnęła się przestraszona i wróciła do pokoju.

- Teraz?! Teraz wychodzisz, o północy?! A można wiedzieć dokąd?! - Wysoki, niemal piskliwy głos Marii Różańskiej niósł się po pograżonym w nocnej ciszy domu.

Beata podeszła do drzwi i lekko je uchyliła.

- Pięś! Nie powinieneś wsiadać za kierownicę! - Profesorowa ruszyła za mężem do frontowych drzwi, co Beata rozpoznała po charakterystycznym szuraniu, z jakim jej pantofle przesuwają się po posadzce.

- Odwal się, kurwa! - wydarł się profesor.

Dzientelmen od siedmiu boleści, pomyślała Beata zniesmaczona jego wulgarnością. Nie lubiła swojej pracodawczyni, ale zwracanie się w ten sposób do żony wydało jej się co najmniej żenujące.

Różański wyszedł.

Chwilę później przez uchylone balkonowe drzwi gospoia usłyszała dźwięk zapalnego silnika i w willi doktorostwa zapadła cisza.

Beata usiadła na łóżku i sięgnęła po komórkę. Jeśli za kilka minut się stąd nie wymknie, spóźni się na spotkanie. Z drugiej jednak strony nie mogła ryzykować, bo stara łaźnia po dole, a ona wprost nie cierpiała tłumaczyć się jej z czegokolwiek. Zakaz kręcenia się po parterze był kolejną niedogodnością, jakiej musiała stawić czoła w tej pracy. Oboje, zarówno profesor, jak i jego małżonka, jasno dali jej do zrozumienia, że po dwudziestej drugiej nie wolno jej schodzić na dół. Tłumaczyli to potrzebą zachowania odrobiny prywatności, Beata wiedziała jednak, że on chciał w spokoju się uchlewać, a ona snuć po pokojach w szlafroku i z wałkami na głowie.

Cisza...

Ponownie zerknęła na wyświetlacz i przygryzła wargę. Musi już

wyść, do cholery! Wstała i na palcach podeszła do drzwi. Z parteru nie dochodziły żadne odgłosy i postanowiła zaryzykować. Jeśli stara ją przyłapie, wymyśli coś na poczekaniu, zdecydowała, zakładając wyjętą z szafy kurtkę. W przylegającej do jej pokoju niewielkiej łazience spięła włosy w kucyk i starając się poruszać jak najciszej, wyslizgnęła się na korytarz.

Cisza...

Ostrożnie ruszyła w stronę schodów przyparta plecami do zimnej kamiennej ściany, cała spięta i czujna. Odetchnęła z ulgą, dopiero kiedy zamknęła za sobą frontowe drzwi i przebiegła przez ładnie podświetlony, zadbane ogród. Samochód zostawiła jakieś dwieście metrów od bramy doktorostwa, w cichej, spokojnej uliczce. Maria Różańska nie życzyła sobie jej rzęcha na podjeździe i nigdy nie pozwalała Beacie zajeżdżać przed dom.

- Przywiędła ropucha - mruknęła, wsiadając do auta.

Szczęściem na obrzeża Szczecina dotarła w miarę szybko, bo o tej porze szosa była niemal pusta.

Wjeżdżając pod jedną z estakad, pod którą się spotykali, pomyślała, że to jakaś farsa. Chłopak się ukrywa, chociaż to nie on zawinił.

Jedynak doktorostwa przyjechał spóźniony i jak zawsze podrzucił go ogolony na łyso kolega o wyglądzie szemranego typa.

- Przepraszam. Długo czekasz? - zapytał młody Różański, kiedy wszedł do jej wozu.

- Kilka minut.

- Masz może fajki? - zapytał.

Rozbawiona pokiwała głową. Poszukuje go policja, a jego interesuje tylko to, czy sobie zajara...

- Musisz wracać do swojego życia, Konrad! Nie możesz

w nieskończoność się ukrywać - powiedziała, wyjmując ze schowka paczkę marlboro.

- Mój ojciec zabił Olkę, nie rozumiesz tego?! - krzyknął, zsuwając z głowy kaptur.

- To nie on - powiedziała Beata.

- Co? - Chłopak wyglądał na kompletnie zdezorientowanego.

- To nie on - powtórzyła.

- O czym ty gadasz, Beata?! Przecież to jasne, że on ją potracił! Pewnie znowu coś sobie chlapnął i stracił panowanie nad kierownicą, a później... Nie mogę teraz wrócić, nie rozumiesz?! Ojciec kazał mi się przyczaić, dopóki sprawa nie ucichnie! Gliny myślą, że to ja, ale...

- Konrad, nie możesz w nieskończoność uciekać! Nic złego nie zrobiłeś! Twój ojciec chciał cię chronić, bo myślał, że to ty zabiłeś tę kobietę. Ale to ona, Różańska!

- Co?

- Twoja matka ją potraćiła, rozumiesz?! Wczoraj podsłuchałam, jak się kłócili. On był pijany, ona w skrajnej hysterii. Wykrzyczała mu w twarz całą prawdę...

- Moja matka zabiła Olkę? Ale jak? Czemu? - Konrad Różański wpatrywał się w Beatę wzrokiem zszokowanego dziecka. - Zawieź mnie do domu! - powiedział po chwili.

- Co? Oszalałeś?! Jeśli zatrzyma nas drogówka...

- Powiedziałem, jedź! - huknął na nią.

- Konrad, powinieneś ochłonać! Nocna rozmowa to nie jest dobry pomysł. Powinieneś...

- Jedź, Beata! - Rąbnął pięścią w deskę rozdzielczą, ostatecznie kończąc dyskusję.

Włączyła silnik. Trzęsły jej się ręce i była bliska płaczu. Nie lubiła Różańskich, ale płacili jej całkiem nieźle. Wyglądało jednak

na to, że wkrótce straci posadę. Profesorowa niebawem pójdzie siedzieć za nieumyślne spowodowanie śmierci. A może umyślne? Nie potrafiła tego ocenić. Ordynatorowi też pewnie dobiecze się do zapitej dupy prokurator, a ona wyleci na bruk... Bez pracy, bez oszczędności, beznadzieja...

- Poczekaj w samochodzie! Nie chcę, żebyś była świadkiem tej rozmowy! - powiedział Konrad, kiedy dotarli przed pogrążoną w nocnych ciemnościach willę. - Czemu nie podjeżdżasz bliżej? - zdziwił się. - Zawsze zostawiasz auto tutaj...

- Jak myślisz, czemu? - odpowiedziała pytaniem.

Wysiadł bez słowa, jakby nagle zrozumiał, że ma ważniejsze rzeczy na głowie.

Kiedy szedł w stronę bramy, młoda gosposia pomyślała, że naprawdę cholernie mu współczuje. Jeszcze niedawno myślała, że Konrad jest jednym z tych rozpieszczonych synków bogatych rodziców, których jedynym zmartwieniem jest zbyt szybko wydane kieszonkowe. Jednak kiedy poznała go bliżej, zrozumiała, że to fajny, ciepły i inteligentny chłopak, który miał pecha urodzić się w rodzinie nadętych, nowobogackich snobów.

Wysiadając z auta, rozejrzała się dookoła, wyobrażając sobie, jak zareagowałby profesor, gdyby odkrył, że za jego plecami widywała się z Konradem. Uliczka była jednak pusta i napięcie w końcu ją opuściło. Oparła się o maskę i zapaliła papierosa. To Różański Junior poprosił ją o pomoc, wysyłając do niej koleżkę z wiadomością, ale i tak wiedziała, że doktorostwo miałyby pretensje. Tyle że oni pewnie niebawem skończą w areszcie, a ona musi się zastanowić, co dalej. Problem polegał jednak na tym, że nie miała zielonego pojęcia, dokąd mogłaby pójść... Ale nad tym będzie się głowić później. Zresztą zawsze może wrócić do matki. Pod mostem nie wyląduje, a to już coś.

41

Wchodząc do domu rodziców, Konrad Różański na chwilę wstrzymał oddech. Myśl o konfrontacji z nimi wywoływała niepokój, ale wściekłość była o wiele silniejsza. Matka! Oszukała ich wszystkich!

Profesor Różański, pewny, że to on zabił Olę, pędząc nocą po pustej odludnej szosie, kazał mu się ukryć i robił wszystko, żeby sprawę jakoś zatuszować. Dowiedziawszy się o znalezionym przez policję aucie, kazał mu się zaszyć i nawet nie zapytał, czy aby na pewno syn jest winny, tylko wysłał po niego swojego zaufanego prawnika... Konrad z kolei był pewien, że zawinił ojciec, że to on zabił.

Tak to jest, kiedy się ze sobą nie rozmawia. Kiedy najważniejsze są pieniądze, telefony od nadętych mecenasów i pozory, pomyślał chłopak, przemierzając przeszklony hol.

Na matkę wpadł w gabinecie Różańskiego seniora. Właśnie przetrząsała mężowskie biurko.

- Dlaczego? - zapytał chłopak, zaciskając ręce w pięści.

Maria cicho krzyknęła, zaskoczona nocną wizytą niespodziewanego gościa.

- Dlaczego?! Wytlumacz mi, kurwa, czemu wsiadłaś w mój samochód i zabiłaś Aleksandrę?! - wrzasnął, ruszając w stronę matki.

- Synku... - Różańska wyciągnęła rękę, jakby chciała pogłaskać go po twarzy, ale odsunął się gwałtownie i trafiła w próżnię.

- Mów, mamó! Pozwól mi zrozumieć! Tato myślał, że to ja, a ty

pewnie ochoczo utwierdzałaś go w tym przekonaniu! Mnie też okłamałaś! Wmówiłaś mi, że to on jest winien, tymczasem...

- Synku, usiądź. Porozmawiajmy na spokojnie. - Głos nieco jej się łamał, ale wyglądała na w miarę opanowaną.

Konrad podszedł do barku, w którym ojciec trzymał sprezentowane mu przez wdzięcznych pacjentów alkohole, i wyjął whisky.

- Też chcesz? - zapytał.

- Odrobinę.

- Czemu tamtej nocy wzięłaś moje auto?

- Spałeś akurat u nas i...

- To już wiem! Mów, czemu zabiłaś Olę?!

- Śledziłam ją od dłuższego czasu. Zazwyczaj autem twojego ojca, czasem moim.

- Śledziłaś ją?! Czemu? - Rozlał whisky do szklanek i podał jedną matce.

Wypiła jednym haustem, a on zaczął się śmiać.

- To jest jakaś farsa! Siedzimy tu sobie i popijamy whisky, podczas gdy syn Olki już nigdy nie zobaczy matki! - niemal wykrzyczał.

- Ona chciała zniszczyć naszą rodzinę - szepnęła Maria Różańska, sięgając po stojącą na biurku męża butelkę whisky.

Konrad przyglądał się jej z rosnącym obrzydzeniem. Kiedy tak stała przed nim czerwona z emocji, z potarganymi włosami i plamami na znoszonym szlafroku, pomyślał, że jest tylko tanią podróbką kogoś, kim zawsze chciała być.

- Groziła twojemu ojcu, szantażowała go - dodała.

- Czym?! Oboje wiemy, że ojciec jej nie posuwał! On woli kierowców karetki i nawet ty nie możesz dłużej udawać, że o niczym nie wiesz! Syn pedała! Takimi wyzwiskami obrzucano

mnie już w gimnazjum, wiesz? Tylko ty zawsze udawałaś, że jesteście takim, kurwa, wspaniałym małżeństwem! - huknął na nią Konrad.

Różańska zbladła i lekko się zachwiała. Buzująca ciężkimi emocjami rozmowa wyraźnie wyzuła ją z sił.

- No mów, mamó! Oświeć mnie! Czym Olka mogła szantażować ojca, skoro nawet z nią nie sypiał?

- Odkryła pewne rzeczy...

- A konkretniej?!

- Dowiedziała się, że twój ojciec zdołał oszukać NFZ. I nie chodziło o jakąś drobną sumę, ale o naprawdę grubą kasę. Do tego dowiedziała się, że miał powiązania z ginekologiem pracującym dla handlarzy noworodkami i groziła, że pójdzie na policję. Żeby zamknąć jej paszczę, twój ojciec dał tej dziwce okrągłą sumkę, ale chciwej suce ciągle było mało! Zaczęłam za nią jeździć, żeby coś na nią znaleźć. Tamtej nocy, kiedy zginęła, czekałam w aucie przed jej domem. W twoim aucie, w terenówce, którą niedawno sprezentował ci ojciec. Wzięłam ją, bo u mnie szwankowała kierownica. W każdym razie podjechałam przed jej dom bez celu i planu. Nie spodziewałam się, że wyjdzie, po prostu nie mogłam spać i wybrałam się na przejażdżkę. Zauważyłam ją, kiedy już miałam odjeżdżać. Wymknęła się na zewnątrz w zbyt dużej puchowej kurtce i poszła w stronę pobliskiego parku. Zdziwiłam się, że nie wzięła auta. Pojechałam za nią. Nie oglądała się za siebie, pewnie nawet nie przeszło jej przez myśl, że ktoś może ją obserwować. Jak na kogoś, kto ma w miasteczku tylu wrogów, była zaskakująco beztroska... Spotkała się z młodym chłopakiem, znałam go z widzenia. Jeden z tych szczeniaków, którzy przez całe lato popijają w okolicach portu i podrywają letniczki. Zaparkowałam w bocznej alejce, obserwując, jak się

witają. Wziął ją na ręce, śmiali się. Później ruszyli w stronę jego samochodu. On chyba mnie zauważył, ale nie byłam pewna. Zresztą miałam to gdzieś, nie robiłam w końcu nic złego. Kochali się w jego aucie, później odjechali. Ruszyłam za nimi. Nie wiem, dokąd jechali, bo na pewno nie do jej domu. Wyglądało to tak, jakby kierowali się do jednego z tych modnych nocnych klubów po drugiej stronie miasteczka. Nagle on zjechał na pobocze i ona wysiadła. Zatrzymałam się za nimi i wyłączyłam silnik. On przez chwilę stał, w końcu zawrócił w stronę parku. – Przerwała na moment. – Zanim ruszyłam, siedziałam w samochodzie jeszcze kilka minut. Tymczasem ona samotnie szła ciemną szosą... Pokusa, której nie sposób się oprzeć. W końcu przekreśliłam kluczyk w stacyjce i wcisnęłam gaz. Resztę pamiętam jak przez mgłę, jakbym... – Różańska urwała i chrapliwie nabrała oddechu.

– Zabiłaś ją z zimną krwią! – krzyknął Konrad, a fala nienawiści, która go zalała, przeraziła nawet jego.

– Chciała nas zniszczyć, nie rozumiesz?! Chciała pogrążyć twojego ojca, odebrać nam wszystko, na co latami ciężko pracowaliśmy!

– Pracowaliście?! Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?! Ty od lat beczynn timer tkwisz w domu, a on kradnie!

– Nie masz prawa mówić takich rzeczy o swoim ojcu!

– Mój ojciec to zapity, jebany hipokryta, który zawsze myślał tylko o sobie!

– Ale to wciąż twój ojciec! – krzyknęła Różańska. – On cię kocha, zawsze chciał cię chronić! Kiedy tamtej nocy pokazałam mu wgnieciony samochód, sugerując, że to ty potrąciłeś tę dziewczynkę, od razu wszystko załatwił i...

– Wszystko załatwił, zapomniał tylko mnie zapytać, czy to zrobiłem! – zakpił Konrad. – Byłem pewny, że to on... Nawet ze

mną nie porozmawiał...

- To nie on - szepnęła Różańska.

- Dzwonię na policję - zdecydował Konrad. - Chyba że sama do nich zadzwonisz.

- O czym ty mówisz, synu? Przecież ojciec jakoś to zatuszuje, na miłość boską! Ta kobieta to była zwykła kurwa! Miejscowa wywłoka, nic niewarta szmata, która bawiła się mężczyznami i niszczyła ludziom życia!

- To była matka nastoletniego chłopaka, z którym grywałem w nogę! A ty zabiłaś ją jak psa! Masz! Dzwonisz czy ja mam to zrobić?! - Konrad Różański wcisnął matce telefon, podszedł do drzwi i przekręcił klucz. - Nie wyjdziemy stąd, dopóki się nie przyznasz!

Profesorowa cofnęła się w stronę biurka, z niedowierzaniem wpatrując się w Konrada.

- Synku, przecież ja nie mogę pójść do więzienia... Nie wytrzymam tam nawet dnia, nie potrafię... Jak możesz coś takiego robić własnej matce?! Po tym, co dla ciebie poświęciłam, ile wycierpiałam - lamentowała Różańska.

- Dzwonisz, czy ja mam to zrobić? - wycedził chłopak.

- Ojca chciałeś chronić, ale mnie nie?! Kiedy wierzyłeś, że to on zabił, siedziałeś cicho!

- Bałem się, nie rozumiesz?! Wszystkie dowody wskazywały na mnie! Poza tym myślałem, że to był wypadek! Myślałem, że ojciec jechał pijany i przypadkiem ją potrącił! Ale to ty! Ty ją zabiłaś, i zrobiłaś to celowo!

- Więc milczałeś ze strachu, ale twierdzisz, że to twój ojciec jest hipokrytą?

- Mamo, po prostu zadzwoń na policję - powiedział Konrad zmęczonym głosem.

- Nie! - Różańska cisnęła telefon na podłogę i otworzyła szufladę, w której profesor trzymał cygara, dokumenty i... broń. - Zastrzelę się, słyszysz?! Nie zmuszaj mnie, bo ze sobą skończę! - wrzasnęła.

- Śmiało! - rzucił Konrad przez zaciśnięte zęby.

Przyłożyła lufę do skroni i zamknęła oczy.

Chłopak podszedł do niej i wyrwał jej z ręki pistolet.

- Od dawna nie jest nabity - powiedział z pogardą w głosie. - Oboje z ojcem jesteście siebie warci - dodał, podnosząc z podłogi telefon.

Policja przyjechała kilka minut później. Migające na niebiesko światła radiowozu odbijały się w oszklonej fasadzie willi profesorostwa.

Widok wyprowadzanej w kajdankach matki przyniósł Konradowi ból i ulgę jednocześnie. Nienawidził jej od dawna, gardził tą pustą, zakłamaną, leniwą ropuchą, której jedyną rozrywką było dokuczanie Beacie. Z drugiej jednak strony było mu jej żal. Na swój pokręcony sposób wierzyła pewnie, że zabijając Olę, chroni własną rodzinę. Pomyślał o ojcu. Podejrzewał od dawna, że stary coś kombinuje, nie miał jednak pojęcia, że zamieształ się w coś tak ponurego. Handel noworodkami? Słyszał o miejscu, które policja odkryła kilka miesięcy wcześniej. Więzione w opuszczonym gospodarstwie nastoletnie dziewczęta rodziły dzieci na sprzedaż. Jednak myśl, że jego własny ojciec był zamieszany w coś tak niehumanitarnego, niemal przyprawiła go o mdłości. Większość sprawców była już w areszcie, ale jak widać, nie wszyscy. Są duże szanse, że niebawem dołączy do nich profesor Różański...

Gliniarze powiedzieli, że zabierają go na komendę, ponoć celem przesłuchania.

Wsiadając do radiowozu, spojrzął na stojącą przy bramie Beatę. Płakała.

W jej dłoni tlił się zapalony papieros, jasne włosy wysunęły się z luźno spiętego kucyka.

Jedyna przyjazna mi dusza w całym tym pierdolonym domu, pomyślał Konrad z goryczą.

Maria Różańska zaczęła histerycznie krzyczeć, wyzywając policjantów od najgorszych.

Chłopak odwrócił głowę, całkiem obojętny i nieczuły. Nie chciał mieć nic wspólnego z kobietą, która okazała się potworem. Sam nie był bez winy, świetnie o tym wiedział. Pewny, że Olę zabił ojciec, nie zgłosił tego na policję, a jedynie zaszył się u kumpla pod Szczecinem. Przez długi czas wierzył, że ślepa lojalność wobec rodziny jest ważniejsza od prawa czy sumienia. Jednak teraz, kiedy to matka buzującym nienawiścią głosem opowiedziała mu o wszystkim, zrozumiał, że nie miał innego wyjścia. Prawda musi wyjść na jaw, musi zwyciężyć. Krew Aleksandry splamiła całą jego rodzinę, tego nie dało się dłużej ukrywać...

Mam twojego syna!

To jedno zdanie tłuło się Bugajowi po głowie, kiedy wymykał się nocą z pensjonatu. Na oblodzonych schodach poślizgnął się i niemal upadł.

- Kurwa! - zaklął, w ostatnim momencie łapiąc równowagę.

Noc była mroźna, bezlitosna. Nawet skuty lodem brzeg Bałtyku na moment poddał się surowym prawom matki natury. Wieczorem spadła gruba warstwa świeżego śniegu. Wszechobecna biel czyniła świat odrobinę znośniejszym miejscem, tym razem jednak nie był to świat Krzysztofa...

W drodze do samochodu wybrał numer Arka, ale komórka syna była wyłączona. Bugajowi upadły kluczyki. Schylając się po nie, pomyślał, że właśnie dzieje się coś, czego obawiał się od zawsze - ktoś wprost zaatakował jego rodzinę!

A może wcale nie mieli jego jedynaka? Może komuś chodziło o niego? Ponownie wybrał numer chłopaka, ale komórka nadal była wyłączona. Kiciuś z kolei nie odbierał. W sumie Bugaj nawet się nie zdziwił. Dochodziła druga nad ranem, a kumpel zawsze miał mocny sen.

Spróbował jeszcze raz.

Odebrała Gosia.

- Krzysiek? Co się dzieje? - usłyszał w słuchawce jej rozespany głos.

- Powiedz Kiciusiowi, że jadę do domu starego Macieja.

- Co? Krzysiek, o czym ty mówisz? Do tej na wpół zawalonej

rudery na obrzeżach miasteczka?

- Tak. Gdybym gdzieś przepadł, gdyby...

- Czekaj, obudzę go - weszła mu w słowo.

- Nie mam czasu, Gośka! Po prostu mu to przekaż! - Bugaj rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

W samochodzie było lodowato. Włączył silnik, podkręcił ogrzewanie i wyjechał na szosę. Powinienem zachować się jak gliniarz czy po prostu jak ojciec? - zastanawiał się, skręcając w stronę portu.

Latem dom starego Macieja był miejscem spotkań miejscowych meneli. Rudera z na wpół zawalonym dachem dziwnym trafem stała się ulubioną miejscówką młodych pijaczków. Teraz jednak, pośrodku mroźnej listopadowej nocy, nikogo tam pewnie nie będzie. Nie licząc tego, który zadzwonił do niego o pierwszej trzydzieści osiem nad ranem, żądając spotkania.

Mam twojego syna...

Skurwysyn! Krzysztof zwolnił przed zdradliwym zakrętem, zastanawiając się, czy ten, kto rzekomo porwał jego dzieciaka, mógł w jakiś sposób podsłuchiwać jego telefon. Szybko jednak uznał, że to raczej niemożliwe. Takie rzeczy działy się na filmach, ale w życiu?

Zjeżdżając w drogę prowadzącą do domu nieżyjącego od ponad dwóch lat starego Macieja, zastanawiał się, o co może chodzić. Zdarł z kimś? To na pewno. Chociażby dwa dni wcześniej, kiedy po pożarze w Mewie z pomocą kolegi odnalazł szemranego developera i wsadził gościa do aresztu. Idiota myślał, że zastraszając samotną starszą kobietę, zdoła w końcu skłonić ją do sprzedaży pensjonatu, na którego miejscu chciał zbudować nowoczesny hotel. Nie wiedział jednak, że w Mewie zatrzymał się akurat gliniarz - cwaniak liczył na to, że zalana łzami pani Alina

przybiegnie do niego, zgadzając się na wszystkie warunki. Skończył w celi obscurnego aresztu na Targowej, ale być może miał równie szemranych kumpli. Chyba że nie chodziło o niego, to przecież mógł być każdy...

Gdy dotarł na miejsce, z trudem panował nad napiętymi do granic możliwości nerwami. Latarkę miał w zabałaganionym bagażniku, ale uznał, że w tym stanie ducha nie będzie jej szukał.

Cisza.

Śnieg skrzypiał mu pod butami, jednak żaden inny odgłos nie wdzierał się w spokój mroźnej nocy. Podchodził do budynku, kiedy wyszedł z niego zwalisty wysoki mężczyzna w ciemnym ubraniu.

- Włącz do środka! - nakazał oślepiając go latarką.

Bugaj zatrzymał się z ręką zaciśniętą na służbowej broni.

- Rzuć to! - warknął bandzior.

- Czego chcesz?! Gadaj, nie mam całej nocy!

- Mówię, włącz do środka!

Krzysztof stał na wiodącej w stronę rudery ścieżce, zastanawiając się, co dalej. Teraz, twarzą w twarz z nocnym gościem, zrozumiał, że nigdy nie powinien tu przyjeżdżać. Idiota! Nawet nie podjechał do domu, żeby sprawdzić, co jest grane. A być może Arek właśnie spokojnie przewraca się z boku na bok. Było już jednak za późno na wyrzuty. Po chwili wahania rzucił pistolet w śnieg i w symbolicznym geście poddania podniósł ręce.

Mężczyzna ruszył w jego stronę, wciąż świecąc mu w oczy latarką. Bugaj usiłował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek mógł go spotkać, ale w głowie miał pustkę. Zresztą nie widział jego twarzy - napastnik był jedynie ciemną sylwetką pośród wszechobecnej bieli.

- Wiesz, kim jestem?! - zapytał ostro, kiedy dzieliły ich nie

więcej niż trzy metry.

- Nie mam bladego pojęcia - burknął Bugaj.

- Pozwól więc, że się przedstawię. Tym bardziej że mamy dużo wspólnego...

- Na przykład co?

- Na przykład moją żonę - wycedził. - Co?! Nic nie powiesz?! Chociażby „sorki, że pieprzę twoją kobietę?!”.

- Dominikę? - zapytał Bugaj.

- A co? Inne mężatki też posuwasz?!

- Mniejsza z tym. Wracam do pensjonatu, a ty...

- Nie tak prędko, kolego! - rozległ się szorstki męski głos gdzieś za jego plecami.

Bugaj odwrócił się gwałtownie, ale napastnik był szybszy - rąbnął go w tył głowy czymś, co równie dobrze mogło być cegłą, jak i czymś zupełnie innym. Upadł w śnieg. Początkowo tylko go kopali. Dwa razy zdołał się podnieść, ale mieli miażdżącą przewagę. Dwóch rosnących byczków na jednego zmęczonego życiem i powalonego na glebę gliniarza.

Nagle usłyszał huk. Odgłos wystrzału wdarł się w nocną ciszę, brutalnie ją rozdzierając. Nawet nie poczuł bólu, co najwyżej zdziwienie. Więc tak się umiera? Udało mu się uklęknąć. Oprawcy stali nad nim, w milczeniu przypatrując się swojemu dziełu. Krew powoli zaczęła przesiąkać przez kurtkę. Przestrzelone płuco? Można z tego wyjść? Co z Anną i Arkiem? Poradzą sobie? Nigdy nie zobaczą plaży... Przez głowę pędziły mu myśli jedna za drugą.

Przyłożył opuszki palców do powiększającej się plamy na piersi i z niedowierzaniem wpatrywał się w szkarłatne plamy na śniegu, który oświetlił jeden z mężczyzn. Kicius powiedział mu kiedyś w żartach, że dymając wszystko, co się rusza, marnie kiedyś skończy, powalony ręką jakiegoś rozwścieczonego rogacza.

Strasznie się wtedy z tego śmiali, ale teraz jakoś nie potrafił sobie przypomnieć, co zabawnego widział w słowach starego kumpla. Zakrztusił się krwią i upadł na ziemię. Ból przyszedł nagle, niemal pozbawił go przytomności.

- Weź go za nogi! - usłyszał jeszcze, zanim odpłynął.

Chwilę później ciszę rozdarł drugi wystrzał, ale jego już nie usłyszał.

- Na tyłach jest studnia! - ten, który do niego dzwonił, złapał Bugaja pod pachy i ponaglił kumpla.

- Ciężki skurczybyk! - sapnął ten drugi. - Znowu sypie. Do rana nie będzie nawet śladu, że cokolwiek tu zaszło...

- Wyjąłeś jego portfel i kluczyki? Trzeba będzie odjechać tą audicą...

Uwinęli się raz-dwa i w końcu bezwładne ciało z nieprzyjemnym łoskotem wpadło do pełnej śmieci kamiennej studni.

Niecałe półtorej godziny później odkryje je zaniepokojony zagadkowym telefonem od przyjaciela Kiciński, ale teraz, w ciszy mroźnej nocy, ślady stóp zabójców pośród gęstniejącej zadymki są jedynym dowodem na to, że właśnie nagle i bezpowrotnie zgasło czyjeś życie.

Opracowanie graficzne okładki:
Emotion Media

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne:
Maria Kijowska

Korekta:
Małgorzata Narewska

© 2018 by Katarzyna Misiołek
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa, 2018

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Trevillion. Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 9788327640451

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi S.A.